

LUDZIE NA GRANICY
Migracje, Łukaszenka
i pułapka emocji

ZŁO ZE SŁÓW
Jak biskupi
utrwalają traumę

GRA W MIASTA
Kto rządzi
samorządem

DUCH Z KARAIBÓW
John Lurie mówi,
jak żyć

SMARTFON W LESIE
Aplikacje nie tylko
na wakacje

Kraków 29 sierpnia 2021 nr 35 (3764)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Pożegnanie z Afganistanem

Wojciech Jagielski
Paweł Pieniążek

W NUMERZE DODATEK
NAGRODA LITERACKA
GDYNIA



3

KIELECKI

MIĘDZYNARODOWY

FESTIWAL TEATRALNY



2 września →
12 października 2021

- 2.09** | g. 18.00 | **NAD NIEMNEM. Obrazy z czasów pozytywizmu** Elizy Orzeszkowej,
reż. Jędrzej Piaskowski | Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie → DUŻA SCENA KCK
- 3.09** | g. 19.00 | **KŁĄTWA RODZINY KENNEDYCH** Jolanty Janiczak, reż. Wiktor Rubin
Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach → SCENA TYMCZASOWA TEATRU PRZY WDK
- 5.09** | g. 18.00 | **FANNY I ALEKSANDER** Ingmara Bergmana, reż. Łukasz Kos
Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy → DUŻA SCENA KCK
- 8.09** | g. 19.00 | **THRILL ME. Historia Leopolda i Loeba** Stephena Dolginoffa,
reż. Tadeusz Kabicz | Mazowiecki Teatr Muzyczny im. Jana Kiepury w Warszawie
→ SCENA TYMCZASOWA TEATRU PRZY WDK
- 10.09** | g. 20.00 | **DEKLICA S STRUNAMI (Dziewczyna ze strunami)** Mai Hrgovič i Marjana Nečaka,
reż. Marjan Nečak | SNG Drama Ljubljana i Moving Music Theatre, Bitola
→ SCENA TYMCZASOWA TEATRU PRZY WDK
- 15.09** | g. 19.00 | **ŚMIERĆ KOMIWOJAŻERA** Arthura Millera, reż. Radek Stępień
Teatr Wybrzeże w Gdańsku → SCENA TYMCZASOWA TEATRU PRZY WDK
- 17.09** | g. 19.00 | **KRÓTKA ROZMOWA ZE ŚMIERCIA** na podstawie tekstów Mikołaja z Mierzyńca
i Mikołaja Reja, reż. Marcin Liber | Teatr im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie
→ SCENA TYMCZASOWA TEATRU PRZY WDK
- 19.09** | g. 19.00 | **POTOP** Henryka Sienkiewicza, reż. Jakub Roszkowski | Teatr Śląski im. Stanisława
Wyspiańskiego w Katowicach → SCENA TYMCZASOWA TEATRU PRZY WDK
- 29.09** | g. 19.00 | **BIBLIA: Próba** reż. Jernej Lorenci | Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu
→ DUŻA SCENA KCK
- 10.10** | g. 19.00 | **ZARAŻA** Neila Bartletta w oparciu o „Dżumę” Alberta Camusa, reż. Una Thorleifsdottir
Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach → SCENA TYMCZASOWA TEATRU PRZY WDK
- 12.10** | g. 16.00 | **KUPIEC WENECKI** Williama Szekspira, reż. Szymon Kaczmarek
Nowy Teatr im. Witkacego w Słupsku → SCENA TYMCZASOWA TEATRU PRZY WDK
- 12.10** | g. 19.30 | **SONATA JESIENNA** Ingmara Bergmana, reż. Grzegorz Wiśniewski
Teatr Narodowy w Warszawie → DUŻA SCENA KCK

SPOTKANIA towarzyszące | **WARSZTATY** recenzenckie | **CZYTANIA** performatywne

PREMIERA KSIĄŻKI MATEUSZA PAKUŁY

pt. *Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję*

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego
i Sportu oraz Urzędu Marszałkowskiego
Województwa Świętokrzyskiego.



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu



KS. ADAM

Boniecki: Patrząc na Afganistan

ALISHER, MASOOMA I ICH CZTEROMIESIĘCZ-ny synek Kianoush są już w Polsce. Kilka dni i nocy trwała ich dramatyczna droga. Kilka dni i nocy napięcia, niepewności, strachu: od momentu, gdy w niedzielę 15 sierpnia opuścili w pośpiechu swoje mieszkanie w Kabulu i zaczęli się ukrywać – z chwilą, gdy do stolicy Afganistanu wkroczyli talibowie – aż do piątku rano, gdy kolejny, trzeci już z polskich samolotów z ewakuowanymi Afgańczykami, na pokładzie którego oni się znaleźli, wylądował w Warszawie.

Ścisłe rzecz biorąc, ich strach skończył się w czwartek nad ranem. „Dzięki Bogu, są tu polscy żołnierze” – napisała Masooma na komunikatorze WhatsApp do naszego dziennikarza Pawła Pieniążka po tym, jak najpierw brytyjscy żołnierze pozwolili im schronić się za swoimi liniami, a wkrótce potem opiekę nad nimi – i nad innymi Afgańczykami z polskich list ewakuacyjnych – przejęli żołnierze polscy, którzy przybyli właśnie na kabulskie lotnisko, by pomóc w ewakuacji. Kolejnym godzinom oczekiwania na samolot nie towarzyszył już strach, lecz, jak napisał potem Alisher, straszliwy żal: że muszą pożegnać swoją ojczyznę, i że nie mogli nawet objąć przedtem swoich bliskich.

Alisher (28 lat) i Masooma (25 lat) mieli powody, aby się bać. Są dziennikarzami, angażowali się w budowanie demokratycznego Afganistanu. Alisher był współpracownikiem „Tygodnika”: w minionych latach towarzyszył naszym autorom, Pawłowi Pieniążkowi i Agnieszce Pikulickiej-Wilczewskiej podczas ich podróży po kraju, był także współautorem tekstów Pawła. Dziś są w Polsce, a ja – w imieniu naszej redakcji – chciałbym podziękować instytucjom państwowym (zwłaszcza MSZ, KPRM i MON), a także wielu ludziom dobrej woli, dzięki którym udało się doprowadzić do tego, że tych troje ludzi związanych z „Tygodnikiem” jest dziś bezpiecznych.

Rozmowę z Alisherem i Masoomą, w której opowiedzą swoją historię, opublikujemy w „Tygodniku”, gdy tylko zakończy się kwarantanna, którą przechodzą teraz w ośrodku dla uchodźców. Poprowadzi ją Paweł Pieniążek, którego tekst – pokazujący moment wkroczenia talibów do Kabulu, wi-



dziany oczami samych Afgańczyków – czytelnik znajdzie w tym numerze obok artykułu, w którym Wojciech Jagielski podsumowuje ostatnie 20 lat w historii tego kraju. W naszym „Tygodniku” archiwum dostępne są liczne teksty obu tych naszych autorów, powstałe w ostatnich latach – a także artykuły innych autorów, którzy na przestrzeni minionych dekad pisali o Afganistanie (nie sposób ich wszystkich tu wymienić).

Patrząc na dramatyczne sceny z Kabulu, mam przed oczami także dziennikarkę Jagodę Grondecką, która została ewakuowana tym samym samolotem co nasza rodzina. Jej znajoma napisała, że w ostatnich dniach Jagoda z narażeniem życia ratowała afgańskich współpracowników, przeprowadzała ich na lotnisko, negocjowała z talibami, opiekowała się spanikowanymi ludźmi, a po zabezpieczeniu pierwszej grupy, nie bacząc na własne bezpieczeństwo, wróciła po kolejne, zamiast wsiąść do samolotu. Aby się dowiedzieć, kim jest (o, wstydziel, do tej pory nie wiedziałem), sięgnąłem po dostępne w internecie jej artykuły. Przeczytałem, że jest iranką i komentarką ds. bliskowschodnich, że doświadczenie zdobywała m.in. w ambasadach RP w Teheranie i Islambadzie, że jest współautorką publikacji „Muzułmanin, czyli kto? Materiały dydaktyczne dla nauczycieli i organizacji pozarządowych”. W Afganistanie mieszkała od września 2020 r. Gdy znalazła się już w Polsce, na Twitterze napisała: „Nie będę dziś dostępna dla mediów. Dziękuję za zaproszenia, ale priorytetem jest ewakuacja naszych Afgańczyków”. Jagoda Grondecka pomogła także naszej rodzinie, gdy przed bramą lotniska wybuchła panika – i za to jej dziękuję.

Kłaniam się wszystkim, którzy w tych dniach – aby nie porzucić tych, którzy nam zaufali – wykonali nieprawdopodobnie trudną pracę. Było to niewyobrażalne, jednak okazało się możliwe. Wielu z nich ze zrozumiałych powodów woli pozostać w cieniu. O wielu ich działaniach może nigdy się nie dowiemy, a jeśli, to pewnie nieprędko.

Pozostaje sprawa zorganizowania życia w Polsce uchodźców ocalonych z Afganistanu. Ale to już osobny temat, do którego na pewno będziemy wracać. ©P

TYGODNIK
POWSZECHNY

Zostań

**PATRONEM PODKASTU
POWSZECHNEGO**

od 5 zł miesięcznie!

Wspieraj nas na: [Patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego](https://patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego)

Zapraszam!

ks. Adam Boniecki

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. GRAZYNA MAKARA



22 Pod maską pragmatyzmu

RAFAŁ MATYJA

Bezpartyjność samorządu skrywa zwykle umiarkowaną centroprawicę, budującą miasta dla klasy średniej, dbającą o dobre stosunki z Kościołem, ekosceptyczną i niechętną wobec radykalnych zmian.



32 Biskupi nas nie dostrzegli

ROZMOWA
Z JAKUBEM

PANKOWIAKIEM:
Zastanawiam się, jak to możliwe, że dla jednych mówienie o pedofilii w Kościele jest stawianiem po stronie słabszych, skrzywdzonych, a dla innych – atakiem na księży.

52 Sam przeciw

potędzie

MACIEJ MÜLLER

29 sierpnia 1526 r., około piętnastej, Ludwik II Jagiellończyk włożył hełm. Doradcy zapamiętali, że król był błady. Zaczynająca się bitwa pod Mohaczem miała zdecydować o losie Europy.



42 Straciliśmy nasz raj:

ULA IDZIKOWSKA Z GRECJI

Mieszkańcy Eubei powoli wychodzą z szoku po pożarach, które strawiły pół ich wyspy. Planują, co dalej. „Musimy sobie radzić sami. Rząd nam nie pomoże” – mówią.



86 Galaktyczny zielnik

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Nikt mnie nie przekona, że jadąc na urlop, smartfona należy zostawić w domu. Zabierzcie go, ale nie po to, by komunikować się z dalekim światem. On jest po to, żeby otworzyć przed wami ten najbliższy.



72 Do szpiku kości

KAJETAN PROCHYRA

John Lurie był już najlepiej ubranym mężczyzną świata. I najprzystojniejszym. Teraz żyje na rajskiej wyspie, nieskrępowanie zdziczały. I maluje, maluje, maluje. Albo gra.

6 Ludzie na granicy
MARCIN ŻYŁA

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Pod maską pragmatyzmu
RAFAŁ MATYJA

26 Każdy zna kogoś, kogo dopadł reżim
BARTOSZ RUMIŃCZYK:
Białorusini w Polsce organizują sieć wsparcia dla tych, którzy zostali w ich kraju

29 Stacjonarnie, ale ostrożnie
ROZMOWA Z WOJCIECHEM FELESZKO, IMMUNOLOGEM I PEDIATRA:
Dzieci, koronawirus i nowy rok szkolny

■ ■ **WIARA**

32 Biskupi nas nie dostrzegli
ROZMOWA Z JAKUBEM PANKOWIAKIEM

36 Miłosierdzie i sprawiedliwość
PIOTR SIKORA:
Chrześcijańska troska o skrzywdzonych wcale nie musi inspirować się wizją Boga jako sędziego karzącego złoczyńców

39 Uliczny znak wiary
O. JÓZEF PUCIŁOWSKI OP
o kongresie eucharystycznym na Węgrzech – kiedyś i dziś

■ ■ **ŚWIAT**

42 Straciliśmy nasz raj
ULA IDZIKOWSKA Z GRECJI

TEMAT TYGODNIKA



TAYLOR CRUL / U.S. AIR FORCE / GETTY IMAGES

12 Koniec ich świata

PAWEŁ PIENIAŻEK

Talibowie zajęli kraj szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał. Mieszkańcy Kabulu, których życie związane było z poprzednim porządkiem, zamarli w oczekiwaniu. Oto ich głosy.

16 Pożegnanie z Afganistanem

WOJCIECH JAGIELSKI

W okamgnieniu runął nowy wspaniały świat, jaki Zachód budował, aby wyrwać ten kraj z wojen i zacofania. Diabli wzięli nadzieję, jakie w Zachodzie pokładało wielu Afgańczyków.

■ **DODATEK SPECJALNY** ■

65 Nagroda Literacka Gdynia

■ **FELIETONY** ■

31 DOROTA MASŁOWSKA **41** ZUZANNA RADZIK

57 ANDRZEJ STASIUK

84 JAN KLATA **85** PAWEŁ BRAVO

90 STANISŁAW MANCEWICZ

90 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: W DŻALABADZIE, AFGANISTAN, 2017 R.
FOTOGRAFIA: PARWIZ / REUTERS / FORUM

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

46 Azyl na trudne czasy
MAŁGORZATA PROCHAL
I AGNIESZKA ZIELIŃSKA
Z HISZPANII:
Byłyśmy z wizytą w andaluzyjskiej ekowiosce

50 Cisza wróży źle
MARCIN ŻYŁA:
Na południu Madagaskaru zaczyna się głód – kolejna plaga obok covidu i kryzysu politycznego

■ ■ **HISTORIA**

52 Sam przeciw potędze
MACIEJ MÜLLER

■ ■ **NAUKA**

60 I bądź tu mądry
KATARZYNA DZIADOWICZ:
Inteligencja jest pełna paradoksów

■ ■ **KULTURA**

72 Do szpiku kości
KAJETAN PROCHYRA

76 Portret własny
PIOTR KOŚCIEWSKI:
Wystawa prac Anny Bilińskiej w warszawskim Muzeum Narodowym imponuje

80 Przemóżna żądza tańca
JAN BŁASZCZAK
portretuje MC Yallah, weterankę ugandyjskiego hip-hopu

82 Zamki na piasku
ANITA PIOTROWSKA
o filmie Kingi Dębskiej „Zupa nic”

84 Uśmiech Krzysztofa
LEKTOR o wyborze tekstów
Krzysztofa Kozłowskiego
„Książka do pisania”

■ ■ **WAKACJE**

86 Galaktyczny zielnik
MICHAŁ KUŻMIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Strona świata**

Talibowie podbili Afganistan i objeli rządy w Kabulu, ale ich władza wciąż nie obejmuje doliny Pandższiru – pisze WOJCIECH JAGIELSKI w tekście „Ostatnia reduta buntowników” tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Podkast powszechny**

Gościem trzeciego odcinka podkastu „Conrad na fali” jest **MICHAŁ RAUSZER**, autor książki „Bękarty pańszczyzny. Historia buntów chłopskich”. Rozmawiamy o ludowości oraz jej śladach obecnych w naszym współczesnym pejzażu kulturowym. Słuchaj na powszech.net/podkast

Anna Łabuszewska: ROSYJSKA RULETKA
Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/ROSYJSKARULETKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



LUDZIE NA GRANICY

W pułapkę emocji, utrudniającą dyskusję o migracji, wpadliśmy za sprawą polityków prawicy. Teraz bywa, że wyjście z niej utrudniają bezrefleksyjne, choć płynące z odruchu serca, opinie drugiej strony.

MARCIN ŻYŁA

WKOMENTARZACH O SYTUACJI NA POGRANICZU białoruskim mieszają się trzy ważne aspekty. Pierwszy to los Afgańczyków, którzy od 16 sierpnia, otoczeni przez służby obu państw, koczują pod gołym niebem na granicy białorusko-polskiej na wysokości wsi Usnarcz Górny. Nie mają możliwości ruchu, a każdy spędzony tak dzień pogarsza stan ich zdrowia. Uniemożliwiające nakarmienie ich i pomoc lekarską rozkazy dowódców Straży Granicznej są okrutne. Polska nie powinna była na to pozwolić. W każdej chwili może wpuścić grupę i rozpatrzyć wnioski o azyl. Do chwili zamknięcia tego numeru „Tygodnika”

tego nie zrobiła. W ludziach na granicy nie zobaczyła ludzi.

Straż Graniczna informuje o uratowaniu z rozlewisk Narwi grupy obywateli Iraku i Egiptu, którzy zadzwonili po pomoc. Ale w innych miejscach białoruskiej granicy mundurowi z obu państw przeganiają wycieńczonych ludzi. Polska, dołączając do kilku postępujących podobnie państw Unii, łamie dane przez siebie słowo – że każdy, kto znajdzie się na jej terenie, może poprosić o ochronę.

Druga rzecz to kontekst międzynarodowy. Trwa zorganizowana przez Białoruś, zapewne ze wsparciem Rosji, akcja przerzutu ludzi

*Na granicy
polsko-białoruskiej
na wysokości wsi
Usnarcz Górny,
19 sierpnia 2021 r.*

z Iraku na zewnętrzną granicę Unii. Ryzyko, że podobny mechanizm zostanie użyty w znacznie większej skali – właśnie przez Kreml i z wykorzystaniem ludzi opuszczających dziś Afganistan – jest realne. Ryzyko to dotyczy nie tyle zagrożenia ze strony samych przybyszów, lecz banalnej łatwości, z jaką w Polsce (i nie tylko tu) można wywołać głęboki, potencjalnie wręcz paraliżujący politykę spór wewnętrzny. Klótnie o migrację osłabiły w ostatnich latach dwa najpotężniejsze państwa Zachodu: pomogły dojść do władzy Donaldowi Trumpowi i wprowadzić Wielką Brytanię z Unii. Władimir Putin czeka na kolejne okazje. Uruchomienie pociągów relacji Duszanbe–Grodno, nawet kilku na dobę, dzięki sprawnej posowieckiej sieci kolejowej nie jest dla niego problemem.

I tu dochodzimy do aspektu trzeciego, łączącego Afgańczyków spod Usnarza Górnego z ową groźbą paraliżu. Czyli do pułapki emocji, w jakiej tkwimy za sprawą polityków prawicy, ale z której wyjście utrudniają także bezrefleksyjne opinie tych z nas, którzy szczerze i z dobrego serca chcą pomagać ludziom w potrzebie.

Inaczej dyskutowalibyśmy o uchodźcach i migrantach, gdyby w 2015 r. obejmująca wtedy władzę prawica – działając cynicznie, dla własnej korzyści – nie wzbudziła przed nimi masowego lęku. Łatwiej byłoby uzgodnić odpowiedzi na pytania: jakie reguły powinny obowiązywać na granicy. Czy nazywając *in gremio* stawiających się na niej ludzi „uchodźcami”, pomagamy tym, którzy faktycznie uciekają od wojen i prześladowań? Czy i jaka jest różnica między kamerami monitorującymi granicę a stawianiem na niej zasieków? Gdyby nie owa pułapka emocji, dowiedzielibyśmy się więcej o skomplikowanych szlakach migracyjnych i zmieniającym się świecie. Przysłużyłoby się to i nam, i ludziom na granicy stokroć bardziej niż internetowe memy z Polską otoczoną różańcem z drutu kolczastego.

Politycy prawicy będą uderzać w znane ksenofobiczne tony. O wiele większa niż sześć lat temu jest dziś współodpowiedzialność, którą za jakość tej dyskusji – a koniec końców, także za dobro ludzi, którzy w przyszłości będą szukać w Polsce azylu – ponosi tzw. strona pro uchodźcza. W tej rozmowie nie wolno zapomnieć o obowiązku pomocy ofiarom wojen i prześladowanym. Ale nie wolno też ignorować faktu, jakim jest cyniczna polityka naszych wschodnich sąsiadów – nie tylko Łukaszenki. ©P

Pandemia wciąż tu jest

MACIEJ MÜLLER



CZWARTA FALA ZACZNIE SIĘ W POLSCE w połowie września, z liczbą nowych dziennych zakażeń na poziomie 500-600, a szczyt osiągnie pod koniec listopada, ze wskaźnikiem nawet 30 tys. – wynika z modelu matematycznego rozwoju epidemii opracowanego przez zespół naukowców z Politechniki Wrocławskiej. Kierujący nim prof. Tyll Krüger uważa, że „w zbliżającej się fali wszystkie osoby, które do tej pory nie zakażyły się koronawirusem ani nie zaszczepiły, z dużym prawdopodobieństwem się zakażą. To około 30-40 proc. społeczeństwa”.

Oczywiście zakażenie nie oznacza automatycznie zachorowania, a doświadczenia takich krajów jak Wielka Brytania, która wciąż zmagą się z czwartą falą, wskazują, że szczepienia w dużym stopniu ograniczają ryzyko ciężkiego przebiegu COVID-19. Obecnie przy ok. 31,5 tys. zakażeń dziennie umiera tam ok. 100 osób. Ale nie mamy co porównywać się do Wyspiarzy: przynajmniej jedną dawkę zaszczepiliśmy połowę populacji, a Brytyjczycy 70 proc. (przy czym najstarsze grupy wiekowe w niemal 100 proc.). Mimo kampanii rządowej i kilku zachęt ze strony biskupów akcja szczepień

zamiera, obecnie w skali kraju do punktów zgłasza się kilka tysięcy osób dziennie. Niezaszczepionych pozostaje milion osób w wieku 70+.

Prof. Krüger jest pesymistą: podkreśla, że wariant Delta jest dwukrotnie bardziej zakaźny od poprzednich, co zniweluje spadek zakażeń wskutek nabytej odporności. Dlatego łączną liczbę zgonów w nadchodzącej fali szacuje nawet na 30-40 tys. Jego model dotyczy jednak sytuacji bez funkcjonujących obostrzeń.

Tymczasem w polskich restauracjach czy pubach zasady sanitarne na ogół kończą się na tabliczce informującej o konieczności noszenia masek. Zdarzają się ekstrema: słowna bądź fizyczna agresja wobec osób upominających innych. Nieco tylko lepiej jest w sklepach czy kościołach, ale nawet wśród noszących maski mało kto czyni to poprawnie, zasłaniając nos.

Wystarczy rzut oka za miedzę (albo na tekst Łukasza Grajewskiego na str. 8), żeby się przekonać, że nasze poczucie bezpieczeństwa jest złudne: Delta się zbliża. Udawanie, że pandemia Polski nie dotyczy, będzie nas drogo kosztować. Ponownie – bo rok temu zachowywaliśmy się identycznie. ©P

Zielona energia bez energii

CO NAJMNIEJ 15 PROC. ENERGII ze źródeł odnawialnych miała produkować Polska do 2020 r. Choć kompletne dane będą dostępne dopiero pod koniec 2021 r., wszystko wskazuje na to, że tego zobowiązania, wynikającego z realizacji unijnej dyrektywy, nie uda się dotrzymać. Odnawialną energię musimy więc kupić od innych państw UE lub liczyć się z karami finansowymi.

Przyczyny powolnego rozwoju sektora zbadała Najwyższa Izba Kontroli. Autorzy raportu jako główne przyczyny podają ograniczone możliwości finansowania inwestycji oraz bariery prawne, zwłaszcza wprowadzoną w 2016 r. regułę „10h” – wiatraki nie mogą powstawać bliżej zabudowań niż 10-krotna wysokość wieży.

Trwają prace nad złagodzeniem tej reguły, ale zdaniem NIK powinny się one zacząć dużo wcześniej. Jak czytamy jed-

nak w raporcie: „brakowało cyklicznego i spójnego systemu monitorowania podsektora wytwarzania energii elektrycznej z OZE. (...) Wiedzę o problemach w funkcjonowaniu OZE minister czerpał z działań doraźnych, np. opiniowania projektów ustaw”.

Są też pozytywne informacje: rozwój OZE przyspieszył po nowelizacji ustawy z 2018 r. „Wprowadzone zmiany dostosowały system wsparcia do możliwości mikro, małych i średnich instalacji oraz zwiększyły efektywność systemu aukcyjnego” – powiedział prezes NIK, Marian Banaś. W latach 2018-20 zakontraktowano ponad 201 TWh energii elektrycznej, przy zaledwie 7,8 TWh zakontraktowanych w latach 2016-17. Za ten wzrost odpowiada głównie rozwój rynku fotowoltaiki.

Mimo to nie udało się osiągnąć celów zakładanych w nowelizacji, jak choćby mała biogazownia w każdej gminie. Poza tym do końca 2020 r. miało powstać 130 małych hydroelektrowni. Powstało 27.

©P KRZYSZTOF STORY

Gra na czas z TSUE

PAWEŁ BRAVO



POLSKI RZĄD PRZESŁAŁ DO KOMISJI Europejskiej wyjaśnienia, jak zamierza się odnieść do dwóch lipcowych orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości UE dotyczących systemu dyscyplinowania sędziów. Treść listu nie jest znana, jego lakoniczne omówienie na stronach rządowych zawiera zapowiedzianą już likwidację Izby Dyscyplinarnej „w najbliższych miesiącach”. Wskazuje ono też, że pierwsza prezes Sądu Najwyższego zatrzymała u siebie nowe wnioski kierowane do tej izby, co oznacza jej nieformalne zamrożenie.

Bruksela na razie nie zajęła stanowiska wobec tych częściowych ustępstw, choć komisarz Didier Reynders został wcześniej upoważniony do zareagowania (np. wnioskiem do TSUE o kary finansowe) bez czekania na jej najbliższe posiedzenie. – Jestem przekonany, że KE nie zadowolili się tego typu działaniami. Nic bowiem z orzeczeń TSUE nie zostało wprowadzone w życie. To są pozorne ruchy, mające na celu wprowadzenie Brukseli w błąd i zyskanie na czasie – komentuje w rozmowie z „TP” mec. Michał Wawrykiewicz z inicjatywy Wolne Sądy. – KE jako strażniczka traktatów musi podejmować działania zapewniające przestrzeganie prawa unijnego. A działania Polski od lipca to jego ostentacyjne lekceważenie. Choćby dlatego, że skoro dotychczasowe decyzje ID mają zostać zawieszone, to np. sędziowie Igor Tuleya i Paweł Juszczyszyn powinni wrócić do orzekania.

W liście minister Konrad Szymański powołał się m.in. na orzeczenie polskiego TK, iż w materii ustroju sądów polskie prawo ma prymat nad unijnym. Zdaniem Warszawy to drugie obowiązuje tylko w obszarach „wyłącznej kompetencji UE”. Oznaczałoby to – chyba zgodnie z intencjami PiS – że Unia ma ostateczny głos tylko w kwestiach handlu, ochrony konkurencji i nigdzie indziej.

Jarosław Kaczyński w niedawnym wywiadzie twierdził co prawda, że „dalsze reformy” wymiaru sprawiedliwości są od dawna gotowe, ale to raczej ratowanie twarzy wobec potrzeby ustępstw. Konkret jednak się pojawił: prezes PiS stwierdził, że „dobrze byłoby” znieść immunitet sędziowski. ©P

KRAJ W SKRÓCIE

ZMIANA

Sąd Apelacyjny w Warszawie uchylił wyrok, wedle którego historycy Zagłady Barbara Engelking i Jan Grabowski mieli przeprosić rodzinę sołtysa wsi Malinówka za nieściśle zdania na temat roli, jaką odegrał w czasie II wojny światowej. „Ingerencja w badania naukowe nie jest zadaniem dla sądów” – orzeczono.



JACEK TARAN

CIĄGŁOŚĆ

Sejmik Małopolski nie zdołał uchylić przyjętej w 2019 r. deklaracji „w sprawie sprzeciwu wobec wprowadzenia ideologii LGBT do wspólnot samorządowych”, mimo ostrzeżeń Komisji Europejskiej, że ten dyskryminujący mniejszości dokument może skutkować wstrzymaniem unijnych dotacji. Radni zapowiadają nową deklarację (na zdj. Marsz Równości 2021 w Krakowie).

STYPA

„Jeśli ktoś pyta mnie dziś, kim jest Jarosław Gowin – to odpowiedź jest oczywista. Jestem dokładnie tam, gdzie byłem zawsze” – napisał były wicepremier w liście do działaczy partii Porozumienie. Tam, gdzie byli, są też wiceministrowie Gut-Mostowcy, Piechowiak i Ociepa, którzy nie odeszli z rządu; z 15-osobowej grupy wiernych Gowinowi parlamentarzystów zostało mu sześć.

WESELE

W PZPN zakończyła się druga kadencja prezesowska Zbigniewa Bońka – na czele związku stanął były piłkarz i działacz, promotor disco polo Cezary Kulesza.

Czwarta fala jest już za Odrą

OBSERWUJĄC KRZYWĄ ZAKAŻEN w Niemczech, łatwo dostrzec, jak trasa pandemicznego rollercoastera znów pnie się szybko w górę. Badający tu przebieg epidemii Instytut Roberta Kocha ogłosił już oficjalnie, że kraj mierzy się z jej czwartą falą.

Alarmistyczny nastrój bijący z wykresów i wypowiedzi wirusologów ciężko wyczuć na ulicach miast. Jeśli pogoda pozwala, ogródki restauracyjne pękają w szwach (na zdjęciu: ulica w Bonn), a z parków niosą się dźwięki plenerowych imprez. Tylko w autobusach i supermarketach widać wciąż zdyscyplinowanie społeczeństwa. W przeciwieństwie do wielu Polaków, tam gdzie trzeba, Niemcy wciąż zakładają maseczkę. Ba, zakrywają nią nawet nos! Pomimo to w niedzielę 22 sierpnia w Polsce podano, że dzień wcześniej odnotowano zaledwie 185 nowych infekcji, podczas gdy w Niemczech było ich ponad 7 tysięcy.

Jak wytłumaczyć tak gigantyczną różnicę? Naukowcy wskazują na różne czynniki. W Niemczech za nowe infekcje już niemal całkowicie odpowiada wariant Delta, który jest bardziej zaraźliwy. Ponadto niemal co czwarta infekcja ma związek z powrotem z zagranicznych wakacji; zespół Instytutu Kocha ustalił, że najczęściej wirusa przywożono z Turcji. Najwięcej zakażeń notują metropolie, jak Berlin, Frankfurt i Hamburg oraz cała Nadrenia Północna-Westfalia, największy land z 18 mln mieszkańców. Charakterystyczne jest też, że infekcje w Niemczech dotyczą obecnie najczęściej stosunkowo młodych osób, a w wielu landach trwa już nowy rok szkolny. W Niemczech przynajmniej jedną dawkę otrzymało dotąd 64 proc. społeczeństwa, przy czym niezaszczepieni są głównie właśnie młodszy.

Pozytywnie nastraja mały odsetek seniorów wśród zakażonych Deltą. To świadczy o skuteczności szczepionek i nadaje pandemii nową dynamikę społeczno-polityczną. Słabnie argument o ochronie grup najbardziej zagrożonych ciężkim przebiegiem choroby. Zarażać będą się coraz częściej zwłaszcza ci, którzy nie chcą się chronić przed wirusem.

Jak dotąd rządzący odrzucają scenariusz obowiązkowych szczepień, jak i nowe lockdowny. Ale czwarta fala w Niemczech dopiero się rozpędza – podobnie jak dyskusje na temat sposobów jej okiełznania.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI z Lipska



YING TANG / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS



RALPH TEDDY ENOL / EPA / PAP

Haiti: pomocy potrzebuje nawet 600 tysięcy ludzi

„POZOSTAJE BLIZNA” – mówi Carlo, jeden z bohaterów reportażu „Haiti: 10 lat po trzęsieniu ziemi”, który ukazał się w telewizji Arte w 2020 r. Chłopak jest jednym z podopiecznych domu dziecka. W kataklizmie ze stycznia 2010 r., w którym zginęło aż 316 tys. Haitińczyków, stracił najlepszego przyjaciela.

Wstrząsy o mocy 7,2 w skali Richtera, które zniszczyły wyspę ponownie 14 sierpnia 2021 r., były nieco mocniejsze od tych z 2010 r., ale na szczęście ich epicentrum znajdowało się tym razem dużo dalej, bo

150 km na zachód od Port-au-Prince, stolicy kraju.

Dziś ponad 600 tys. Haitińczyków może potrzebować pomocy – podała organizacja pomocowa USAID. Zginęło ponad 2,2 tys. osób, a blisko 350 wciąż nie udało się odnaleźć. Dotarcie z pomocą utrudnia sztorm Grace, który uderzył w wyspę w nocy z 16 na 17 sierpnia.

Haiti to jeden z najbiedniejszych krajów regionu (blisko 60 proc. mieszkańców wyspy żyje w ubóstwie), z niestabilną sytuacją polityczną (prezydent kraju Jovenel Moïse został w lipcu zamordowany), wysoką przestępczością (do domu dziecka Carla dzieci trafiają m.in. za sprawą wojen gangów, w których giną ich rodzice).

Na zdjęciu zniszczenia w mieście Los Cayos, 14 sierpnia 2021 r. © ANNA GOC

Codziennie pożar

PONAD TYSIĄC HEKTARÓW spalonego lasu w promieniu 20 km: to bilans pożaru w okolicach Odemiry w południowej Portugalii, który po kilku dniach udało się ugasić.

Fala pożarów w południowej Europie nie oszczędza także lasów Portugalii. Ogień w Odemirze pojawił się zaledwie dobę po tym, jak udało się ugasić jeden z największych pożarów, jakie wybuchły w tym kraju od 2017 r. W prowincji Algarve w ciągu niecałych dwóch dni spłonęło 10 tys. hektarów lasu. Pożar wybuchł koło miejscowości Castro Marim 16 sierpnia w środku nocy, co wraz z silnym wiatrem utrudniło pracę strażakom. W najgorszym momencie pożar co godzinę zajmował kolejnych 650 ha, a w akcji brało udział ponad 600 strażaków i 8 samolotów. Ewakuowano 81 osób. Spłonęło kilka budynków, a także kilkadziesiąt zwierząt trzymanyh w nielegal-

nym schronisku. Przez chwilę ogień zagrażał pełnym turystów kurortom w Algarve, ale szczęśliwie tam nie dotarł.

W dobie zmian klimatycznych takie pożary stały się portugalską codziennością. Według zeszłorocznego raportu WWF na 120 tys. hektarów lasu każdego roku wybucha ich tutaj nawet 17 tys. A choć kraj jest do nich coraz lepiej przygotowany, szkody dla natury, gospodarki i ludzi są ogromne (w jednym pożarze z 2017 r. zginęły 64 osoby). Dziś kraj szykuje się do kolejnych akcji gaśniczych – Portugalski Instytut Morza i Atmosfery (IPMA) ogłosił maksymalny poziom zagrożenia pożarami w ponad 50 miastach.

W tym roku, do 17 sierpnia, w Unii Europejskiej spłonęło już ponad 430 tys. hektarów lasu. To ponad dwa razy więcej niż średnia z lat 2008-20 w tym samym okresie.

© KRZYSZTOF STORY z Portugalii

O pożarach w Grecji piszemy w dziale Świat.

Krym: nowy wyrok, kolejne dramaty

ROSYJSKI SĄD w Rostowie wydał wyroki od 12 do 18 lat kolonii karnej o zastrzonym rygorze wobec czterech Tatarów Krymskich. Byli więzieni od czerwca 2019 r., gdy zostali zatrzymani pod zarzutami ekstremizmu i przynależności do religijno-społecznego ruchu Hizb-ut-Tahrir – na Ukrainie legalnego, a w Rosji zakazanego. obrońcy praw człowieka uważają takie zatrzymanie za prześladowanie na tle politycznym.

Na procesy Tatarów, odbywające się często w Rostowie, przyjeżdżają działacze z całego Krymu, by okazać im solidarność. Rustem Mursow wrócił z Rostowa do domu pod Sewastopolem o trzeciej w nocy. Godzinę później do jego drzwi zaczęli się dobijać funkcjonariusze FSB. Wraz z czterema Tatarami został aresztowany. Prawdopodobnie czeka go to, co innych: pokazowy sąd i długoletnie uwięzienie w kolonii karnej na rosyjskim Dalekim Wschodzie. W minionym tygodniu Ukraina skierowała do Międzynarodowego Trybunału Karnego opis 275 spraw wywiezienia jej obywateli z Krymu do Rosji. Rodziny alarmują, że osadzenie w miejscach oddalonych o kilka tysięcy kilometrów od okupowanego półwyspu to dodatkowa forma znęcania się nad więźniami i ich bliskimi.

Tymczasem w Kijowie zaczęła się Platforma Krymska – pierwsza taka konferencja poświęcona tematyce okupowanego półwyspu, w której biorą udział politycy z krajów NATO, UE i organizacje międzynarodowe.

– Większość zagranicznych polityków i mediów interesuje się Krymem raz na rok, przy okazji rocznicy aneksji – mówi „Tygodnikowi” Lutfije Zudijewa, działaczka z grupy Krymska Solidarność, przebywająca na Krymie. – Nasza rzeczywistość jest taka, że w dzielnicach zamieszkałych przez Tatarów są ulice, gdzie nie pozostał ani jeden ojciec rodziny. Są tam jedynie starcy, dzieci i kobiety, które czekają na powrót bliskich z niewoli. Mamy nadzieję, że Krymska Platforma pomoże zwrócić uwagę na ludzkie dramaty, które się tu rozgrywają.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA z Kijowa

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PROTEST

Stała Misja Stolicy Apostolskiej przy ONZ w Genewie wypowiedziała się przeciwko automatyzacji i stosowaniu sztucznej inteligencji w uzbrojeniu. Watykan uważa, że osoba ludzka jest niezastępowalna w ocenie celowości i skutków operacji militarnych, natomiast automatyczne systemy broni, wyposażone w zdolność samosterowania i samoprogramowania, pozostawiają duży margines nieprzewidywalności.

POMOC

„Magazyn Kontakt” – czasopismo lewicy katolickiej związanej z warszawskim KIK – ogłosiło akcję #KontaktUchodźcami. Przez tydzień (23-29 sierpnia) cały dochód z prenumeraty i sprzedaży pisma trafi do Inicjatywy Chlebem i Solą wspierającej uchodźców w Polsce. „Nie możemy bezczynnie patrzeć, gdy ludziom uciekającym przed wojną i będącym narzędziem w rozgrywkach satrapów odmawia się podstawowej pomocy” – wyjaśnia redaktor naczelny Ignacy Dudkiewicz.

ODKRYCIE

W trakcie demontażu ołtarza w kościele św. Małgorzaty w Graboszewie koło Wrześni konserwatorzy odstonili gotyckie polichromie pochodzące prawdopodobnie z przełomu XIV i XV wieku, co rzuca nowe światło na czas powstania świątyni, szacowany dotąd na drugą połowę XVI wieku. Zdaniem wojewódzkiego konserwatora zabytków malowidła reprezentują wysoki poziom artystyczny.



Pierwsze Radio Informacyjne
RAFAŁ MATYJA opowie

Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie”
Radia TOK FM o polskich samorządach (tekst na s. 22)
w środę 25 sierpnia o godz. 16.20
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Czy abp Jędraszewski krył przestępcę w sutannie



ARTUR SPORNIK

ZA ZANIEDBANIA W SPRAWACH WYKORZYSTANIA seksualnego małoletnich Stolica Apostolska nałożyła kary na wrocławskiego arcybiskupa seniora Mariana Gołębiewskiego (nakaz prowadzenia życia w duchu pokuty, zakaz uczestniczenia w uroczystościach publicznych oraz nakaz wpłacenia odpowiedniej kwoty na rzecz Fundacji św. Józefa).

Abp Gołębiewski jest dziesiątym polskim hierarchą ukaranym zgodnie z wytycznymi *motu proprio* „Vos estis lux mundi” z 2019 r. Wiadomo, że Watykan bada przypadki kolejnych biskupów tuszujących przypadki wykorzystania seksualnego w Kościele – lista niesławy wciąż jest otwarta. Czy konsekwentne (choć trudno uznać, że surowe) działanie Stolicy Apostolskiej oduczyło już biskupów krycia podległych im przestępstw w sutannach?

Ostatnio media zasugerowały, że Watykan powinien się zająć także metropolitą krakowskim, gdyż abp Marek Jędraszewski nie zareagował pra-

widłowo na przypadek kapelana, który w 2017 r. został złapany na molestowaniu starszej bezradnej osoby. Możliwe jednak, że przypadek ten jest właśnie przykładem reakcji na nowe kościelne przepisy. Co prawda dopiero w lutym tego roku krakowska kuria zawiadomiła o sprawie byłego kapelana prokuraturę (o czym poinformował portal RMF24.pl) i rozpoczęła kanoniczną procedurę, co potwierdził „Tygodnikowi” jej rzecznik ks. Łukasz Michalczewski. Ale w chwili ujawnienia przestępstwa nie było jeszcze obowiązku zgłaszania takich przypadków do prokuratury, a obowiązek zgłaszania do Watykanu przypadków wykorzystania osoby bezradnej wprowadziło dopiero wspomniane *motu proprio*.

Nie można zatem rozstrzygnąć, czy formalnie doszło do zaniedbania. Jest za mało danych – abp Jędraszewski konsekwentnie nie informuje mediów o szczegółach działań kurii. To jednak kolejny bulwersujący przykład braku wrażliwości w Kościele na ludzką krzywdę. ©

Gdańsk: pamiątki i pojednanie



WOLFGANG NITSCHKE / MATERIAŁY PRASOWE

KRZYŻ BISKUPI I KIELICH należące do Karola Marii Spletta, który w 1938 r. został drugim biskupem diecezji gdańskiej (utworzonej w 1925 r.), przekazał gdańskiemu muzeum archidiecezjalnemu bp Reinhard Hauke z Erfurtu, delegat Episkopatu Niemiec ds. duszpasterstwa wypędzonych i przesiedlonych. Nastąpiło to podczas mszy w parafii bł. Doroty z Mątów w Gdańsku, której przewodniczył abp Tadeusz Wojda. W homilii bp Hauke zaznaczył, że bp Splett, choć starał się opiekować ludnością polską, ostatecznie wobec władzy niemieckiej był bezradny.

Po wkroczeniu w 1945 r. żołnierzy radzieckich pozostał w mieście. W pokazowym procesie w 1946 r. został skazany na 8 lat więzienia za kolaborację z nazistami, a następnie przez 3 lata był internowany. Do RFN wyjechał w 1956 r.

Pamiątki przekazało stowarzyszenie gdańskich katolików w Niemczech Adalbertus Werk, które działa na rzecz polsko-niemieckiego pojednania. Dar uzupełni kolekcję pamiątek po Splecie, które już wcześniej trafiły do Gdańska. © ASK

Papież o etycznym ułtuciu

„ZASZCZEPIENIE SIĘ jest aktem miłości. Przyczynienie się do tego, by większość osób się zaszczepiła, [również] jest aktem miłości: do siebie samych, do rodziny i przyjaciół, do wszystkich narodów” – powiedział Franciszek w klipie wideo opublikowanym przez amerykańską organizację Ad Council w ramach kampanii pod hasłem „To zależy od ciebie”. Papieża wsparło sześciu hierarchów z Ameryki Południowej i Północnej.

„Dzięki Bogu i pracy wielu mamy dzisiaj szczepionki chroniące przed COVID-19. Dają one nadzieję na położenie kresu pandemii, ale tylko wtedy, gdy będą dostępne dla wszystkich i jeśli będziemy ze sobą współpracować” – podkreślił Franciszek. I dodał: „Zaszczepienie się jest prostym, ale głębokim sposobem krzewienia dobra wspólnego i opiekowaniem się sobą nawzajem, zwłaszcza najsłabszymi”.

To kolejne jednoznaczne i pozbawione niedomówień wsparcie Franciszka dla akcji szczepień. W styczniu, przed tym, jak sam dał się ukłuć, w wywiadzie dla telewizji włoskiej powiedział: „Uważam, że z etycznego punktu widzenia wszyscy powinni się zaszczepić. To wybór etyczny, bo stawką jest zdrowie, życie, także życie innych”. © MAM

Coraz większe ssaki



TOBIAS DOHMAN / WIKIPEDIA.ORG

Wiewiórka *Neotamias umbrinus*

ŁOWCY-ZBIERACZE dziesiątki tysięcy lat temu wybili większość gatunków dużych ssaków lądowych, doprowadzając do potężnych zmian w ekosystemach.

W niektórych miejscach na świecie średnie rozmiary ssaków spadły wtedy nawet dziesięciokrotnie. Współcześni ludzie, jak wynika z badań Maggie M. Hantak i współpracowników, wywołali odwrotny trend – ze względu na postępującą urbanizację ssaki osiągają coraz większe rozmiary.

To dość zaskakujące. Znana jest reguła, zgodnie z którą cieplejszy klimat faworyzuje mniejsze ssaki, ponieważ potrafią się one wydajniej schładzać. Miasta są zaś „wyspami ciepła”, co w połączeniu ze zmianami klimatycznymi powinno prowadzić ssaki mieszkające w pobliżu dużych skupisk ludzkich do systematycznego zmniejszania rozmiarów. Te presje selekcyjne widocznie znoszone są jednak przez inne skutki urbanizacji, ułatwiające utrzymanie dużych rozmiarów ciała: spadek zagrożenia ze strony drapieżników i łatwiejszy dostęp do żywności wyprodukowanej przez człowieka.

© P ŁK

Wariant Delta i szczepionki: odporność z czasem spada

BADANIA PRZYNOSZĄ coraz więcej odpowiedzi na najważniejsze pytania o przyszłość pandemii. Jednym z nich jest trwałość odporności nabytej w wyniku zaszczepienia. Najnowsza publikacja, w której naukowcy z Oxfordu śledzą losy blisko 750 tys. osób, wyraźnie pokazuje, że szczepionki AstraZeneca i Pfizer chronią przed objawową infekcją zarówno wariantem Alfa (wcześniej brytyjski), jak i przeważającą ostatnio Deltą. Niestety, w obu przypadkach odporność zaczyna zanikać. AstraZeneca ma 61 proc. skuteczność po 90 dniach, a wynik Pfizera spada z 92 do 78 proc. To może wymusić podanie trzeciej dawki, jednak prac na ten temat wciąż brak.

Okazuje się też, że wariant Delta u osób zakażonych, ale zaszczepionych osiąga w wymazie takie same ilości, jak u osób zakażonych i niezaszczepionych. A to może oznaczać, że szczepienia, choć będą chronić przed objawami i zgonem, to przed rozprzestrzenianiem się Deltę już nie. Czy wówczas dwie dawki nie zapobiegną izolacji? Szefowa projektu prof. Sarah Walker podkreśla, że nie wiadomo, jak przełoży się to na faktyczną transmisję – „zaszczepieni mogą mieć duże ilości wirusa, ale przez krótszy czas”.

© BARTOSZ KABAŁA

KULTURA W SKRÓCIE

AWANGARDOWY KLASYK

Laureatem Nagrody Literackiej im. Zbigniewa Herberta został amerykański poeta Yusef Komunyakaa. „Podobnie jak Herbert, Komunyakaa jest awangardowym klasykiem, nigdy niezapominającym o etyce. Jego dzieło można odczytywać jako poszukiwanie pokoju, wolności i sprawiedliwości społecznej” – podkreśla członek jury, Edward Hirsch.

XABO NA FESTIWALU

Film „xABo: Książd Boniecki” zakwalifikował się do międzynarodowego konkursu na International Documentary Film Festival Flahertiana w Permie (Rosja). Festiwal odbędzie się w połowie września, a film oglądać można na platformie player.pl.

LEKCJE POEZJI

Biblioteka internetowa Wolne Lektury otworzyła nabór do Mistrzowskiej Szkoły Poezji. To 3-miesięczny, otwarty kurs online dla wielbicieli poezji oraz początkujących twórców. Wśród wykładowców są m.in. Justyna Bargielska, Grzegorz Uzdowski, Jerzy Jarniewicz i Piotr Śliwiński.

MURAL LEMA

W dzielnicy Mount Pleasant w Vancouver (Kanada) powstał mural zainspirowany powieścią „Solaris”. Praca jest głównym punktem obchodów setnej rocznicy urodzin Stanisława Lema, które przygotowuje Konsulat Generalny RP. Wykonawcą jest kanadyjski artysta ukraińskiego pochodzenia Dimitri Sirenko.



KONSULAT GENERALNY RP W VANCOUVER / FB

Trzy dekady w sieci

WOJCIECH BRZEZIŃSKI



PÓŁĄCZENIE KILKU KABELKÓW NA Uniwersytecie Warszawskim otworzyło 30 lat temu nową erę. To stwierdzenie jednocześnie nieco banalne i zupełnie nieoddające skali zjawiska. 17 sierpnia 1991 r. Polska podpięła się do internetu.

Do pierwszej międzynarodowej wymiany danych w protokole TCP/IP doszło pomiędzy UW a Uniwersytetem Kopenhaskim. Całe połączenie trwało minutę, a dane bieły z prędkościami mniejszymi niż 10 Kb/s. Dziś nasze łączy się średnio 3,5 tys. razy szybciej.



MICHAŁ SADOWSKI / FORUM

Targi Komputer Expo, Warszawa, 1992 r.

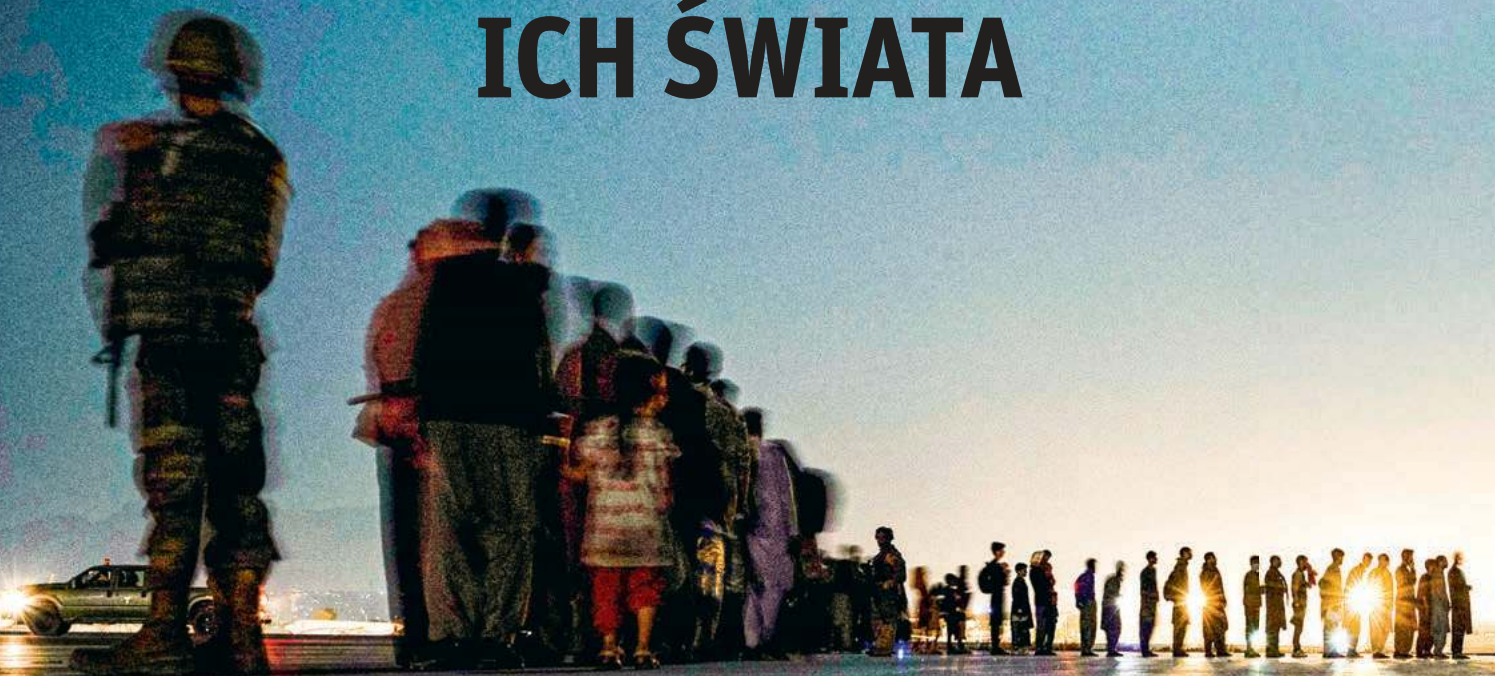
17 sierpnia jest datą nieco arbitralną, bo już we wrześniu 1990 r. pierwsze łącze analogowe uruchomił Instytut Fizyki Jądrowej w Krakowie. Faktem jest jednak, że dopiero od 1991 r. zaczął się prawdziwy przełom. W styczniu 1991 r. polski internet miał 2 tys. użytkowników. 20 października 1993 r. ruszył pierwszy polski serwis internetowy – „Polska Strona Domowa”. Stworzona przez Tim Berners-Lee pierwsza strona WWW w historii powstała 2 lata i 10 miesięcy wcześniej.

Dzisiaj, kiedy 30 mln Polaków korzysta z sieci niemal stale, stała się ona niewidzialna, jest oczywistą i naturalną częścią tego, jak działa świat.

I, wbrew wszelkim obawom oraz problemom towarzyszącym naszemu cyfrowemu życiu, mimo trolli, dezinformacji, desperackiej walki o zachowanie prywatności, świat dzięki istnieniu internetu jest bogatszy. Bo przy wszystkich swoich wadach sieć dała nam niemal nieograniczone możliwości poszerzenia wiedzy, kontaktu z kulturą czy z innymi ludźmi. Cyfrową telepatię. Tyle tylko, że ludzkość dopiero uczy się, co zrobić z tą stosunkowo nową supermocą.

© P

KONIEC ICH ŚWIATA



Talibowie zajęli kraj szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał.
Mieszkańcy Kabulu, których życie związane było z poprzednim porządkiem,
zamarli w oczekiwaniu. Oto ich głosy.

PAWEŁ PIENIAŻEK

SOWIECI OPUŚCILI AFGANISTAN, PRZEZ co upadek obłożonego marionetkowego rządu w Kabulu jest tylko kwestią czasu” – pisał w 1989 r. w artykule dla „Los Angeles Times” Aszraf Ghani.

Ponad trzy dekady później to Ghani był prezydentem. Jego tytuł z każdą godziną znaczył coraz mniej. Talibowie, którzy swoją ostatnią ofensywę zaczęli jeszcze z początkiem maja, na początku sierpnia przyspieszyli ją. Na końcu w błyskawicznym wręcz tempie zajmowali kluczowe miasta i nieuchronnie zbliżali się do stołecznego Kabulu.

W tym czasie Ghani przekonywał, że sytuacja może nie jest świetna, ale nie jest też tragiczna. Spotykał się z młodzieżą, rozmawiał z przedstawicielami rządu o potrzebie zwiększenia bezpieczeń-

stwa, zapowiadał, że rząd poradzi sobie, że afgańskie władze i ich porządek będą trwać. Ani Ghani, ani nikt z jego otoczenia nie mówił głośno o dotkliwych porażkach, jakby poprzez milczenie chcieli je odkręcić. Mieszkańcy Kabulu wiedzieli jednak swoje – w prywatnych rozmowach i na mediach społecznościowych wrzało.

Rzeczywistość błyskawicznie niwelowała optymizm władz. Po tym, jak na początku sierpnia talibska ofensywa nabrała rozmachu, wystarczyło już tylko dziesięć dni. Właściwie trudno powiedzieć, aby to była ofensywa – raczej kupczenie, bo kolejne dystrykty, prowincje i miasta często zajmowane były bez wystrzału. W końcu stanęli u bram Kabulu.

Dziś, w sierpniu 2021 r., tamto zdanie z tekstu Ghaniego – gdyby podobny tekst

powstał – mogłoby brzmieć: „Amerykanie opuścili Afganistan, przez co upadek obłożonego marionetkowego rządu w Kabulu był tylko kwestią czasu”. Miasto pozostało bez nadziei, nie mogąc liczyć na żadną pomoc.

Po zajęciu Kabulu przez talibów Reza napisał mi wiadomość poprzez komunikator internetowy: „Czujemy się jak owce, do których zbliża się rzeźnik z wielkim nożem oraz z uśmiechem na twarzy”.

Oczekiwanie

Reza już od jakiegoś czasu z przerażeniem obserwował sytuację w kraju. Był urzędnikiem państwowym. Obawiał się, że gdy do miasta wkroczą talibowie, czeka go nieuchronna śmierć. Dlatego na wszelki wypadek nie miał zamiaru wy-



Ewakuacja na lotnisku w Kabulu, 21 sierpnia 2021 r.

chodzić z domu. Zresztą nie miał też za bardzo po co.

Przed bankomatami kłębiły się takie tłumy, że czasami ochrona banków otwierała ogień w powietrze, by przestano na nich napierać; pieniądze wybierano do ostatniego afgani. Reza wiedział, że i tak się tam nie dopcha. Nie miał więc gotówki, by zrobić większe zapasy jedzenia. Sporadycznie chodził tylko do pobliskich sklepów. Gdy talibowie byli już w pobliżu miasta, nie poszedł też do pracy.

Wraz z żoną pozostało im wypatrywanie przez okno i przeglądanie mediów społecznościowych, aby choć spróbować zrozumieć, co tak naprawdę się dzieje. Do samego końca nikt nie wierzył w to, że talibowie mogą wkroczyć do Kabulu.

Wkrótce media i internet obiegrała informacja, że prezydent Ghani uciekł z kraju. Reza zrozumiał, że to koniec. Ostatni zagraniczni żołnierze konsekwentnie szykowali się do opuszczenia Afganistanu – tak by wyrobić się z wycofaniem do końca sierpnia. Prezydent Stanów Zjednoczonych Joe Biden pozostawał niewzruszony. Wyjaśniał, że obecność amerykańskich wojsk w dwadzieścia lat po ataku na World Trade Center, czyli pierwotnej przyczynie inwazji, nie ma żadnego uzasadnienia.

Reza przez okno widział policjantów, którzy wzywali wszystkich do tego, by zamknąć sklepy i udać się do domów. Miało to uchronić przed rozbojami.

Napięcie stawało się nie do zniesienia.

Bezsilność

Roszan, choć znajduje się kilka tysięcy kilometrów od Afganistanu (wyjechała z kraju lata temu), nie mogła jeść ani spać. Ledwie się trzymała, z jej głosu biło zmęczenie.

Nieustannie była w kontakcie z rodziną, która mieszka w Kabulu. Wysyłali sobie wiadomości tekstowe, głosowe, a jak internet pozwalał, to także dzwonili. Jeśli przeczytała coś w mediach, od razu informowała bliskich. Oni dzielili się z nią tym, o czym mówiło się w Kabulu.

Dopóki prezydent nie zniknął z kraju, jej bliscy wciąż mieli nadzieję, że może jakoś to będzie, że jakimś cudem uda się uchronić miasto. W końcu deklarował, że nie ustąpi i będzie walczyć do samego końca. Dlatego po jego dezercji zupełnie ➔

→ stracili nadzieję. Nie spodziewali się, że zostaną przez niego porzuceni.

Aż pewnego dnia jej krewny, dziennikarz, zadzwonił do Roszan i powiedział: „Lada dzień może mnie nie być”. Pracownicy mediów są jedną z najbardziej zagrożonych grup społecznych w Afganistanie. Talibowie od lat brutalnie się z nimi rozprawiali. Teraz zdawało się, że nadchodzi sąd ostateczny.

Roszan próbowała uspokoić krewnego, ale trudno opanować emocje u kogoś, kto czuje, że ma nóż na gardle. Dobięła ją to, że jest daleko i nie może pomóc. Czula się zupełnie bezradna. Sugerowała, by rozglądał się za możliwością wyjazdu z kraju, zamiast załamywać ręce. Wcześniej wysłał aplikacje do różnych programów relokacyjnych, ale do tej pory nie otrzymał odpowiedzi.

– Mam nadzieję, że przeżyje – mówi mi Roszan.

Chaos

Gdy prezydent uciekł, i gdy wraz z nim zniknęła władza w Kabulu, natychmiast rozpadł się dotychczas obowiązujący ład. Talibowie zapowiedzieli, że w tej sytuacji w ciągu kilku godzin wkroczą do stolicy, by zapewnić porządek.

Jeszcze działające banki zamknęły się na cztery spusty, podobnie jak sklepy, biura czy restauracje. Co bardziej przeznornie zamalowywali wizerunki kobiet na witrynach sklepów czy salonów kosmetycznych. Zakładali, że nie spodobałyby się nowej władzy, która kobiety w sferze publicznej chce widzieć w strojach zasłaniających twarz.

Policjanci, którzy jeszcze niedawno wzywali mieszkańców do zamknięcia sklepów, w pośpiechu zrzucali mundury i w ubraniach cywilnych starali się wmieszać w tłum albo po prostu poddawali się talibom, gdy niedługo potem wkroczyli oni do miasta.

Samochody stały w ogromnych nawet jak na Kabul korkach. Mnóstwo ludzi chciało uciekać ze stolicy, choć rzadko kiedy mieli pojęcie, dokąd, bo z otoczonego miasta nie ma wielu dróg ucieczki. W zasadzie pozostawało tylko lotnisko. Kipiący z niecierpliwości kierowcy wraz z pasażerami stali w korkach, a ci najbardziej zdesperowani porzucali samochody i szli na piechotę ze spakowanymi na szybko walizkami. Szczególnie na lotnisku próbowali posiadacze biletów i wiz, samych wiz,

a także ci niemający żadnych dokumentów.

Zachodnie ambasady były równie zaskoczone rozwojem wydarzeń, co mieszkańcy Kabulu. W ostatniej chwili ewakuowały swoich pracowników. Z dachu budynku amerykańskiej placówki personel zabierały helikoptery i przewoziły prosto na lotnisko wojskowe, przylegające do cywilnego. Znad ambasady unosił się dym, pracownicy niszczyli ważne dokumenty. Wkrótce ściągnęły z niej flagę.

Reza w wysłanej do mnie wiadomości próbował wykrzesać z siebie trochę humoru: „Nie mamy policji, armii ani nawet drogówki. Nie mamy prezydenta, jego zastępcy ani ministrów. Nie mamy też praw ani przepisów. To najzabawniejsze miejsce na świecie”.

Strach

Akurat tego dnia Lajla miała egzaminy na uniwersytecie. Na szczęście były online, nie musiała jechać na kampus. Rano było po sprawie.

To był już trzeci dzień, gdy nie wychodziła z domu. Ona i jej rodzina od jakiegoś czasu świetnie wiedzieli, że sprawy mają się jak najgorzej, bo w ich przestronnym domu nagle zaroilo się od ludzi. To krewni z różnych części Afganistanu, z których uciekli przed nacierającymi talibami. Krążyło wiele opowieści o gwałtach i przymusowym wydawaniu za mąż. Kuzynki Lajli wołały nie ryzykować i czekać, aby się przekonać, czy to prawda.

– Mieliliśmy złe przeczucia od lat, ale teraz czujemy, jakbyśmy nie mogli oddychać – pisze mi Lajla. – Świat zostawił nas samych na pastwę strachu i mroku.

Zadaję kolejne pytania, a po chwili otrzymuję od niej wiadomość: – Odpiszę, ale później, bo teraz nie mogę się skupić ani rozmawiać. Jestem załamana.

Choć Lajla nie musiała wychodzić z domu, jej rodzeństwo tego dnia było w pracy i na kampusie. Nie wracali długimi godzinami z powodu zakorkowanych ulic. Nie było z nimi kontaktu. W domu Lajli już ich oplakiwali, bo obawiali się, że nie wrócą.

W tym czasie talibowie wkraczali do miasta. Pojawiali się w różnych jego częściach, przez nikogo nie niepokojeni. Lajla wkrótce trafiła w sieci na wideo, na którym widać, że są już przed jej uniwersytetem. Bardziej niż szturm było to

wkroczenie. Zajęcie Kabulu odbyło się praktycznie bez starć.

Przez to, że Lajla nie mogła na własne oczy zobaczyć, co się dzieje na ulicach, strach był jeszcze większy. Nie mogła nawet zrozumieć, czy odgłosy wystrzałów karabinowych to starcia, czy salwy na wiat, świętowanie zwycięstwa.

Strata

Gdy talibowie zjawili się w mieście, poza tymi jego ulicami, którymi podążali ludzie desperacko starający dostać się na lotnisko, życie w większości ustało. Nikt nie wiedział, czego się spodziewać, więc na wszelki wypadek pochowano się w domach.

Wielu kabulczyków było w ten czy inny sposób powiązanych z porządkiem ustanowionym po tym, jak w 2001 r. Amerykanie i ich afgańscy sojusznicy obalili poprzedni reżim talibów. Oni najbardziej się bali. Dziennikarze, artyści, politycy, urzędnicy, pracownicy trzeciego sektora, a przede wszystkim aktywne społecznie kobiety – wszyscy oni czuli, że pętla zaciska się wokół ich szyi. Jedni zamykali drzwi w swoich domach na cztery spusty, inni porzucali je w biegu i szukali schronienia u bliskich.

– Nikt nie spodziewał się, że talibowie zjawiają się tak szybko, a pałac prezydencki wezmą do wieczora. Ludzie boją się o swoje życie, swoją własność, swoją pracę – pisze Reza.

Pałac prezydencki został wzięty bez wystrzału. Talibowie szybko się w nim rozgościli. W gabinecie jeszcze niedawno należącym do Ghaniego pozowali z karabinami do zdjęć dziennikarzom zagranicznych mediów.

Zajęli cały kraj – cały poza prowincją Pandższir, która po raz kolejny w afgańskiej historii stała się zarzewiem oporu. Kontrolują dużo więcej terenów niż podczas swoich pierwszych rządów w latach 1996–2001. Bojownicy z Pandższiru, odcięci od granic i dziś bez wyraźnego sojusznika zagranicznego, są w dużo trudniejszej sytuacji niż ćwierć wieku temu.

– Tylko nad Pandższirem unoszą się afgańskie flagi. To dla mnie ostatnia nadzieja – pisze Lajla.

Dla niej wraz z pojawieniem się talibów nastąpił koniec świata. Pisze: – Fizycznie nie jestem zagrożona, ale zniszczona psychicznie. Czuję się, jakbym rozpadła się na tysiąc kawałków. Płaczę z powodu tego losu, który zgutował nam



WAKIL KOHSAR / AFP / EAST NEWS

Zniszczone witryny salonów urody w Kabulu, 18 sierpnia 2021 r.

świat. Dla nas wszystko się skończyło. Nasze marzenia legły w gruzach. Utraciliśmy wolność. Wszystkie nasze wysiłki, by ten kraj stał się miejscem, gdzie może zapanować nadzieja i światłość, poniosły klęskę. Myśleliśmy, że jest to możliwe, że możemy zbudować go na nowo, że żyjąc tutaj możemy patrzeć w przyszłość. Teraz jednak nawet nie chcę o niej myśleć. Straciliśmy wszystko, o co walczyliśmy.

Lotnisko

Wymownym dowodem na to, że świat skończył się nie tylko dla Lajli, są sceny z kabulskiego lotniska. Jego pracownicy w większości rozeszli się do domów, nie wiedząc, co robić w zaistniałej sytuacji. Ci, którzy pozostali, nie byli w stanie poradzić sobie z nacierającym tłumem, który rozbiegł się po płycie startowej. Port lotniczy został sparalizowany. Jeden z samolotów cywilnych, który miał za chwilę odlecieć, pozostał na płycie, bo osaczyli go pasażerowie na gapę, gotowi zadowolić się choćby miejscem stojącym. Pokład wkrótce opuścili piloci i załoga, maszynę pozostawiono otwartą na oścież.

Loty cywilne zostały wstrzymane. Jedyną szansą, by wydostać się z Kabulu, jest trafienie do samolotu wojskowego któregoś z krajów prowadzących ewakuację swoich obywateli oraz Afgańczyków zagrożonych rządami talibów. Nie każdy może dostać się na listy. Kilka tysięcy żołnierzy amerykańskich, brytyjskich i sojuszniczych (z kilkunastu krajów NATO) kontroluje stołeczne lotnisko wojskowe: to ostatnia droga ucieczki. Ludzie są gotowi na wszystko, by wdrzeć się do środka. Spędzają tam kolejne doby. Niektórzy giną zadeptywani na śmierć, niektórzy zapewne także od kul. W powie-

trze strzelają talibowie i zagraniczni żołnierze, pragnący rozpedzić tłumy.

Prezydent Biden zapowiedział, że jego żołnierze będą na lotnisku do końca sierpnia. Widać już, że tak szybka ewakuacja nawet tych, którzy są na listach – to łącznie kilkadziesiąt tysięcy ludzi – jest niemożliwa. Kolejni sojusznicy namawiają Bidena, aby przedłużył termin opuszczenia lotniska.

W pierwszym chaosie, zaraz po wejściu talibów, najbardziej zdesperowani Afgańczycy łapali się wojskowych samolotów, jadących już po pasach startowych. Później ich szczątki znajdowano w lukach albo spadały na okoliczne domy.

Rozboje

Jednym z pracowników lotniska był krewny Roszan. Tamtego dnia pozostał na nim do późnego wieczora. Gdy wracał autem do domu, uzbrojeni mężczyźni w strojach cywilnych, stojący przy policyjnym pick-upie, wycelowali w niego karabiny. Grozili, że go zabiją, jeśli nie odda samochodu. Zrobił to posłusznie. W aucie miał też laptop, telefon i dokumenty.

Był tak roztrzęsiony, że nie zapamiętał zbyt wielu szczegółów. Zresztą komu miałby zgłosić sprawę? W Kabulu przebieżność od dawna była wielkim problemem, a w momencie chaosu rozpleciła się zupełnie. Uzbrojone grupy napadały na ludzi, często podszywając się pod talibów. Dlatego nie było wiadomo, z kim miało się do czynienia. Mogli to być przestępcy, talibowie, a nawet prawdziwi policjanci. Roszan nie wie, skąd krewny wziął telefon, żeby uspokoić rodzinę, że do domu wraca pieszko i dotrze później niż zwykle.

W pierwszych dniach podszywanie się pod talibów stało się częstą praktyką, przez co wiele rodzin, w tym rodzina Roszan, opuszczała dom tylko wtedy, gdy już naprawdę nie było co jeść. Szli do najbliższego sklepu czy piekarni, a potem znowu zamykali wszystkie zamki.

Zdjęcie

Fatima była najbardziej zapobiegliwa. Nie minął jeszcze tydzień od tamtego nagłego przyspieszenia ofensywy talibów na początku sierpnia. Wówczas jeszcze skupiali się oni niemal wyłącznie na północy kraju. Wtedy wydawało się, że Kabul pozostanie pod kontrolą sił rządowych przynajmniej jeszcze przez kilka tygodni. Każdy jednak starał się uspokoić i odsuwał od siebie możliwość, że stolica może być zagrożona.

Fatima nie miała złudzeń: wyjechała do rodzinnej wioski, położonej w jednej z afgańskich prowincji. Ona, niezamężna kobieta z dala od rodziny, pod rządami talibów przepadłaby w Kabulu.

Szybko okazało się, że nawet na wsi nie jest bezpiecznie. Niemal natychmiast zaprowadzono tam nowe porządki. Kobiety nie mogą wychodzić z domów bez towarzystwa męża lub członka rodziny. Muszą ukrywać się pod burkami.

Fatima wysłała mi zdjęcie, na którym jest ona i dwie inne kobiety z jej rodziny. Wszystkie mają uniesione okrycia, przez co widać ich twarze. Dwie kobiety niepewnie się uśmiechają, Fatima ma poważną minę. Takie zdjęcie – to symboliczny akt oporu, bo talibowie już ostrzegali mieszkańców wsi, że za brak podporządkowania grozi kara chłosty.

Wymieniamy się wiadomościami godzinę po tym, jak bojownicy przyszli przeszukać jej dom. W tamtym świecie, który właśnie się skończył, część członków jej rodziny była zaangażowana w działania na rzecz praw kobiet. Fatima pisze, że nie wie, czego talibowie szukali, ale chyba tego nie znaleźli. Po trzydziestu minutach dali jej spokój, odjechali. Strach jednak pozostał.

W Kabulu Fatima nigdy nie czuła się zupełnie bezpieczna, pokój i bezpieczeństwo odnajdywała tylko w rodzinnych stronach. Teraz również i tam nie może na to liczyć.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Tekst ukończono w niedzielę 22 sierpnia. Imiona wszystkich bohaterów zostały zmienione.

Pożegnanie z Afganistanem

WOJCIECH JAGIELSKI

W okamgnieniu runął nowy wspłaniaty świat, jaki Zachód budował, aby wyrwać ten kraj z wojen i zacofania. Diabli wzięli nadzieje, jakie w Zachodzie pokładało wielu Afgańczyków.

JESZCZE W PIERWSZYM TYGODNIU SIERPNI TALIBOWIE, którzy od lat panowali po wsiach, mogli tylko pomarzyć, że obejmą władzę w którejś ze stolic 34 prowincji kraju. Szóstego dnia sierpnia, w piątek, muzułmański dzień święty, zajęli pierwszą: Zarandż, miasto przemytników, stolicę prowincji Nimruz, na pograniczu z Iranem i Pakistanem. Najutrz wkroczyli do Sziberghanu, stolicy północnej prowincji Dżauzdżan, a następnego dnia ich chorągwie załopotwały nad kolejnymi trzema. Amerykański wywiad ostrzegł wtedy, że za miesiąc talibowie mogą stanąć u bram Kabulu, a przed końcem roku nawet go zająć.

Zwycięstwo błyskawiczne

W kolejny piątek, trzynastego, talibowie zdobyli Herat, stolicę afgańskiego zachodu, i Kandahar, stolicę południa. W sobotę poddała się im stolica północy, Mazar-e Szarif, a w niedzielę o poranku stolica wschodu, Dżalalabad. Tego samego dnia, w południe, poddał się Kabul. Prezydent Aszraf Ghani, który zanim zajął się polityką, nauczał na amerykańskich uniwersytetach, jak stawiać na nogi państwa upadłe, uciekł z kraju.

Maszerując od zwycięstwa do zwycięstwa, talibowie nie musieli nawet specjalnie walczyć. Owszem, czasem napotykali na opór. Ale ogromna większość rządowego wojska, kilkukrotnie liczniejszego od partyzantów, na którego wyszkolenie, utrzymanie i uzbrojenie Amerykanie wydali prawie 100 mld dolarów, rzucała na ich widok broń, szła w rozsypkę albo na żądanie lokalnej starszyny kapitulowała lub przechodziła do obozu wroga.

Może raczej mieli więc gospodarze Białego Domu, mówiąc, że jeśli Afgańczycy nie zaczną walczyć o zbudowane im przez Zachód państwo, to amerykańscy żołnierze dłużej nie będą ich w tym wyręczać. Już w maju Amerykanie zapowiedzieli, że do końca sierpnia wyjadą z Afganistanu i zakończą wyprawę wojenną, która niespodziewanie przerodziła się w 20-letnią wojnę – najdłuższą, jaką toczyła Ameryka.

Sprzedawcy wyciągają spod gruzów resztki zniszczonego towaru ze swoich sklepów zburzonych przez czołgi i ostrzał rakietowy. Dżalalabad, 28 kwietnia 1992 r.

Wiosna 1992: nastrój tamtej chwili

Śledząc zwyczajski pochód talibów, natknąłem się na film: pokazuje, jak wkraczają do Heratu. Biegną truchtem główną ulicą, trochę niezgrabnie, bo w sandałach i plastikowych klapkach, strzelając raczej na postrach niż do celu. Patrząc na nich odnosiłem wrażenie, że przecież już raz to widziałem: wówczas, gdy jesienią 1996 r. ni to biegiem, ni to marszem wkraczali do Kabulu, aby po raz pierwszy objąć w nim władzę.

Złudzenie pętli czasu rozwiązało się, gdy tuż za truchającymi talibami pojawili się ich towarzysze broni w nowiutkich wozach bojowych Humvee, podarowanych przez USA afgańskiemu wojsku, aby rozgromić talibów. Partyzanci w zdobycznych rydwanach w paradnym szyku – paradnym, nie bojowym! – sunęli ulicami Heratu.

Po raz pierwszy przyglądałem się wymianie rządzących w Kabulu z tak daleka. Przez prawie 20 lat jeździłem do Afganistanu jako dziennikarz i na podróżach pod Hindukusz zeszły mi w sumie ze dwa lata. Poza Polską w żadnym innym kraju nie spędziłem tyle czasu.

Wiosną 1992 r. pod hotel Spinzar, przy głównym bazarze i głównym meczecie Kabulu, zajechałem z fasonem jak na korespondenta wojennego przystało: na pancerzu czołgu należącego do dezertków z ówczesnego wojska rządowego. Postanowili rzucić służbę u prezydenta Nadżibullaha, wyniesionego do władzy przez Związek Sowiecki, i przejść na stronę walczących z nim partyzantów, mudżahedinów. Wspólnie obalili oni opuszczonego przez wszystkich Nadżibullaha (pozbawiony władzy, poprosił o azyl w śródmiejskim gmachu ONZ) i zabierali się właśnie za dzielenie władzy. Mudżahedini, którzy rozlokowali się w Spinzarze, należeli do jednej z mniejszych z tuzina partyzanckich partii i ich przywódcy nie mieli wielkich nadziei na stanowiska w rządzie.

W mieście było jeszcze spokojnie, wojna o łupy miała dopiero się zacząć i kabulczycy, którzy początkowo bali się mudżahedinów, dzikich wojowników z gór, z ulgą odkrywali, że przypominali raczej prowincjuszy, przestraszonych



UDO WEITZ / EAST NEWS

wielkomiejskim szykiem i gwarem. W wiosennym powietrzu, rześkim i czystym, czuło się jakąś ulgę, a nawet nieśmiałą nadzieję, że po 10-letniej wojnie nastanie wreszcie pokój i wszystko się ułoży.

Mnie widok mudżahedinów wydawał się cudem na ziemi. Obdarcy, długowłosi i bosonodzy, uzbrojeni w zwykłe karabiny i bazooki, pokonali armię sowiecką, jedną z najpotężniejszych na świecie. Dokonali czegoś, co nie miało prawa się zdarzyć.

Może gdybym trafił do Afganistanu w innym czasie i innym stanie ducha, nie stałby się on dla mnie miejscem tak ważnym, nigdy nie nabrałby takiego znaczenia. Ile razy wracałem potem do Afganistanu, próbowałem odnaleźć nastroj tamtej wiosny.

Wieczorami mudżahedini schodzili się do hotelowej sieni na telewizję. Opierali karabiny o lizajowate ściany, rozsiadali na wypłowiałych kanapach i w klubowych fotelach, a potem jak zaczarowani zamierali w milczeniu przed ekranem, wpatrując się w rysunkowe baśnie o Alicji z Krainy Czarów, Kubusiu Puchatku, Królownie Śnieżce i siedmiu krasnoludkach, a także rosyjską kreskówkę o sprytnym zając i gapowatym wilku. Gdy bajki nadawane na dobranoc dla dzieci się kończyły, brodaci wojownicy budzili się z odrętwienia i w milczeniu wychodzili na plac przed Spinzarem, gdzie rozłożyli obozowisko. Spali na dworze, choć w hotelu zajęte były może ze cztery pokoje.

Jesień 1996: talibskie porządki

Cztery lata później, jesienią 1996 r., w kabulskim śródmieściu przyglądałem się, jak do stolicy wkraczają talibowie – młodszy bracia mudżahedinów, wojenne sieroty, wychowane na uchodźczym wygnaniu za pakistańską granicą.

W partyzancką armię skrzyknęli ich mułowie, ich wychowawcy i nauczyciele, którzy uznali, że tylko za sprawą narzucenia Afganistanowi bożych porządków, na gruncie rygorystycznej interpretacji islamu, uchroni się kraj od przemocy, bezprawia i bezkrólewia, jakie zapanowały, gdy pogromcy armii sowieckiej, mudżahedini, pokłócili się przy dzieleniu władzy, skoczyli sobie do gardeł i wywołali nową wojnę – bratobójczą.

Wielu Afgańczyków witało wtedy talibów jako jedynych sprawiedliwych, wyzwolicieli i zbawców. Oni zaś kroczyli od zwycięstwa do zwycięstwa, zajmowali jedną prowincję po drugiej, aż stanęli u bram Kabulu. Stolica poddała się bez walki, znów o wszystkim rozstrzygnęły zdrady możnowładców, którzy w nadziei uratowania władzy, majątków i życia przechodzili, jak zwykle, do obozu silniejszego z rywali.

Kiedy przez Przełęcz Chajberską – na granicy Afganistanu i Pakistanu – przyjechałem do Kabulu, talibowie ścignęli już z latarni zwłoki Nadżibullaha, którego zaraz po wkroczeniu do stolicy wyciągnęli z kryjówek w gmachu ONZ i powiesili (w międzyczasie trupa wlekli ulicami, aby pokazać jego mieszkańcom, jaki los czeka bezbożników i zdrajców).

Całe miasto obwieszone było taśmami, które wyciągali z rekwizowanych magnetofonów i magnetowidów. Ich emirowie uznali muzykę i wszelką rozrywkę za grzech – i brunatne wstążki powiewały z drzew, płotów oraz bram. Na



ROGER LENOYNE / GETTY IMAGES

*Oddziały talibów na linii frontu w pobliżu Kabulu,
21 października 1996 r.*

ulicznych trotuarach walały się skorupy rozbitych lub rozstrzelanych telewizorów, również zakazanych przez talibów.

Ludzie dziwili się nowym porządkom, ale poddawali się im bez protestu. Tak naprawdę niewiele o talibach wiedzieli. Czuli ulgę, bo dzięki nim zapanował pokój. W mieście ucichła wreszcie uliczna wojna, która przemieniła połowę stolicy w pustynię gruzów, miejskie cmentarzysko. Wreszcie można było przestać martwić się o jutro, wybiec myślą w przyszłość, wsiąść w Kabulu do autobusu, nie obawiając się rabusiów czy partyzantów. A nawet pojechać bez przeszkód Przełęczą Chajberską do pakistańskiego Peszawaru albo na południe do Kandaharu czy na zachód do Heratu, aż pod irańską granicę. Kupcy ze śródmiejskich bazarów zaczęli dłonić.

Jesień 2001: nowa nadzieja

Pięć lat później ręce zacierali kabulscy fryzjerzy. Odkąd talibowie uciekli ze stolicy, fryzjerzy nie mogli nadążyć z gołębieniem bród, które wcześniej zgodnie z edyktem talibskiego emira Omara obowiązkowo musiał zapuszczać każdy prawowitny Afgańczyk.

Z kolejną partyzancką armią, która przejęła władzę w Kabulu, wjechałem do miasta tym razem od północy – ze słynnej doliny Pandższiru, twierdzy wiecznych buntowników. W latach 80. XX w. nie zdobyła jej armia sowiecka, a w latach 90. nie weszli tam talibowie, choć podporządkowali sobie resztę kraju.

Jesienią 2001 r. partyzanci z Pandższiru ruszyli na Kabul, by odbić go z rąk talibów. W pojedynkę nie daliby rady, ale tym razem drogę mieli szeroko otwartą, bo przeciwko talibom wystąpili Amerykanie, których lotnictwo gromiło z nieba oddziały, czołgi, stanowiska artylerii i wszelkie fortyfikacje emira Omara.

Wcześniej to Omarowe królestwo, jakie zaprowadził on w Afganistanie, przerodziło się w tyranie, a afgańskie

GETTY IMAGES



Po ucieczce talibów ze stolicy mężczyźni ruszyli masowo golić brody. Kabul, 14 listopada 2001 r.

→ państwo w nędzarza i pariasa, z którym nikt na świecie nie chciał mieć nic do czynienia. Nikt, poza Terrorystyczną Międzynarodówką, czyli Al-Kaidą, której talibowie udzielili gościny i której przywódcy tutaj, pod Hindukuszem, obmyślili plan zaatakowania Nowego Jorku i Waszyngtonu uprowadzonymi samolotami pasażerskimi, pilotowanymi przez zamachowców-straceńców.

W odwecie za ten atak Stany najpierw zażądały od talibów wydania ludzi Al-Kaidy, a gdy Omar odmówił – dokonały zbrojnej inwazji. Ci nawet nie próbowali stawiać oporu, lecz czmychnęli przed ścigającymi ich myśliwcami i bombowcami za pakistańską miedzę. Emir, jednooki mułła Omar, nie musiał nawet uciekać z Kabulu. Nigdy w nim nie osiadł. Uważał stolicę i w ogóle wielkie miasta za jaskinię grzechu i przez całe pięcioletnie panowanie nie ruszył się na krok z Kandaharu, kolebki talibów.

Wkraczających do Kabulu partyzantów z Pandzsziru nie witały wiwaty ani ustrojone girlandami bramy powitalne. Nikt zresztą Afgańczyków nie pytał o zdanie, czy im się coś podoba, czy nie. Przywykli traktować przewroty i pałacowe zamachy jak dopust losu, na który nic się nie poradzi.

Źródłem ulgi, nadziei, a nawet ufności, jakie czuło się jednak wyraźnie w tamtym jesiennym powietrzu, przesyty tym już chłodem, były natomiast obietnice płynące z Ameryki. Jej przywódcy, włodarze jedyne go światowego supermocarstwa, obiecywali Afgańczykom, że już nigdy więcej nie zostaną sami w biedzie, że cały Zachód pomoże im stanąć na nogi oraz urządzi życie tak, aby nie zaznali już wojny, ponieważ i bieda.

Rozmawiając z Afgańczykami w czajchanach, a z zachodnimi dyplomatami w otwieranych na nowo z pompą ambasadach, odnosiłem wtedy niezmiennie wrażenie, iż jedni i drudzy wierzą, że tę obietnicę uda się spełnić, a po latach chudych w Afganistanie nastąpią w końcu te tłuste, wycekiwane i wymodlone.

Republika: nowe państwo i wojna od nowa

Dlaczego więc wszystko poszło nie tak?

Dopóki sprawy w państwie afgańskim nie zaczęły się znowu psuć, miały się przecież całkiem dobrze. Przepytywani przez cudzoziemskich dziennikarzy, Afgańczycy mówili, że kraj zmierza w dobrym kierunku.

Czy zaczęło się psuć już wiosną 2003 r., gdy Amerykanie uderzyli na irackiego dyktatora Saddama Husajna? Czy może latem 2005 r., po pierwszej w dziejach Afganistanu wolnej elekcji prezydenta, gdy Amerykanie odwołali z Kabulu swojego ambasadora? Uznali, że sprawił się z afgańskim zadaniem, i powierzyli mu nowe – w Bagdadzie. Na wieść o tym Afgańczycy wszczęli lament, że Ameryka o nich zapomina.

Wyjazdowi ambasadora USA towarzyszyła dobiegająca już z południa kraju karabinowa palba. Talibowie – zdawałoby się, że raz na zawsze rozbici i pokonani – za pakistańską miedzą zebrali się w nowe partyzanckie wojsko i afgańska wojna, uznana za wygraną i wygasła, znów zaczęła się tlić, by w końcu wybuchnąć pełnym płomieniem.

Najpierw w ogniu stanęło afgańsko-pakistańskie pogranicze, ale pożar szybko ogarnął także rozległe, skaliste i pustynne południe, które stało się ziemią niczyją, po czym przechodziło w ręce talibów. W Kabulu i większych miastach pojawili się zamachowcy-straceńcy, zaczęły wybuchać bomby. Gdy Amerykanie odrzabili odwrot po fatalnie nieudanej ekspedycji do Iraku i znów zajęli się afgańskimi sprawami, było już za późno, wojna toczyła się znów w najlepsze.

Afgańczycy tracili cierpliwość. „Są już u nas za długo” – mówili o obcych wojskach i ślimaczącej się powojennej odbudowie. Mój znajomy afgański poseł Ramazan Baszardost, absolwent francuskiej akademii zauroczony polską Solidarnością i wyznaczony na ministra finansów, nazywał cudzoziemców szkodnikami. Twierdził, że trwonią na głupstwa pieniądze wydzielone hojnie przez Zachód Afganistanowi. „Umościli tu sobie wygodne gniazdzka, a nas mają za nic” – grzmiał w parlamencie, żądając, by zagraniczne organizacje dobroczynne przedstawiły księgi rachunkowe i opowiedziały, na co wydały miliardy dolarów obiecanych przez świat jego krajowi. Lamentował, że tylko czwarta część tych pieniędzy trafia do rąk rządu. „Afganistanem władają cudzoziemcy” – narzekał, a nie doprosiwszy się wsparcia u prezydenta, rzucił posadę, oskarżając prezydenckich dworzan, że rozkradają kraj do spółki z cudzoziemcami.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK
POWSZECHNY**AFGANISTAN**Czytaj na bieżąco powszech.net/afganistan

głównych, popełnianych tak przez zachodnich dobrodziejów, jak ich afgańskich podopiecznych. Na pychę zakrawał już cel, jaki Zachód, choć dziś się tego wypiera, sobie wyznaczył: w kilka lat zbudować pod Hindukuszem wzorową Republikę.

Chciwość, zazdrość i łakomstwo rozkwitły przy nieprzebranej rezece pieniędzy, płynącej na wielką afgańską budowę. Zachodni dobrodzieje, którzy nią zawiadowali, nie dopuszczali do niej Afgańczyków. „Nie znają się na tym – tłumaczyli. – A miliony dolarów będą dla nich pokusą, której nie będą potrafili się oprzeć”. Z kolei Afgańczycy oskarżali zachodnich dobrodziejów, że przyjechali pod Hindukusz tylko po to, by dorobić się na ich nieszczęściu i biedzie. „Chcemy jedynie im pomóc i dzielimy się z nimi tym, co mamy najlepszego” – mówił mi jeden z włoskich inżynierów. A pewien amerykański pułkownik, przyznając, że nie za bardzo rozznaje się w tutejszej specyfice, powiedział: „Wiadoma rzecz, Afganistan to nie moja Montana, ale skoro nam w Montanie udało się ułożyć godne życie, to dlaczego miałoby się to nie powieść w Afganistanie?”.

Wreszcie nadszedł czas lenistwa i gniewu. Ubezważeni i rozczarowani Afgańczycy oraz rozgoryczeni ich niewdzięcznością Zachód zaprzestali wszelkich starań. Budowa Republiki stanęła, ale nikomu nie starczyło odwagi, by ją przerwać lub zarządzić generalny remont, za nią jeszcze została skończona.

W dziesiątym roku wojny, gdy odwiedziłem Afganistan po raz ostatni, dwie trzecie jego mieszkańców uważało już, że sprawy w kraju idą w złym kierunku. Nawet panujący wówczas prezydent Hamid Karzaj przyznawał, że w państwie źle się dzieje, ale winą za to obarczał Amerykanów.

Ostatniego dnia mojej ostatniej podróży do Afganistanu wybrałem się na spacer po śródmiejskiej dzielnicy Szar-e Nau. Przed parkiem w pobliżu kina natknąłem się na patrol amerykańskich żołnierzy. Szli w bojowym rynsztunku. Przez nikogo niezaczepiani, poruszali ustami, szepcząc do niewidzialnych mikrofonów i nie wydając niemal dźwięku. Do wiel-

kich zsuniętych na oczy hełmów mieli przytroczone noktowizory. Na mundury założone kamizelki kuloodchronne oraz ochraniacze na łokcie i kolana.

Sklepiarze i przechodnie schodzili im z drogi. „Wszystkich traktują jak wrogów” – szeptali między sobą Afgańczycy. A ja, stojąc wśród nich, przypominałem sobie stare afgańskie przysłowie, które przed laty przytoczył mi pewien partyzancki komendant z Pandższiru: „Ujrzyj we mnie swego wroga, a wnet się nim stanę”.

Lato 2021: bez nadziei

Szósty krzyżyk na karku nie idzie w parze z metryką wojennego korespondenta, więc gdy dziś do Kabulu wkraczali jego nowi zdobywcy, talibowie, patrzyłem na to z daleka, z fotela, na którym oglądałem mecze angielskiej ligi piłkarskiej.

Runął niedokończony gmach Republiki. Nikt się jej nie wyrzekł, ale mało kto jej bronił. Można się było tego spodziewać, odkąd pod koniec zeszłej zimy zniecierpliwieni uporem swoich protegowanych z kabulskiego rządu, Amerykanie rządzeni przez Donalda Trumpa dobili ponad ich głowami targu z talibami. Obiecali im, że zabiorą wojnę z Afganistanu, a talibowie obiecali, że nie będą strzelać do wycofujących się Jankesów i ich sojuszników. Armia rządowa – wcześniej wyręczana przez lotnictwo USA i odwykła od walki – nie podjęła jej, gdy doczekawszy się cierpliwie wyjazdu Amerykanów i ich sojuszników, talibowie ruszyli do natarcia.

Oglądając w telewizji, jak w Kabulu nastają nowi rządzący, dostrzegłem niepewność i strach, które widziałem 25 lat temu, gdy talibowie obejmowali władzę po raz pierwszy. Może to kwestia telewizyjnych kadrów, a może punktu obserwacji, ale tym razem nie dostrzegłem już jednak żadnej nadziei.

Wydało mi się, że nie rozbudzili jej nawet emirowie talibów, którzy – objąwszy powtórnie we władanie afgańskie państwo – obwieścili, że wojna się skończyła.

© © WOJCIECH JAGIELSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń,
Mariusz Sepioto, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzińska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kačka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Król



„POSTAWISZ NAD SOBĄ KRÓŁA, KTÓREGO wybierze Pan, twój Bóg...” (Pwt 17, 15). Zbliża się czas, gdy Izraelici przestaną być już nomadami i osiadą we własnym kraju. Rozwój rolnictwa i handlu zrodzi potrzebę centralizacji funkcji administracyjnych i militarnych. Wówczas Izrael zacznie dopominać się o króla. Prorok Samuel wysunie przeróżne argumenty (1 Sm 8), ale w końcu zaakceptuje wolę ludu, uznając monarchię za zło konieczne. Powyższego cytatu nie należy więc rozumieć jako zobowiązania do posiadania ziemskiego władcy, jest to jedynie informacja, że taka możliwość istnieje.

W praktyce wybór króla przez Najwyższego polega na tym, że przyszłego władcę wskazuje prorok. Kandydat musi być rodowitym Izraelitą. W Talmudzie jest opowieść o królu Judy Agrypie I, osadzonym na tronie przez Rzym. Wywodził się on z Edomitów. Podczas ceremonii roku jubileuszowego Agrypa I odczytywał Torę. Gdy doszedł do Pwt 17, 15, rozpłakał się w poczuciu, że nie jest godzien sprawować władzy ze względu na swe pochodzenie. Jednakże lud zapewnił króla, że uważa go za brata.

Urząd królewski podlega ograniczeniom. Władca nie może mieć zbyt wielu koni – czyli jego armia nie powinna być nazbyt liczna. Królowi nie wolno także mieć zbyt wielu żon. Koszty utrzymania haremu są wysokie i zwykle odbija się to na wysokości podatków. Poza tym bujne życie osobiste utrudniałoby monarsze zajmowanie się sprawami swoich poddanych. Trzecie ograniczenie dotyczy ilości posiadanych bogactw, by ustrzec poddanych przed wyzyskiem.

Na królu ciąży obowiązek posiadania własnego zwoju Tory, który władca ma nosić ze sobą i nieustannie studiować. Musi sprawować rządy w zgodzie z Torą, która będzie pełnić funkcję konstytucji państwowej. Niemożliwa jest sytuacja, w której król Izraela stałby się stojącym ponad prawem despota. Poddani są zobowiązani modlić się za władcę. Tak ujmuję to Talmud: „Rabin Chanina, zastępca arcykapłana, rzecze: módl się za pomyślność władcy, bo gdyby nie obawa przed nią, jeden by drugiego żywcem połknął”. Modlitewnik używany w Polsce jeszcze na początku tego wieku zawiera m.in. modlitwę za cara i jego rodzinę. Gdy ujrzymy koronowaną głowę, odmawiamy specjalne błogosławieństwo – pamiętali o tym niektórzy żydowscy nobliści podczas ceremonii wręczenia nagrody.

Monarchia monarchią, a jedynym prawdziwym Królem Izraela jest Najwyższy. Śmiertelnik może być co najwyżej Jego wybranym. Ziemski król jest odpowiedzialny przed Najwyższym, a także przed ludem, który wprowadził go na tron. Nie stoi ponad poddanymi, lecz jest ich bratem. Zaiste – *primus inter pares*. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Diabelskie oszustwo



FARYZEUSZE I NAUCZYCIELE PISMA PYTALI Jezusa: „Dlaczego Twoi uczniowie nie postępują zgodnie z tradycją starszych, lecz jedzą chleb nieczystymi rękami?”. Oczywiście chodzi o pobożne praktyki rytualne, a nie o zabiegi higieniczne. Jezus, odpowiadając, nie daje się wciągnąć w jałową, kazuistyczną polemikę. Mówi, że nie podziela poglądów faryzeuszy i nauczycieli Pisma, gdyż przeczą one duchowi przykazań, jak i zwykłemu ludzkiemu doświadczeniu: „Odrzucając przykazanie Boże, trzymacie się ludzkiej tradycji”. Następnie: „Nic, co wchodzi do człowieka z zewnątrz, nie może go splamić. (...) Z wnętrza, z serca ludzkiego pochodzą złe myśli, rozpusta, kradzieże, zabójstwa, cudzołóstwa, chciwość, przewrotność, podstęp, wyuzdanie, zawiść, bluźnierstwo, pycha, głupota. Całe to zło wychodzi na zewnątrz i plami człowieka”.

Rozmówcy Jezusa zarzucają Mu demoralizację uczniów. Swoje oburzenie uzasadniają nieliczeniem się z niezmiennością Prawa i tradycji. Dlatego papież Franciszek mówi: św. Paweł przypomina, że „Prawo nie jest podstawą Przymierza, ponieważ przyszło później”, a „wszyscy, którzy uwierzyli w Jezusa Chrystusa, są powołani do życia w Duchu Świętym, który wyzwala ich z Prawa i jednocześnie doprowadza je do pełni, zgodnie z przykazaniem miłości”. „Przykazania są aktualne w tym sensie, że są wychowawcą, który prowadzi ciebie do spotkania z Jezusem. Ale jeśli pominiesz spotkanie z Jezusem i chcesz cofnąć się, nadając większą wagę przykazaniom – to był problem tych fundamentalistycznych misjonarzy, którzy wmieszali się między Galatów, aby im zamieszać w głowach. Niech Pan pomoże nam podążać drogą przykazań, ale patrząc na miłość Chrystusa, spotykając się z Chrystusem, wiedząc, że spotkanie z Jezusem jest ważniejsze niż wszystkie przykazania”.

Po ogłoszeniu „Traditionis custodes” dowiedzieliśmy się, że dokument ten to „wyrok śmierci na wspólnoty »Summorum pontificum«”. Należy rzekomo podnieść przeraźliwy krzyk wobec diabelskiego oszustwa mającego na celu zaatakowanie serca Kościoła: Mszy Świętej Wszech Czasów. Trwa rewolucja liturgiczna, wojna na krawędzi przepaści, Armagedon – bomba atomowa zrzucona na wiernych tradycji. Następuje kolejna faza erozji władzy w Kościele. Franciszek przekroczył kompetencje, a sam tytuł „Stróż tradycji” to „orwellowska antyfraza” i „szyderczy sarkazm”. Dlatego „z prawdziwą synowską pobożnością wszyscy możemy wołać: Prosimy, Ojciec Święty, obudź się! Otwórz oczy i zobacz, że szatan, natrząsając się szyderczo, okrutnie urąga się z Ciebie i Twoich dzieci! W trosce o zbawienie naszych dusz i Twojej własnej bądź prawdziwym Strażnikiem, a nie Zdrajcą Świętej Tradycji!”. No cóż, pisownia oryginalna, a „twoja mowa cię zdradza”... ©

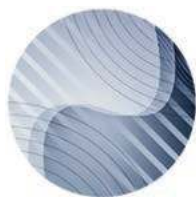
ABP GRZEGORZ

Ryś:

Ostatni – pierwszymi

Ukazuje się zgodnie z miarą tego, w którym się narodził, odpowiednio do możliwości tego, w którym przebywa, jest dzieckiem, młodzieńcem, dorosłym.

GRZEGORZ Z NYSSY



Bóg trwa w ukryciu i każdy go może widzieć według własnego usposobienia: jeden w płaczu, inny w modlitwie, jeszcze inny w pieśni pochwalnej.

RABBI PINCHAS Z KORCA



„TAK OSTATNI BĘDĄ pierwszymi, a pierwsi ostatnimi” – dwukrotnie pada ta zasada Jezusowa w Mateuszowym zapisie Ewangelii (zob. Mt 19, 30 i 20, 16). Stanowi ona najpierw zapowiedź, a następnie podsumowanie przypowieści o robotnikach w winnicy. Najwyraźniej przypowieść ta ma ją objaśnić i uzasadnić. W pierwszym odbiorze jednak nie wydaje się, by tak się działo... Pamiętamy: pewien właściciel winnicy wychodzi ze swego domu i szuka pracowników do winobrania. Czyni to pięciokrotnie w ciągu dnia: pierwszy raz o godzinie 6, ostatni raz o 17. O 18 dokonuje wypłaty: wszyscy robotnicy dostają po denarze; i to poczynając od ostatnich.

Pierwsi są oburzeni.

A my nie?

Zamiast zrozumienia, odnajdujemy w sobie raczej bunt.

Więc?

Bunt ustępuje, jeśli z uwagą wczytamy się w pierwsze zdanie przypowieści. Najlepiej uczynić to w tej formie, w jakiej oddaje je Wulgata: „*Simile est regnum caelorum homini patri familias, qui exiit...*” – „Królestwo niebieskie jest podobne do człowieka, ojca rodziny, który wyszedł...”.

Oto klucz: właściciel winnicy przedstawiony jest nie jako biznesmen, lecz jako ojciec. Grecki tekst ma tutaj słowo

oikodespótes – dosłowne „pan domu”; oczywiście jest wszakże, że ów „dom” to nie mury, fundamenty i dach, lecz rodzina (jak „dom Dawida” czy „dom Izraela”).

Dla ojca zasada: „ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi” jest nie tylko zrozumiała, lecz wydaje się wręcz oczywista. Ojciec – matka, rzecz jasna, również – najwięcej czasu, energii i uwagi ma dla najmłodszego czy dla najsłabszego (tym bardziej: niepełnosprawnego) dziecka. Więcej: czynią to w taki sposób, że pozostałe (starsze, zdolniejsze, zdrowsze) dzieci nie mają z tą zasadą problemów, lecz przyjmują ją także za swoją. W rodzinie zasada „ostatni będą pierwszymi, a pierwsi – ostatnimi” nie budzi protestu.

Jeśli zaś budzi, domaga się od opoenta korekty wzroku. Usłyszysz on bowiem zapewne od ojca/matki: „patrzysz złym okiem”. To określenie „złe oko” pojawia się u Mateusza już drugi raz. Pierwszy raz pada w Kazaniu na Górze (6, 23): „Jeśli twoje oko jest (dosłownie) złe, całe ciało będzie w ciemności. Jeśli więc światło, które jest w tobie, jest ciemnością, jakże wielka to ciemność!”.

Przeciwieństwem „złego oka” jest więc „oko światłe” – i o takim mówi św. Paweł, życząc nam (Ef 1, 18) „światłych oczu serca”. Patrząc sercem, zaczynam widzieć w innych ludziach swoje siostry i swoich braci, a nie konkurentów do wypłaty. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (29 VIII – 5 IX)

22. niedziela zwykła: Pwt 4, 1-2. 6-8; Ps 15; Jk 1, 17-18. 21b-22. 27; Mk 7, 1-8a. 14-15. 21-23; Poniedziałek: 1 Tes 4, 13-18; Ps 96; Łk 4, 16-30; Wtorek: 1 Tes 5, 1-6. 9-11; Ps 27; Łk 4, 31-37; Środa: Kol 1, 1-8; Ps 52; Łk 4, 38-44;

Czwartek: Kol 1, 9-14; Ps 98; Łk 5, 1-11; Piątek: Kol 1, 15-20; Ps 100; Łk 5, 33-39; Sobota: Kol 1, 21-23; Ps 54; Łk 6, 1-5; 23. niedziela zwykła: Iz 35, 4-7a; Ps 146; Jk 2, 1-5; Mk 7, 31-37.

Wybrał PIOTR SIKORA

POD MASKĄ PRAGMATYZMU

Bezpartyjność samorządu skrywa zwykle umiarkowaną centroprawicę, budującą miasta dla klasy średniej, dbającą o dobre stosunki z Kościołem, ekosceptyczną i niechętną wobec radykalnych zmian.

RAFAŁ MATYJA

WYBITNY PREZYDENT POZNANIA Z LAT 90. Wojciech Szczęsny Kaczmarek był autorem sloganu mówiącego, że „rura jest apolityczna”. Streszczała się w tym pewna ideologia samorządowego pragmatyzmu, cechującego ówczesne elity miejskie. Był cenny, bo unikał tromtadracji i patosu właściwego polityce ogólnopolskiej. Ale zarazem tworzył wrażenie bezalternatywności, jedynie słusznego sposobu rozwiązywania problemów.

Nie ma jednego optymalnego scenariusza rozwoju kraju, wizje różnią się w zależności od przekonań ideowych, naszej sytuacji materialnej, wieku, stosunku do religii. Ale wątpimy w to, że podobne alternatywy funkcjonują na poziomie miasta czy regionu. Podobnie zresztą w innych szczegółowych sprawach. Nie wierzymy, że wizje rozwoju oświaty są zwykle uwarunkowane klasowo, że polityka zdrowotna jest polem ścierania się interesów. Zwykle myślimy o tych obszarach w kategoriach nieudolności rządzących lub roszczeń pracowników. Rzadko szukamy alternatyw o wyrazistej proveniencji ideowo-politycznej.

W przypadku polityki miejskiej sprawa poszła tak daleko, że retoryka jej twórców odziewa się od jakiejkolwiek polityczności. Jej autorzy nazywają siebie sami samorządowcami i dbają o to, by nikt nie przykleił im łatki „lokalnych polityków”.

Przez pierwsze trzy kadencje samorządu (1990–2002) wybierano tylko rady, a dopiero one powoływały i odwoływały prezydentów, burmistrzów i wójtów. Prezydentów, którzy nie byli samowładni, ale



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

dzielili się odpowiedzialnością z kilkuosobowym zarządem miasta lub gminy wiejskiej. Wprowadzenie zasady bezpośrednich wyborów prezydenta, burmistrza i wójta i zniesienie kolegalności władz wykonawczych zmieniało wszystko.

Szeroką ławą

Blokowało też – paradoksalnie – formułowanie wyrazistych alternatyw. Blok prezydencki stał się formacją „catch all”. Jeżeli prezydent miał rodowód lewicowy, najczęściej starał się złagodzić ten wizerunek, dbając o poprawne relacje z Kościołem, a często także z centroprawicowymi posłami czy władzami województwa. Jeżeli był prawicowy, unikał ostentacyjnych afiliacji partyjnych, w dużych miastach okazywał się wrażliwy na postulaty ruchów miejskich itp. Dominowali jednak prezydenci, których polityczny program był *de facto* centroprawicowo-technokratyczny.

Lewicowe akcenty pojawiały się w agendzie raczej jako efekt kierunkowego wsparcia ze środków Unii Europejskiej, uwzględniającego np. idee walki z wykluczeniem społecznym – ale wszystko w kostiumie pragmatycznego pozyskiwania funduszy. Prezydent miasta musiał być przede wszystkim menedżerem w wykorzystywaniu środków europejskich, budowaniu dobrych relacji z silnymi ekonomicznie i społecznie podmiotami: dużym biznesem – głównie deweloperskim, hierarchią kościelną,

partiami dominującymi w sejmiku wojewódzkim i personalnie z członkami zarządu województwa.

Na to nakładała się polska wersja *new public management*, wyrosłego na gruncie thatcheryzmu nurtu zarządzania publicznego, uczącego oszczędzania na wydatkach socjalnych i sektorze publicznym, ekonomizowania usług lokalnych, w szczególności transportu publicznego. Uczącego, że prywatne jest lepsze i sprawniejsze, że najlepiej oszczędza się na pracownikach niższego szczebla, a menedżerom „najwyższej klasy”, świetnie przeprowadzającym takie oszczędności, należy się sowite wynagrodzenie. Akceptowano komercjalizację miejskich usług, nakazującą uważnie śledzić ich opłacalność. Ograniczano liczbę autobusów kursujących na mniej obciążonych liniach, przekonując, że i tak jeżdżą nimi tylko szkolna dziatwa i staruszki.

Dlatego sporo prywatyzowano. W pierwszej fazie absolutnie zasadnie – sklepy, zakłady usługowe i produkcyjne. Później także usługi komunalne, w jednym ze znanych mi miast – nawet zarządzanie cmentarzem. Upiększano na potęgę, często sensownie odnawiając elewacje, prostując krzywe chodnikowe płyty, wprowadzając miejską zieleń. Często też jednak – jak świetnie pokazuje książka Jana Mencwela – ujarzmiając wszystko betonem, kostką, tworząc miejskie pustynie, podporządkowane świętej potrzebie parkowania tak blisko, jak się da. Urządzanie miasta wedle potrzeb kierowców było niedyskutowanym szeroko

dogmatem, szczęśliwie coraz częściej dziś podważanym.

Ten centroprawicowy pragmatyzm umocniony został jeszcze przez fakt, że po 2005 r. główny spór partyjny toczy się między dwoma ugrupowaniami o takim właśnie charakterze. W 2018 r. zdominował całkowicie wybory samorządowe. Wybory prezydentów i burmistrzów odbywały się w większości miast pod dyktando ogólnopolskiego sporu PiS z opozycją. W wielu miejscach nałożył się on na tradycyjny wybór między kontynuacją a zmianą. To dlatego w Rzeszowie głosowano „na Ferencą”, w Krakowie „na Majchrowskiego”, we wszystkich niemal wielkich miastach albo przeciwko PiS, albo przynajmniej nie na PiS.

Prawo i Sprawiedliwość nie ma żadnego odmiennego pomysłu na rządzenie miastami. Nie potrafiło nawet utrzymać władzy w miastach, w których sprawowali ją prezydenci z jego nadania – Radomiu czy Nowym Sączu. Nie umiało jej zdobyć tam, gdzie osiąga najlepsze wyniki w wyborach sejmowych. Bo też szył ten w wymiarze polityki miejskiej nie oznacza niczego specyficznego.

W 2018 r. PiS jedyny znaczący sukces osiągnął, popierając kandydata na prezydenta Katowic, reprezentującego bardzo tradycyjną linię polityki samorządowej, w niczym nieróżniącą się od pozostałych. Natomiast konieczność zabiegania o elektorat tej partii skłaniała takich kandydatów jak Krzysztof Żuk czy Tadeusz Ferenc do mocniejszego wychylania się na prawo. Ten pierwszy uczynił to w Lublinie w sprawie parady równości, ten drugi w konflikcie wokół przedstawienia Teatru Maska, któremu stawiano zarzut „obrazy uczuć religijnych”. Finał kariery Ferency i próba przekazania miasta w ręce polityka Solidarnej Polski nieco karykaturalnie pokazały treść owego „apolitycznego pragmatyzmu” w wykonaniu polityka wywodzącego się przecież z SLD.

Aktywistyczny lifting

Pod koniec minionej dekady pojawiło się widmo trudnych czasów. Politycy →

Prezydent Krakowa Jacek Majchrowski (pierwszy z lewej), konsul generalny USA w Krakowie Patrick T. Slowinski (obok) oraz przedstawiciele Rady Miasta Krakowa otwierają rondo imienia Herberta Hoovera, Kraków, lipiec 2020 r.



→ rozważający kandydowanie na urząd prezydenta miasta zastanawiali się, czy ich kadencja nie stanie się okresem nerwowego zarządzania długiem, szukania oszczędności i wojny pozycyjnej z centralizmem rządzącego PiS. Zanim do tego doszło, władze wielu miast stanęły wobec konieczności uwzględnienia postulatów ruchów miejskich.

Nie stanowiły one bynajmniej potężnej siły politycznej, dysponującej radnymi i strukturami. Rzecz w tym, że wielu wyborcom postulaty ruchów trafiały do przekonania i w walce o każdy głos warto było ich nie tracić. Postulaty te stały się też popularne w mediach, wielu dziennikarzy sympatyzowało z miejskimi aktywistami, dostrzegając w nich sojuszników w sprawach, które Ratusz chętnie zamiołłby pod dywan – wyciętych drzew, nieprzemyślanych lokalizacji deweloper-skich, zaniedbanych osiedli, reprivatyzacji czy spraw lokatorskich.

Ruchom miejskim nie udało się stworzenie alternatywy w walce o władzę. Udało się za to stworzenie alternatywy merytorycznej, która szybko przeniknęła do programów i działań władz największych miast. Co więcej, łatwiejsze punkty – jak na przykład elementy polityki rowerowej – pojawiły się także w agendzie mniejszych gmin miejskich. Ten lewicowo-aktywistyczny lifting pomógł wielu liderom miejskim w walce o utrzymanie władzy, ale przy okazji przyniósł wiele dobrych skutków.

Co ciekawe, pojawienia się ruchów miejskich nie zauważyła w większości lewica spod znaku SLD. Istotna część prezydentów wywodzących się z tej formacji – jak Ferenc czy Majchrowski – była mentalnie po stronie twardej centroprawicy. Prezydenci mniejszych miast, jak Krzysztof Matyjaszczyk w Częstochowie, musieli się liczyć z realiami walki o utrzymanie władzy. Bo – oddajmy sprawiedliwość tym politykom – wyobrażenia wyborców o polityce miejskiej są również trwale centroprawicowe. Wynika to z dominacji klasy średniej i jej systemu wartości, ale także z braku zakorzenionych tradycji innego typu.

Lewica nie miała w Polsce tradycji „plebejskich”, jak choćby w Czechach. Poza kilkoma miastami – jak Będzin, Dąbrowa Górnicza czy Sosnowiec – w przedwojennych wyborach wypadała słabo. A potem została wpisana jako idea w program socwieckiego modelu ustrojowego. Jej sze-

Jest kwestią
świadomej decyzji miast,
czy powstrzymać procesy
rozwarstwienia klasowego,
czy prowadzić politykę
umacniania różnic.
Jedną z przyjętych strategii
było dotąd udawanie,
**że nie widzi się
zachodzących zmian.**

regi zaludnili oportuniści i pragmatycy, lewicowość traktujący jako fasadę. Nie ma jak w innych krajach silnego nurtu związkowego, niewiele ją łączy z instytucjami sportowymi czy oświatowymi.

Jeżeli pojawiły się grupy społeczne, w których można upatrywać twórców struktur o innym niż centroprawicowy programie – to były to właśnie ruchy miejskie, radykalne często inicjatywy aktywistyczne, część – ale nie dominująca – organizacji pozarządowych. Trudno o gorszego partnera dla osób z długim doświadczeniem w strukturach PRL. Zalety tych środowisk dostrzegali natomiast prezydenci, których nie sposób określić lewicowcami. Często żegnali się ze swoją konserwatywną przeszłością, jak w przypadku Pawła Adamowicza czy Jacka Karnowskiego, często przesuwali jedynie akcenty, jak na przykład Rafał Dutkiewicz. Za sprawą późniejszych konfliktów politycznych mało kto pamięta fakt, że Dutkiewicz wygrał swoją pierwszą prezydenturę Wrocławia z poparciem PO i PiS.

Mordor? Nie widzę.

Alternatywa wobec przyjętego modelu rządzenia miastami jest dziś nie tylko trudna do pomyślenia politycznie, ale także społecznie. Strategia socjaldemokratyczna nie może bowiem oznaczać wzniecania wyrazistego konfliktu klasowego ani próby przeprowadzenia radykalnej zmiany zgodnej z postulatami ambitnych miejskich aktywistów. To pierwsze jest niemożliwe dlatego, że jeżeli klasa ludowa widzi w kimkolwiek obrońcę własnych interesów, to raczej w populistycznie przemawiających politykach PiS niż w aktywistach lewicy. To drugie jest nie-

możliwe przede wszystkim ze względu na słabą nośność miejskiego radykalizmu, nieprzebijającego się w szerzej dostępnych mediach elektronicznych.

Paradoksalnie, za tą alternatywą bardziej dziś przemawiają „racje” niż ludzie. Te racje to kilka wyzwań, przed którymi stają polskie miasta: od klimatycznych i ekologicznych aż po mieszkaniowe i związane z procesami demograficznymi i potrzebami starzejącego się społeczeństwa. W przypadku wielu miast to także kwestia pomysłu na przeciwdziałanie wyludnieniu i procesom marginalizacji poszczególnych ośrodków, obniżenia jakości życia.

Za alternatywą przemawia fakt, że skok urbanizacyjny dokonał się nie w warunkach gospodarki kapitalistycznej, ale planowej. W wielu miastach mieszkania zbudowane w okresie PRL to nadal ponad 2/3 zasobów. Co więcej, poziom zróżnicowania klasowego między poszczególnymi osiedlami jest nadal niewielki, choć zmiany raczej wzmacniają różnice, niż zmierzają w kierunku utrzymania miksu społecznego. Jest zatem kwestią świadomej decyzji miast to, czy chcemy powstrzymać procesy rozwarstwienia klasowego, czy prowadzić politykę umacniania różnic. Jedną z przyjętych strategii było bowiem udawanie, że nie widzi się zachodzących zmian lub – w wersji nieco lepszej – że uważa się, iż władze nie powinny na nie wpływać.

Zresztą „udawanie, że się nie widzi” jest jedną z ciekawszych strategii – prowadzącą w skrajnej wersji do niedostrzeżenia przez władze Warszawy skutków rozbudowy tzw. Mordoru – wielkiego skupiska biurowców, niewyposażonego w dobre rozwiązania komunikacyjne, nieosadzonego w jakimś planie rozwojowym stolicy. Nikt nie ośmielił się przeciwstawić siłom wolnego rynku. To niewidzenie dotyczy często zmian w oświacie i słabnącego sektora publicznego, lekceważenia związków pomiędzy nowymi inwestycjami mieszkaniowymi a infrastrukturą miejską i komunikacyjną. To samo dotyczyło przez lata smogu czy coraz poważniejszych skutków ulew w zabetonowanych miastach. Strategie miejskie nie brały pod uwagę czarnych scenariuszy, procesów wyludniania się, wykluczenia komunikacyjnego, słabnięcia oferty usług publicznych – np. zamykania oddziałów szpitalnych, słabnięcia mniejszych ośrodków akademickich.

Tego wszystkiego nie robiono wbrew mieszkańcom. Często właśnie zgodnie z oczekiwaniami sporej ich części. Duchem współczesnego polskiego miasta nie jest dziś egalitarna wspólnota, ale zróżnicowanie, poszukiwanie dystynkcji. Grodzone osiedla są tylko jednym z przykładów. Ludzie poszukujący mieszkania obawiają się „złych sąsiadów” i nigdy z nadzieją w głosie nie pytają o ożywione życie sąsiedzkie. Na tych, którzy mieszkają w lokalach komunalnych, patrzą z wyższością nie tylko ci uprzywilejowani z „dobrych osiedli”, ale także spora część ludzi z bloków. Władze nie mają zatem trudności w zaniedbywaniu zadań związanych z jakością własnych budynków mieszkaniowych.

Bardzo trudno przekonać mieszkańców do wymiany pieców czy ograniczenia liczby miejsc parkingowych na zatłoczonych ulicach śródmieścia. Istnieje przyzwolenie na gęstą zabudowę, betonowe place, redukcję terenów zielonych. To dziś program większości. To się nie zmieni, dopóki w miastach nie pojawi się polityczna alternatywa. Zielono-czerwona, czyli socjaldemokratyczna ekonomicznie i społecznie, a ekologiczna, gdy chodzi o determinację w reakcji na wyzwania współczesności.

Ścieżka dla lewicy

W pierwszym ćwierćwieczu centroprawica rządziła wyobrażeniami o miejskiej polityce tak mocno, że nawet tam, gdzie wygrywał kandydat SLD, zwykle starał

się udowodnić swoją „normalność”. Czasami – jak w przypadku Tadeusza Ferency – nawet z pewną przesadą. Zresztą w polityce krajowej nie było inaczej – by wspomnieć choćby projekty podatku liniowego rozważane przez Leszka Milera.

Pojawienie się ruchów miejskich nie zaowocowało trwałymi strukturami miejskiej polityki. Jeżeli w roku 2023 ma się to zmienić, musi powstać znacząca politycznie i społecznie siła chcąca zmian w polityce miejskiej. W wymiarze partyjnym może ona powstać poza tradycyjnymi środowiskami centroprawicy – na lewicy bądź w okolicach Polski 2050 Szymona Hołowni. W wymiarze programowym oznaczać musi koncepcję socjaldemokratycznej i ekologicznej korekty polityki miejskiej. Korekty, a nie radykalnej zmiany. Na radykalizm nie pozwalają warunki społeczne i komunikacyjne, związane ze słabością miejskiej opinii publicznej. Jest ona często na rękę władzom miasta, które przedstawiają swoją wizję świata w ratuszowych gazetkach. Media lokalne są politycznie ostrożne, debaty są w najlepszym przypadku prostym odzworowaniem ogólnopolskich podziałów partyjnych.

Bez miejskich mediów – nawet opartych na internecie – zmiana nie będzie możliwa. Nie pojawiają się lokalne autorytety, niemożliwe będzie formowanie koalicji rzeczników poszczególnych spraw. I nie mówimy tylko o małych ośrodkach powiatowych, ale także o licznych mia-

stach powyżej 100 tysięcy mieszkańców. Pustka w tym obszarze sprawia, że ten, kto pierwszy spróbuje, wygra dużo. Ale zarazem zniechęca wielu ludzi, którzy wierzą, że „gdyby był popyt, to takie media dawno by istniały”.

Historia to nie dzieje popytu i odpowiedzi na jego wyzwania. Bardzo często polega na tworzeniu rzeczy, które konsumentom nie przyszyby do głowy. Tak samo jest w polityce. Czy znajdują się jednak środowiska, które spróbują budować szerszą alternatywę w polityce miejskiej? Lewica ma za sobą kilkanaście lat walki o tożsamość i pryncypia. Lat chudych w polityce, w których dawne wielkie SLD wydawało się zamkniętą przeszłością. Ścieżka samorządowa to szansa na odzyskanie doświadczenia nie tylko w byciu opozycją, ale także w rządzeniu.

Jeżeli dobrze czytać plan Donalda Tuska, to zrobi on wszystko, by lewicy w kolejnym rządzie nie było. Miasta są więc dla niej szansą na zupełnie inną podmiotowość, która nie wynika z sejmowej arytmetyki. A zarazem inwestycją z perspektywą kilku dekad. © RAFAŁ MATYJA

Autor jest politologiem, publicystą, wykładowcą Uniwersytetu Ekonomicznego

w Krakowie. W wydawnictwie Karakter wydał niedawno książkę „Miejski grunt. 250 lat polskiej gry z nowoczesnością”. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”.



Stanisław Leszczyński

Stanislas I Roi De Pologne etc.
Stanisław I Król Polski etc.

Esquisses, réflexions et maximes philosophiques Szkice, refleksje i maksymy filozoficzne

Wybór, słowo wstępne i posłowie:
Jacek Jadacki

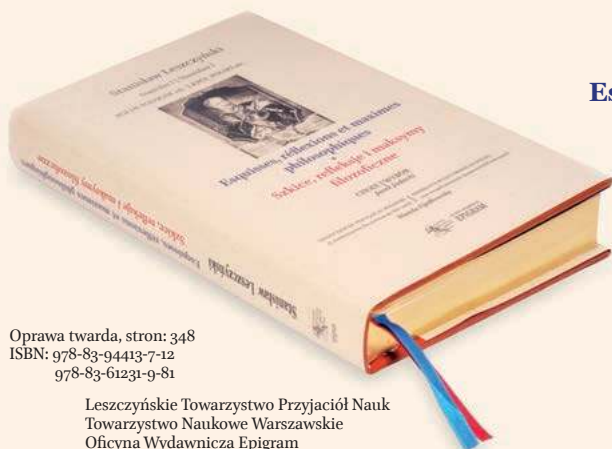
Przekład z francuskiego na polski:
Wanda Fijałkowska

- Filozofowie naszych czasów twierdzą, że słuchają i uczą rozum; ale kiedy starają się skutecznie usunąć przesady, które on potępia, wykorzeniają zarazem cnoty, które zaleca.
- Mylimy się często, że bardzo cenimy ludzi; rzadko – gdy cenimy ich za nisko.
- Są ludzie, którzy wypowiadają wiele słów, nic jednak nie mówiąc. Są dla mnie jak drzewa, które z powodu nadmiaru liści nie dają owoców.

Stanisław Leszczyński

Nie był wybitnym politykiem, ale za to był z pewnością wybitnym myślicielem: polskim, przez pochodzenie, i francuskim, przez język, w którym pisał. [...] Pozostawił po sobie spuściznę [...] dotyczącą problematyki filozoficznej (głównie antropologicznej i etycznej), politologicznej i pedagogicznej. [...] Utrzymywał kontakty z elitą intelektualną ówczesnej Europy. [...] Poglądy swoje wyrażał głównie za pomocą krótkich sentencji, rzadko w postaci dłuższych „miniatur teoretycznych”.

Jacek Jadacki



Oprawa twarda, stron: 348
ISBN: 978-83-94413-7-12
978-83-61231-9-81

Leszczyńskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk
Towarzystwo Naukowe Warszawskie
Oficina Wydawnicza Epigram

WYDAWCA:
Oficina Wydawnicza Epigram
www.epigram.eu
ZAMÓWIENIA: ofcyna@epigram.eu

Każdy zna kogoś, kogo dopadł reżim

BARTOSZ RUMIŃCZYK

To, że wyjechaliśmy wcześniej i nas nie złapali, jest kwestią czystego przypadku – mówią Białorusini organizujący w Polsce sieć wsparcia dla tych, którzy zostali.

GLEB NOSI SIĘ NA CZARNO: OBSZERNA dżinsowa kurtka, spodnie z daleka przypominające robotnicze dreluchy, skórzany pasek, koszulka z nadrukiem. – To po białorusku – podkreśla, gdy pytam go o znaczenie słów oplecionych drutem kolczastym: „Obudzimy się inni”. – Ten koszmar trwał zbyt długo dla nas wszystkich.

Gleba obudził warkot maszyn budowlanych. Był rok 2017. Wraz z przyjacielem Janem – mieli po 13 i 14 lat – pojechali na protest w Kuropatach. Na miejscu kaźni białoruskiej inteligencji z czasów stalinowskich planowano postawić pięcioletni biurowiec.

– Nie było nas wielu, głównie opozycjoniści zaangażowani od lat – mówi. Bo mimo że od 2015 r. Białorusini mówią o jako takiej liberalizacji, to działających w kontrze wciąż było niewielu. A co gorsza, reżim miał wszystkich na swoich listach. I pewnie gdyby nie Jan, którego ojciec, Dmitrij Gaiko, jest opozycyjnym dziennikarzem, Gleb do Kuropat mógłby nie trafić.

Po proteście i jego wciągnięto na listę, o czym przekonał się na własnej skórze. – Nauczyciele otwarcie mówili, że mogą trafić do poprawczaka i słowa dotrzymani. Przyszli, gdy mama była w pracy, zrobili inspekcję i uznali, że żyjemy w niehygienicznych warunkach. Co było nie tak? Nie wiem, może akurat kołdra spadła na podłogę. W porównaniu do kolegów, mieliśmy dobre warunki.

Służby zabrały go wraz z młodszym bratem. Spędzili w poprawczaku pół roku, ale jeśli reżim chciał w ten sposób Gleba złamać, to mu się nie udało.

Dzieci widziały

Pani Hanna nie spała od dawna, ale to telefon od sąsiadów zadziałał na nią jak

znienawidzony budzik o piątej rano. „Pu-kali do drzwi, rozpytywali o was, o dzieci” – usłyszała w słuchawce. Nim zdążyła ją odłożyć, wiedziała, że trzeba uciekać. Razem z wnukami od jakiegoś czasu mieszkała na wsi pod Mińskiem, jej córka była w areszcie, zięć w Rosji. Z powrotem czekał, aż dzieci będą bezpieczne.

Reżim odbiera dzieci z tych rodzin, które są podejrzane, np. gdy rodzice są w więzieniu. A babcia na Białorusi, tak samo jak i w Polsce, nie jest traktowana z urzędu jako prawny opiekun.

Dzisiaj dzieci ścigają się na hulajnogach po warszawskich Sadach Żoliborskich, a pani Hanna co i rusz upomina je – jak każda babcia – by na siebie uważały, bo konduktor nie wpuści ich do pociągu z odrapanymi kolanami. Zamierzają jechać nad morze, tym razem naprawdę.

Gdy pani Hanna uciekała z Białorusi, na granicy z Ukrainą powiedziała, że jedzie z dziećmi właśnie nad morze. Szli w nocy, bez telefonu (bała się, że ją namierzą), z jedną torbą (strach było jechać po rzeczy dla dzieci do Mińska, bo mieszkanie było spalone) i z 90 dolarami w kieszeni (bo choć Łukaszenko opowiada, że opozycja śpi na dolarach, to mało kto ma oszczędności).

W drodze Wania zapytał, czy mama siedzi w więzieniu. Nie było sensu kłamać. Dzieci dużo widziały i wiedziały. Na początku chodziły na protesty, były zachwycone powiewającymi flagami biało-czerwono-białymi i radosnymi pieśniami oraz wszechobecną nadzieją. Uwielbiały też słuchać bajki o ptaku, który przyleciał zadziobać karalucha (karaluchem opozycja nazywa złośliwie Łukaszenkę), ale były też świadkami przesłuchań w mieszkaniu.

Może nawet słyszały, jak policjanci grozili matce: „zgniją w domu dziecka,



a chyba wiesz, co tam się dzieje?”. To było jeszcze przed wyborami.

Córka pani Hanny została zatrzymana 6 sierpnia, gdy wracała do domu z plakietką „Sztab Cichanouskiej”. Następnego dnia dostała grzywnę w wysokości kilkuset dolarów, od której niemal każdy się odwołuje, bo to wielokrotność miesięcznej pensji. Następnie powinna zostać zwolniona do domu, ale do domu nie wróciła. Rodzina przez trzy dni nie wiedziała, co się z nią dzieje, więc zgłosiła zaginięcie na policję. Dopiero wtedy pani Hanna dowiedziała się, że córka nadal jest w areszcie i będzie miała sprawę karną.

Śledztwo trwało siedem miesięcy. Za plakietkę „Sztab Cichanouskiej” skazać nie mogli, bo wszystko odbywało się zgodnie z prawem. Więc powiązali ją z działalnością męża, który prowadził kanał na Telegramie „Armia z Narodem”. Ostatecznie oboje dostali po pięć i pół roku więzienia.

Patelnia po głowie

Jana Shostak chciała obudzić Polaków, a chwilę później – jak sama mówi – się wkurzyła. – Po minucie krzyku poszłam



Blokada przejścia granicznego w Bobrownikach przez Białorusinów mieszkających w Polsce domagających się sankcji wobec reżimu Łukaszenki, 12 czerwca 2021 r.

częła się formować grupa Partyzanka. Obywatelska inicjatywa, która powstała z poczucia solidarności, chęci niesienia pomocy oraz świadomości, że przecież my też mogliśmy znaleźć się na ich miejscu. To, że wyjechaliśmy wcześniej, że nas nie złapali, jest przecież kwestią czy-stego przypadku.

Wstyd zostać w domu

Gdy chcę pomówić z Żorą o jego przebudzeniu, pyta, czy mam dużo czasu, bo opowieść zaczyna się od pradziadka, białoruskiego komunisty, który brał udział w rewolucji październikowej, oraz dziadka, wroga amerykańskiego imperia-lizmu, któremu – jego zdaniem – odpór mógł dać tylko Związek Radziecki.

Żora wyrósł na socjalistę, ale odrzucił autorytarny komunizm, gdy zrozumiał, że nie tak wiele odróżnia go od nazizmu. Z ideami anarchistycznymi zetknął się słuchając punk rocka, a działać zaczął po napaści na obóz ekologiczny pod Angarskiem, gdzie neonaziści zamordowali jednego z uczestników.

– Przygotowania światowej rewolucji – z charakterystycznym dystansem opowiada Żora – ograniczały się na początku do malowania graffiti, drukowania plakatów i rozrzucania ulotek oraz bójek z miejscowymi naziolami. Poważniej zrobiło się w 2017 roku, gdy wybuchły protesty przeciw ustawie o pasożytnictwie, czyli dodatkowemu opodatkowaniu bezrobotnych.

– Po raz pierwszy przemawiałem na wiecu w moich rodzinnych Baranowiczach, a w Brześciu anarchiści poprowadzili cały protest, bo opozycja udała się na negocjacje z władzami miasta. Musieli się nas wystraszyć, bo zaczęły się zatrzymywania, więc gdy jechałem kilka dni później na kolejny protest, tym razem do Mińska, wiedziałem, że szybko nie wrócę. Wtedy ktoś napisał w sieci zdanie, które najlepiej podsumowuje te dni: strach wyjść na ulice, wstyd zostać w domu – wspomina Żora.

Po protestach w 2017 r. reżim miał na swoich listach większość anarchistów, a także innych aktywistów i działaczy opozycji, gdy więc zbliżały się wybory

do Centrum Białoruskiej Solidarności, gdzie trwały przygotowania do marszu. Czterech chłopaków malowało tam tabliczki z tzw. identyfikatorem Białorusina „23.34”. To numer artykułu kodeksu wykroczeń: przewiduje karę grzywny albo do 15 dni więzienia. Dziś już chyba połowa Białorusi ma w papierach wpisane 23.34. Dają za wszystko: za protesty, ale i za biało-czerwone skarpetki.

Od marca artykuł 23.34 zmieniono na 23.23 i zaostrzono przepisy. Za recydywę, czyli ponowny udział w protestach, można dostać 30 dni, a grzywny osiągają wysokość nawet ok. 8,5 tys. zł. – Zapytałam tych chłopaków, czy także zaliczyli 23.34 i po tym, co mi opowiedzieli, poczułam, jakbym dostała patelnię po głowie. Pierwszy raz rozmawiałam z ludźmi, którzy przeszli tortury.

Podobną patelnię po głowie w Krakowie dostała Katarzyna, która niedługo przed wyborami przyjechała studiować psychologię na Uniwersytecie Jagiellońskim i w protesty angażowała się z Pol-ski. – Pomagaliśmy psychologicznie online i co prawda wiedzieliśmy z mediów, co się dzieje, ale to nie to samo, co rozma-

wiać z trzęsącym się ze strachu człowiekiem, z rozbitą głową i powybijanymi zębami. Bywało też, że udzielałam porady anonimowo, a okazywało się, że rozmawiam z kolegą ze szkoły – opowiada o gorących sierpniowych dniach, w których niemal w ogóle nie spała.

– Białorusini okazali sobie nawzajem ogromną solidarność. To nie znaczy, że Polacy nie pomagali, ale z tą pomocą było i jest różnie, zwłaszcza ze strony państwa – zauważa. Na to też swoim krzykiem chciała zwrócić uwagę Jana. A wkurzyła się, gdy usłyszała, że tych czterech chłopaków, którzy przeszli piekło tortur, nie otrzymało nawet wystarczającego wsparcia.

– Białoruskie konta mieli poblokowane – mówi Jana. – Tak reżim walczył z tymi, którzy dostawali wsparcie z funduszu solidarnościowego BySol zarejestrowanego w Hadze, mieszkali więc po najtańszych hostelach, nieraz narażeni na bójki. Skrzyknęłam znajomych, by chłopakom pomóc. Z czasem zaczęły do nas docierać sygnały, że osób, które nie dostały pomocy i nie dotarły do organizacji pomocowych, jest więcej. Tak za-

→ 9 sierpnia, wielu zostało zatrzymanych prewencyjnie i narodowego przebudzenia na własne oczy nie ujrzało.

Żora wspomina: – Więzienie znajdowało się w starych carskich stajniach, więc cele były duże, nawet na 14 osób, ale w naszej było już 24. Spaliśmy na zmianę. Brakowało materacy, więc rozścieliliśmy kołdry, gdzie tylko się dało, poza miejscem przy oknie, bo tam mieliśmy palarnię. Często brakowało jedzenia, ale wtedy wykładaliśmy wszystko na stół i dzieliliśmy po równo. Wprowadziliśmy więzienny komunizm.

Pozostały bębny

Sierpniowe protesty roku 2020 zaskoczyły wszystkich, bo choć spodziewali się, że będzie się działo, to nikt nie przypuszczał, że aż tak – również jeśli chodzi o skalę represji i migrację, którą represje wywołają. Dziś słyszę, że walka o wolną Białoruś przeniosła się za granicę. Na jednym z wieców w centrum Warszawy poznaję bębniarzy z grupy „Proszę się rozejść”, choć po rosyjsku ta komenda brzmi bardziej stanowczo. Umawiamy się, że podam adres ich strony (<http://instagram.com/platform.by>), bo chcą dotrzeć do jak najszerszego grona odbiorców.

Andriej wyjaśnia: – Na Białorusi nie można już protestować, więc my robimy to tu, w ich imieniu. Jeśli nikt nie będzie protestował, to świat pomyśli, że na Białorusi już wszystko jest okej. Bębnami wybijają rytm do marszu przez Warszawę. Obręcze pomalowane w biało-czerwono-białe pasy, na membranach postrzępione od uderzania pałek naklejki z hasłem: „Sankcje dla Łukaszenki za zbrodnie przeciwko ludzkości”.

W sierpniu 2020 r. mieli ambitne plany: przyszykowali specjalną platformę z nagłośnieniem, ale w drodze na jeden z marszy w Mińsku służby zarekwirowały cały sprzęt, pozostały więc tylko bębny.

Anton wspomina: – Graliśmy co niedzielę, póki odbywały się protesty, później spotykaliśmy się, by pograć, także dla zabawy. W listopadzie siedzieliśmy w 16 osób w ciasnej piwnicy i bębniliśmy, gdy nagle wpadł OMON i wszystkich aresztował. Straszny tłok i zamieszanie, wiedzieliśmy, że biją i torturują ludzi, ale nas potraktowali łagodnie, może dlatego, że Andriej był z córką? W każdym razie mieliśmy szczęście.

Partyzanka jest jak państwo na uchodźstwie i państwo zastępcze,

choć to tylko zrzeszenie – nieformalne i oddolne.

Grupa dzieli się na jedenaście ministerstw.

Część dostała odsiadki, część grzywny, ale najbardziej zawzięli się na Aleksieja Sanczuka. Nie wypuścili go z aresztu, wyciągnęli z telefonu wszystkie informacje i zaczęli wyłapywać jego znajomych oraz działaczy.

Ktoś ich ostrzegł, że władze szykują przeciw nim i kolegom sprawę karną, dlatego większość postanowiła wyjechać. Mieli rację – ci, którzy zostali na Białorusi, teraz siedzą w więzieniach.

Przed sprawą karną uciekali Gleb, Żora, Alona, Witalij z żoną, Wład, Wasyl i setki oraz tysiące Białorusinów, którzy mieli dość represji i pogłębiającego się kryzysu.

Anton z kolegami i koleżankami na bębnach grali jeszcze we Lwowie, w oczekiwaniu na wizę humanitarną, by przyjechać do Polski. Potem bębny na jakiś czas odłożyli. Anton nie kryje, że dopadła go depresja.

– Pierwszy raz w Polsce zagraliśmy w dniu ogłoszenia wyroku dla Sanczuka. Dostał sześć lat – mówią. To było trzy miesiące temu.

Państwo zastępcze

O Sanczuku można przeczytać na listach więźniów politycznych z adresami więzień i apelem o ślanie listów. Już po zatrzymaniu był bity, a obok jego nazwiska – przypadkiem – znajduję nazwisko córki pani Hanny. Do niej również można pisać, choć władze nie przekazują listów od rodziny. Gleb znał się z Ramanem Pratasiewiczem, a anarchiści opowiadają o Mikołaju Dziadoku, prześladowanym od lat działaczem, w 2020 r. torturowanym w mińskim areszcie. Ktoś pracował z ojcem Mikity Kryucoua, powieszzonego w Mińsku, a jeszcze inny oglądał zasinione plecy na zdjęciach w telefonie podczas zwykłej rozmowy gdzieś w war-

szawskim centrum handlowym. Każdy zna kogoś, kogo dopadł reżim.

Ucieczka z Białorusi do Polski prowadzi przez Ukrainę. Tam można wystąpić o wizę humanitarną i legalnie przekroczyć granicę z Polską, gdzie – jak słyszę – łatwiej o pracę, dokumenty oraz ochronę międzynarodową. Nasze państwo otworzyło ramiona na przybyszów z Białorusi, co dla wielu z nich jest zaskoczeniem. – Traktuje się nas lepiej niż Ukraińców, o Czeczenach czy migrantach z Bliskiego Wschodu nie wspominając – mówią.

Polska w 2015 r. stała się twarzą oporu wobec polityki otwartych granic dla Syryjczyków, a Czeczenów od „Bramy Europy” – czyli przejścia Brześć-Terespol – regularnie odpycha, naruszając przy tym prawa człowieka i prawa międzynarodowe. Co więcej, działania rządu w polityce krajowej nieraz spotykały się z oburzeniem Unii Europejskiej. Od niektórych Białorusinów słyszę więc, że przyjmując ich, obecny rząd chce się wybielić. Inni wskazują na echa polityki imperialnej i popieranie opozycji, by zabezpieczyć sobie wpływy na Białorusi, a jeszcze inni mówią – po prostu – o kulturowej i językowej bliskości.

I mimo że Białorusini czują się w Polsce dobrze, to nie wszystko działa tak, jak powinno. Biurokracja, integracja, no i pieniądze: w takiej kolejności mówi się o napotkanych trudnościach, co znajduje odbicie w strukturach oddolnych organizacji pomocowych, na przykład tej, w której działa Jana Shostak.

Partyzanka jest jak państwo na uchodźstwie i państwo zastępcze, choć to tylko zrzeszenie – nieformalne i oddolne. Grupa dzieli się na jedenaście ministerstw.

Partyzanckie MSW weryfikuje osoby, którym udziela pomocy, także ze względów bezpieczeństwa, by odsiać agentów, a kolejne resorty zajmują się pomocą w przebrnięciu przez gąszcz przepisów, zaopatrują w produkty pierwszej potrzeby, dalej organizują mieszkania, pomagają w przeprowadzce i obejmują potrzebujących dalszą opieką. Tym zajmują się ministerstwa zdrowia psychicznego, języka polskiego, sprawiedliwości, kultury i rozrywki oraz pracy i sponsoringu.

W Partyzance działają Białorusini i Białorusinki, wspierają ich też Polacy. Jana Shostak mówi, że jeśli odwołać się do polskiej historii, to czuje się jak w latach 80.,

czyli w dniach narodzin Solidarności. To samo słysząc w opowieściach samych uchodźców. Jednak to za mało, by obudzić się innymi.

Wracać czy nie wracać?

W wyniku nacisków grupy, którą Shostak reprezentuje publicznie, udało się wznowić wydawanie wiz turystycznych dla Białorusinów oraz wydać zgodę na podejmowanie pracy dla posiadających wizy humanitarne. Kolejna zmiana to otwarcie infolinii dla uchodźców. Ma ruszyć w rocznicę rewolucji i pomóc uporać się z problemami proceduralnymi i absurdami czasów pandemii. – Pracuję nad tym, żeby straż graniczna mogła także rozpowszechniać ten numer w każdej placówce – mówi Shostak.

Takie grupy jak Partyzanka działają także poza Warszawą, która dla Białorusinów jest miejscem wyjątkowym. Sami przyznają, że w stolicy jest łatwiej o pomoc, przede wszystkim dlatego, że jest tu silna diaspora białoruska, niż chociażby w Krakowie. Mówi mi o tym Katarzyna organizująca pomoc psychologiczną w pierwszych dniach rewolucji.

Katarzyna z listy potrzeb wymienia uproszczenie procedur legalizacji dyplomów białoruskich uczelni, stworzenie większej liczby klas integracyjnych dla dzieci idących po raz pierwszy do polskiej szkoły, pomoc w organizacji kursów języka polskiego oraz wygospodarowanie puli mieszkań na czas znalezienia pracy czy szkoły. – Niektóre miasta, np. Sopot, oferują takie mieszkania, ale to w Krakowie łatwiej o pracę.

Jest więc jeszcze dużo do zrobienia, i to na już. A co dalej? – Dążymy do tego, by nauczyć siebie i innych działań oddolnych – mówi mi jeden z anarchistów. – A gdy przyjdzie czas, pojechać na Białoruś, by budować nowe społeczeństwo.

O nowym społeczeństwie marzy każdy, choć nie każdy deklaruje chęć powrotu. Andriej z grupy bębniarzy argumentuje tak: – Raz już musiałem wszystko rzucić i zacząć od nowa, mam dwójkę dzieci, trzecie w drodze. Za dwa-trzy lata mamy wracać? Znowu wszystko zmieniać?

© BARTOSZ RUMIENIČYK

Współpraca: ANNA MIKULSKA



TADEUSZ KONIARZ / REPORTER

Matura w III Liceum Ogólnokształcącym w Tarnowie, 4 maja 2021 r.

Stacjonarnie, ale ostrożnie

WOJCIECH FELESZKO, IMMUNOLOG I PEDIATRA:

W świetle najnowszych ustaleń naukowych można przewidywać, że dzieci z przedszkoli oraz klas 1-3 podstawówek będą w zaczynającym się roku szkolnym największymi rozsądnymi koronawirusa.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:

Od 1 września rusza szkoła stacjonarna. Dobrze to czy źle?

WOJCIECH FELESZKO: Dobrze, biorąc pod uwagę, jakie szkody przyniosła nauka online. Koszty psychiczne, znacznie słabsza jakość nauczania, wykluczenie edukacyjne – wszystkie te czynniki sprawiają, że powrót do lekcji stacjonarnych jest jak najbardziej pożądany. Z jednym zastrzeżeniem: tylko przy zachowaniu maksimum ostrożności.

Co ma Pan na myśli?

Mówię o trzymaniu się – niezbyt u nas popularnych – środków, takich jak maseczki na korytarzach czy dezynfekcja rąk. Niezaszczepiona pozostaje ogromna część polskiego społeczeństwa, a wariantu Delta koronawirusa należy spodziewać się z dużym prawdopodobieństwem właśnie we wrześniu. Dotkną także osoby zaszczepione – wiemy

już, że ta mutacja wymyka się nieco odporności szczepiennej, choć chroni przed ciężkim przebiegiem – ale przede wszystkim będzie stanowił zagrożenie dla nieuodpornionych.

Tymczasem niezaszczepionych jest ponad 20 proc. nauczycieli i ponad 70 proc. uczniów w wieku 12-18 lat. Nie mówiąc o młodszych, którzy nie są jeszcze objęci programem.

Co do tej ostatniej grupy, na szczęście trwają prace nad preparatami także dla jej przedstawicieli. Żałuję, że nie udało się tego zrobić przed rozpoczęciem roku szkolnego, ale wierzę, że w ciągu miesiąca, dwóch, maksymalnie trzech będziemy mogli zarejestrować szczepionkę także dla dzieci młodszych. A ja będę wtedy jednym z pierwszych, który zaszczepi moje najmłodsze dziecko.

Co do młodzieży w wieku 12-18 lat, trzeba ich i ich rodziców zachęcać, ↗

→ edukować, organizować akcje szczepień na terenie szkoły, co zresztą zapowiada resort edukacji i nauki.

Co z nieuodpornionymi nauczycielami? Zapytam wprost: jest Pan za obowiązkiem szczepień?

Tak, podobnie zresztą jak w przypadku pracowników służby zdrowia. To grupy będące w nieustannym kontakcie z dużymi zbiorowiskami w większości niezaszczepionych osób – będą narażeni w pierwszej kolejności na zakażenie i ciężki przebieg COVID-19. Będą też roznosić wirusa w swoim środowisku zawodowym i rodzinnym. Dlatego uważam, że powinno się wprowadzić ten obowiązek.

Władze oświatowe wypowiadały się przeciw takiemu rozwiązaniu, ale nie wykluczył go minister zdrowia. Jego wprowadzenie na pewno spowodowałoby gigantyczny spór.

On i tak trwa. Ożywioną dyskusję między tzw. wolnościowcami a zwolennikami szczepień obserwuję m.in. w Stanach Zjednoczonych. Tego samego że-nującego sporu – także na poziomie poszczególnych placówek – spodziewam się od września w Polsce i nie mam, szczerze mówiąc, pomysłu, jak go uniknąć.

Tym trudniej przychodzi mi zrozumienie strategii władz oświatowych, które w sprawie szczepień wypowiadają się w sposób niejednoznaczny. Minister czy krakowska kuratorka oświaty zajmują stanowisko przeciw obowiązkowym szczepieniom. Tymczasem stawką jest zdrowie i życie nauczycieli oraz rodzin uczniów.

A samych dzieci? Co półtora roku po rozpoczęciu epidemii wiemy o przebiegu COVID-19 w tej grupie wiekowej?

Dla najmłodszych dzieci okazał się on być generalnie bardzo łagodny. Trwają jeszcze dociekania naukowców, dlaczego tak jest – całkiem niedawno pojawiło się kolejne doniesienie w „Nature”, jak to układ odpornościowy dzieci neutralizuje wirusa już w błonach śluzowych.

Nieco inaczej sprawa ma się w przypadku nastolatów. Najmłodszy z pacjentów, którego leczylismy w klinice wiosną, był dwunastolatkiem. Miał zajęte 80 procent płuc i ciężki przebieg choroby, wymagający bardzo intensywnego leczenia dużymi dawkami tlenu. Pamiętam więcej

nastoletnich pacjentów z ciężkim przebiegiem. W większości, co charakterystyczne, byli oni dotknięci otyłością.

Osobną sprawą są powikłania i tak zwany *long covid*. U dzieci nie jest on częsty, występuje u maksymalnie jednego na 20 ozdrowieńców. To przewlekłe uczucie zmęczenia i bóle głowy. W ciągu dwóch, trzech miesięcy te objawy na szczęście zwykle znikają.

I sprawa ostatnia, choć z pewnością nie najmniej poważna: tzw. pocovidowy zespół zapalny, czyli PIMS (inna nazwa to MIS-C), którym w Polsce dotkniętych było ponad 600 dzieci. Tu średnia wieku pacjentów wynosi około 8 lat. Ta przypadłość rozwija się u mniej więcej jednego procenta dzieci chorujących na COVID już w 3-5 tygodni po zakażeniu, a przebieg jest niestety zwykle bardzo poważny. Choć w Polsce nie są mi znane przypadki śmiertelne, co wynika z bardzo zaawansowanego poziomu medycyny, to w innych krajach – np. w Iranie – śmiertelność sięga nawet 11 procent. To pokazuje, jak ważne w przypadku tego zespołu są dostępne u nas kosztowne i nowoczesne metody reagowania, m.in. na wielonarządowe uszkodzenia. Dzięki nim udaje nam się postawić młodych pacjentów na nogi, i to zwykle w ciągu kilku tygodni.

To też pokazuje, że szczepienie dzieci ma sens nie tylko ze względu na bezpieczeństwo dorosłych.

Tak, choć ten argument jest statystycznie najistotniejszy. I wcale nie chodzi tylko o dziadków. Mama mojego małego pacjenta, 32-letnia kobieta ratowana w bardzo ciężkim stanie na OIOM-ie, to wcale nie był wyjątkowy *casus*. To się działo i może się zdarzyć znowu, ponieważ wariant Delta jest bardziej zaraźliwy i chętniej atakuje młodszych, niż ten pierwotny, „chiński”.

A co po półtora roku wiemy o tym, jak skutecznie dzieci i nastolatki roznoszą wirusa?

Przy pierwszym szczepie wirusa, tym z Wuhan, panowało przekonanie, że ani się łatwo nie zakażają, ani nie przekazują łatwo wirusa innym. W przypadku wariantu Delta wygląda to już inaczej: zgodnie z doniesieniem sprzed dwóch tygodni, opublikowanym na łamach czasopisma „Journal of the American Medical Association”, im młodsze dziecko, tym większe ryzyko zarażenia się jego ro-

dziny. W świetle tych ustaleń można powiedzieć, że – niezaszczepione przecież – dzieci z przedszkoli oraz klas 1-3 podstawówek będą w zacinającym się roku szkolnym największymi rozsądnymi koronawirusa. Ale nie mamy się czego obawiać, pamiętając, że istnieją szczepionki.

Czy w związku z tym szkoły powinny pracować stacjonarnie także wtedy, gdy drastycznie zwiększy się liczba zachorowań?

Musimy być przygotowani na różne scenariusze, ale chyba nie powinniśmy podejmować radykalnych decyzji na poziomie centralnym. Szkoła, w której pojawi się ognisko koronawirusa, powinna być gotowa na organizację nauki zdalnej przez dwa, trzy tygodnie, a następnie na powrót lekcji stacjonarnych.

Scentralizowanie decyzji było głównym błędem w poprzednich falach?

Trudno te decyzje krytykować, gdyż podobnie reagowano w wielu innych krajach europejskich. Pod tym względem warto czerpać z wzorców azjatyckich, gdzie decyzje na poziomie lokalnym świetnie się sprawdziły. Mam na myśli np. Tajwan czy Koreę Południową, gdzie nie zamknięto centralnie szkół ani na chwilę.

Warto tą azjatycką drogą iść, gdy dojdzie do nas oczekiwana czwarta fala. Zwłaszcza że teraz już wszyscy – uczniowie, nauczyciele i rodzice – są zdeterminowani, by szkoła pracowała stacjonarnie, a nie na internetowych łączach. Ale powtórzę: nie ma powodu do obaw, jeżeli zaufamy nauce. I namówimy do szczepień bliskich.

©® Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



ALINA GAJDAWICZ / AGENCJA GAZETA

DR HAB. N. MED.

WOJCIECH FELESZKO jest pediatrą, immunologiem i pulmonologiem. Wykładowca w Warszawskim

Uniwersytecie Medycznym, pracuje w Dziecięcym Szpitalu Klinicznym WUM. Współautor projektu dotyczącego stosunku Polaków do szczepień przeciwko COVID oraz międzynarodowych raportów dotyczących immunologii COVID.

DOROTA

Masłowska:

Połączenia



WIELE LAT NIE MOĞŁAM NAUCZYĆ SIĘ porządnie jeździć autobusem. Niby nie wymaga ta dziedzina szczególnych kompetencji i talentów; niewiele wyznacza się konkursów czy stypendiów dla wybitnych, uzdolnionych pasażerów komunikacji.

A jednak z perspektywy lat myślę, że udane pasażerstwo to kwestia subtelnych, ale konkretnych umiejętności, a chociażby nieposiadania antytalentu.

A tego zawsze miałam dziwny dostatek. Przejawiałam go zwłaszcza w chwilach szczególnego przytłoczenia ogromem i bałaganem miasta czy trudnych warunków atmosferycznych. Nie mogąc się rozeznąć w kierunkach i nic niemówiących nazwach – Nowodwory (nowotwory?!), Szczęśliwice (nieszczęśliwice?!), – podejmowałam niezrozumiałe decyzje, których jedyną zaletą była szybkość. Nadjeżdżał autobus o dziwnym numerze niebędącym liczbą pierwszą; nic niemówiąca nazwa pętli pętliła mi się przed oczami; sprowokowana jej obcością, nie mogąc dłużej znieść niepewności i zagubienia, niespodziewanie wsiadałam, by znaleźć się już gdziekolwiek, dosłownie gdziekolwiek. Drzwi zamykały się za mną nieodwołalnie, a okna zaczynały wyświetlać wrogie w swym bezkresie widoki, najciszej bloki.

Miałam w sobie tę małomiejską ufność, że zawsze przebieżę dokądś tam dojadę; najwyżej wrócę. To pochodzące z krainy autobusów nr 1, 2, 3 i 6 przekonanie nie uwzględniało warszawskich odległości, rozpiętości, przestrzeni. W ten sposób człowiek rozkojarzony, zamyślony, smutny czy po prostu słuchający w kółko tej samej piosenki dawał się porywać i unosić w nieznane, kręcić sobą w tę i w te po ślimakach i estakadach, by ostatecznie zostać porzuconym na Żeraniu wśród wizgu samochodów, żelastwa i żółtych traw.

Internetowe wyszukiwarki szybkich połączeń ukróciły te błędne wycieczki, loterie ulic, osiedli i miejsc. Nadały moim wyprawom praktycznej celowości, skróciły ich wielogodzinność do niezbędnego minimum. Ale lubię autobusy. To sytuacja zmienna i nieruchoma zarazem, stacjonarna i przemierzająca się; nic dziwnego, że posiada ona swój własny, wewnętrzny czas. Gdy pojazd ślamazarzy się w popołudniowych korkach, można poczuć, jak wśród poirytowanych porzykiwań silnika wytwarzają się dodatkowe minuty. Minuty-gumy, minuty-próżnie, dziwne, arytmiczne, mierzone wes-

tnieniami i intensyfikacją scrollowań. Ludzie zaczynają wyglądać desperacko, jakby mieli pożreć swoje smartfony, rozdrapać ich ekrany i wejść do nich, i tam skryć się przed własną nieznosnością wśród newsów, postów i confetti spadających reklam.

Bywa jednak, że czas potrafi skrócić się i zgęstnieć do niemożliwości. Którejś jesieni w porze korków, próbując na różne sposoby przedostać się na Wolę, dopadłam autobusu 157. Ten po przejechaniu jakichś dwóch przystanków uległ wypadkowi. Wydarzyło się to wszystko obłędnie szybko; nie wiedziałam, że są w życiu w ogóle takie prędkości. Ułamki, opilki sekund, kiedy to moje wyobrażenia o tym, jak zachowam się podczas takiego incydentu, skasowały się nagle w kasowniku złudzeń z jednym donośnym TRACH.

Nie wiedziałam nawet, że je posiadam. Były to mądre i nad wyraz rozsądne pomysły. Nie spekulowałam często o jakichś tam wypadkach, ale gdyby nawet taki zaczął się wydarzać, można do tego wszystkiego podejść rozsądnie. Nie tracić głowy, rozejrzeć się, znaleźć reling czy barierkę; mocno się jej schwycić, zachowując równowagę, w ostateczności zaprzeć się krzeselka naprzeciwko lub cokolwiek (tu luka w wyobraźni na jakieś nieprzewidziane możliwości, zbiegi okoliczności, pojawienie się świętych i inne udogodnienia). Dziś mogę tylko powiedzieć, że nic takiego się nie wydarzyło. Nagle rozległ się monsturalny huk i jakaś chorobliwa siła rzuciła mną o kasownik. Po chwili dzwoniącej ciemności ocknęłam się na podłodze w świetle zakupów jakieś kobiety. Pamiętam głębokie dudnienie w głowie, za mlecznym woalem siatki mleko UHT, mleczko Cif, latające pomarańcze. Niewinny banał tych produktów, reprezentujących różne codzienne starania i troski *versus* trwoga wieczności, o którą właśnie się otarliśmy! Ta ostatnia ciągle jeszcze wisiała w powietrzu w postaci płaczu, krzyku i zwierzęcego lamentu. Pamiętam również jakieś gramolenia, dupy, nogi, wózek inwalidzki. Przede wszystkim jednak, że w napadzie nagłej schludności ścigam po podłodze na czworakach te zakupy, te pomarańcze, wyciągając je spod siedzeń. Niby zdając sobie sprawę ze swego upodlenia i niedorzeczności swoich wysiłków. Jednocześnie zaś ulegając przemożnej potrzebie zaprowadzenia ładu i dobra na miejsce bólu i poniewierki. Kobieta bierze ode mnie siatkę, nic nie mówiąc. Wszyscy niby żyjemy, ale po otarciu się o rzeczy ostateczne jacyś tacy niemrawi, markotni, nagle zdekomponowani. Nielegancy! Przekrzywione czapki, rozchełstane płaszcze, brudne pokrwawione dłonie. Kierowca zatrzymuje silnik i pyta, do kogo wezwać karetkę.

Zaczyna się inwentaryzacja ran, potłuczeń, szkód. Ja się jednak spieszę. Mam sprawy. Wychodzę na ulicę i idę przed siebie, tłumiąc ból, płacz i śmiech. Czuję się pompatycznie. Ta nanosekunda, mikromgnienie wieczności wśród tego wrzasku, nóg, tych siatek. Czuję, że w jakiś niejasny sposób nim lśnię.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

BISKUPI NAS NIE DOSTRZEGLI

JAKUB PANKOWIAK, MUZYK:

Zastanawiam się, jak to możliwe, że dla jednych mówienie o pedofilii w Kościele jest stawianiem po stronie słabszych, skrzywdzonych, a dla innych – atakiem na księży.

ANNA GOC: Porozmawiajmy o słowach, które padają w dyskusji o pedofilii w Kościele.

JAKUB PANKOWIAK: Przez ostatni rok, od publikacji dokumentu „Zabawa w chowanego” braci Sekielskich, śledziłem uważnie wypowiedzi duchownych. Nasłuchałem się ich tyle, że w końcu sam zacząłem omyłkowo używać określeń rozmywających fakty.

Na przykład?

Ostatnio powiedziałem o „nadużyciach seksualnych wobec osób poniżej 15. roku życia”. A przecież istnieje odpowiedzialność karna za czynności seksualne z osobami poniżej 15. roku życia, a także za inne formy wykorzystania seksualnego małoletnich. Więc słowo „nadużycia” jest za słabe. Powinienem powiedzieć o „przestępstwach”.

Tyle że „przestępstwo” to jedno z tych słów, które rzadko pada, gdy mowa o pedofilii w Kościele. Choć jest najbardziej neutralnym określeniem. Czasami zastanawiam się, dlaczego duchowni to robią? Dlaczego używają słów, które osłabiają wydźwięk przestępstw albo wręcz unieważniają fakty? Wyobraźmy sobie, że biskupi organizują konferencję prasową i mówią, że badają kilkaset albo kilka ty-

sięcy przestępstw, których dopuścili się duchowni. Co wtedy stałoby się z Kościołem?

Jak Pan myśli?

Szczerze? Myślę, że Kościół jako instytucja mógłby zacząć odzyskiwać wiarygodność. Wystarczyłoby, żeby duchowni mówili o problemie językiem neutralnym i wprost. Gdy słucham biskupów, którzy jakoś tak między wierszami, jakoś tak nie do końca, przyznają, że problem jest, czuję, jakby oni się wszyscy bali, że cień padnie też na nich. Czy tak zachowują się ludzie, którzy nie mają sobie nic do zarzucenia?

Słowa duchownych powtarzają za nimi inni ludzie Kościoła, także dziennikarze.

Przykład?

Weźmy ostatnią wypowiedź Antoniego Długosza, biskupa pomocniczego seniora archidiecezji częstochowskiej.

Przypomnijmy: w czasie modlitwy na Jasnej Górze powiedział, że zgłaszanie przypadków pedofilii jest „zaplanowanym atakiem na biskupów”, a biskup „sprzeniewierza się swemu powołaniu, gdy staje się

prokuratorem donoszącym sądom na grzeszącego syna”.

Na te słowa zareagował natychmiast prymas Polski, Wojciech Polak, który pełni rolę delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży. Biskup Długosz przeprosił, choć trudno uznać jego przeprosiny za szczere, po tym, co powiedział w czasie modlitwy. Trudno też nie podważyć ich sensu – Długosz stwierdził, że został źle zrozumiany, a przecież jego słowa nie miały żadnych ukrytych czy przenośnych znaczeń. Były wypowiedziane wprost. Z mojej perspektywy, człowieka skrzywdzonego, były jawnym nawoływaniem do tuszowania pedofilii w Kościele.

Przeprosiny przedrukowało sporo katolickich redakcji. W kilku miejscach



WOJCIECH FONDALIŃSKI / FORUM



Procesja dziękczynna z okazji 40. rocznicy pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Świątynia Opatrzności Bożej w Warszawie, czerwiec 2019 r.

pojawiała się ta sama lub bardzo podobnie brzmiąca nota, z tym tytułem: „Bp Długosz przeprosza za wypowiedź na temat wykroczeń seksualnych duchownych”.

„Wykroczeń”.

Właśnie. Dlaczego nie można napisać wprost: „przestępstw”? Przecież pedofilia jest przestępstwem.

Pisałem do administratorów portali i mediów społecznościowych „Niedzieli” czy Katolickiej Agencji Informacyjnej, które opublikowały artykuł z takim tytułem, o jego zmianę, ale nikt nie odpowiedział. Tylko „Gość Niedzielny” zareagował na mój apel – przeprosił i zmienił słowo „wykroczeń” na „przestępstw seksualnych”.

Zastanawiam się cały czas, jak to możliwe, że dla jednych mówienie o pedofilii w Kościele jest stawianiem po stronie słabszych, ludzi skrzywdzonych, a dla innych – atakiem na księży.

Weźmy od razu kolejne słowo, którego użył biskup Długosz: „grzech”.

Ci, którzy mówią o przestępstwie pedofilii jako o grzechu – wykroczeniu, nadużyciu i tak dalej, jest cały zestaw słów zamiennych – w moim odczuciu próbują chronić sprawców.

Co my – ludzie wykorzystani seksualnie przez księży – mamy z tymi słowami zrobić? Jak na nie reagować? Dla nas to jest jasny sygnał, że ksiądz jest kimś wyjątkowym – należy do wyższego stanu.

Jeśli robi coś złego, to grzeszy, a przecież za grzechy można odpokutować we własnym sumieniu. Człowiek świecki, który dopuści się podobnych czynów, jest po prostu przestępcą.

Takich słów jest więcej. Moje ulubione: „przewina”. Albo ksiądz jest „obwiniony”, a nie „oskarżony” oraz sformułowanie „niektórych księży”, a nie zwyczajnie „księży”.

„Miłosierdzie” – jedno z tych słów pojawiających się w czasie nabożeństw w intencji osób skrzywdzonych, kiedy to spora część modlitwy dotyczy miłosierdzia dla sprawców.

Jestem miłośnikiem miłosierdzia. Jest jedną z najpiękniejszych idei, które →

→ można znaleźć w Piśmie Świętym. Tyle że miłosierdzie w kontekście pedofilii jest karykaturą, wypaczeniem.

Miłosierdzie nie polega na głupim wybaczeniu, na udawaniu, że nic się nie stało. Tylko na tym, żeby ktoś mógł ponieść konsekwencje swoich czynów. Poddał się karze czy leczeniu. Wykorzystywanie miłosierdzia w kontekście pedofilii odbieram jako próbę wymuszenia na osobach poszkodowanych przebaczenia sprawcom.

Jak się Panu udaje wyjść z tej narracji religijnej, która jest nałożona na fakty związane z przestępczością księży?

Opowiem o sytuacji sprzed kilku miesięcy. Zostałem zaproszony do abp. Stanisława Gądeckiego, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. Spotkanie było jednym z elementów postępowania wyjaśniającego w sprawie zaniedbań bp. Edwarda Janiaaka dotyczących jego pracy w diecezji kaliskiej.

Dzień wcześniej zadzwonił do mnie ktoś z zastrzeżonego numeru telefonu i w ten sposób zaprosił na to spotkanie. Zapytałem, czy mogę przyjść z osobą towarzyszącą, ale usłyszałem, że nie ma takiej możliwości.

Dlaczego?

Zdziwiłem się, bo z moich informacji wynika, że osoby skrzywdzone zawsze mogą poprosić o towarzyszenie kogoś bliskiego, choćby psychologa. Zapytałem o to jeszcze raz, już w czasie spotkania. Człowiek, który asystował abp. Gądeckiemu, wyjął jakiś dokument po włosku i zaczął czytać go na głos. Nie znam języka włoskiego, więc jakoś pobieżnie mi go przetłumaczył. Niewiele z tego rozumiałem i dalej nie wiem, dlaczego musiałem być sam.

Szedłem tam silny. Ale tuż po przekroczeniu progu pomieszczenia, w którym na mnie czekali abp Gądecki i jego asystent, którego nazwiska, chyba z nerwów, nie zapamiętałem, poczułem się słaby. Wszedłem tam jak ktoś nierówny.

Co Pan zrobił?

Nie wiem dlaczego, ale na wstępie poczułem, że muszę jakoś im powiedzieć, że jestem po ich stronie. Że nie przyszedłem ich atakować, tylko chcę wyjaśnić swoją sprawę. Narzuciło mi się coś takiego, żeby od razu wytłumaczyć, że nie robię

tego dla pieniędzy. Przyszło mi nawet do głowy takie zdanie: „Jestem z wami”.

Połączenie narracji prawno-karnej z religijną, zastępowanie jednej przez drugą, spowodowało, że osoby skrzywdzone przez księży, które wybrały drogę prawno-karną, czują się tak, jakby były w ciągłej kontrze do Kościoła.

W „Zabawie w chowanego” jest taki fragment z przesłuchania biskupa Edwarda Janiaaka, kiedy mecenas zwraca się do niego bez podawania jego kościelnej funkcji. To zmienia sytuację.

Tak. Fatalne jest to poczucie niższości świeckich, które się nam wpaja od najmłodszych lat. Mam wrażenie, że walczę z nim w moim życiu, ale czuję, że jestem z niego zbudowany. Cały czas muszę sam siebie kontrolować, żeby się nie pojawiało, nie dominowało.

Nawet teraz, gdy opowiadam z pamięci szczegóły spotkania z abp. Gądeckim, obawiam się, że mogłem coś źle zapamiętać. Poza tym jego asystent nagrywał nasze spotkanie.

Pan też mógł to zrobić?

Jeśli wieczorem dostaje pani informację, że jutro ma się stawić w kurii, to najpierw trzeba przygotować się do tego psychicznie. Takie formalne rozwiązania, jak zabranie ze sobą dyktafonu, nie przychodzi nawet do głowy.

Czułem się tam, jakbym brał udział w czymś ode mnie niezależnym. Jakby wszystko płynęło, a ja, nie mając żadnej kontroli, nie mógł się przeciwstawić temu, co się dzieje. To się chyba nazywa bezsilność.

Myślę, że nie mogłbym nagrywać, bo od razu dostałem jakiś dokument, już nie pamiętam dokładnie jego treści, chodziło o to, że mam mówić całą prawdę i zachować dyskrecję. Przysięgałem, trzymając dłoń na Piśmie Świętym. Jak na przesłuchaniu. Znowu poczułem, że oni mi nie ufają, nie wierzą w moje słowa. Bez tej przysięgi na Pismo Święte niewiele dla nich znaczą. Ciekawe, jak traktują ludzi, którzy są niewierzący. Czy im też każą przysięgać na Pismo Święte?

Co było potem?

Wyszedłem z tej rozmowy ogólnie zadowolony. Pamiętam, że nawet się cieszyłem, bo arcybiskup Gądecki był dla mnie miły. Dopiero potem zacząłem odtwa-

rzać krok po kroku, co się właściwie wydarzyło i jak ja się z tym wszystkim czuję.

Myślę, że gdybym próbował zwrócić uwagę na swoją sytuację, mogliby jej nie zrozumieć.

Trudno jest wyjaśnić komuś, kto nie doznał molestowania, co to wydarzenie potrafi zrobić w życiu człowieka.

Był taki czas, kiedy na tyle wyparłem fakt molestowania, że jakoś funkcjonowałem. Nie myślałem o tym przecież każdego dnia, nie chodziło to za mną. Bywały tylko gorsze – i jak mi się wtedy wydawało, niezwiązane z molestowaniem w żaden sposób – dni. Pojawiały się stany depresyjne, z moim organizmem działo się coś dziwnego. Niewiele z tego rozumiałem. Nie wiedziałem, dlaczego tak jest.

Zawsze, gdy mnie molestował, była ciższa. Nie padało za wiele słów, a jeśli już, to tylko takie, że nie mogę się wycofać. Molestowanie to był wyrwyk z normalnego świata. Wszystko było dobrze, potem niespodziewanie działo się to, a gdy się kończyło, wracaliśmy do stanu sprzed chwili.

To były dwa światy. Normalny, w którym lubiłem księdza, znajomego mojego ojca, i ten drugi świat, w którym ten sam ksiądz mnie molestuje. W ciszy, i powiedzmy sobie, w takim dziwnym spo-koju.

Czuł się pewnie.

Tak, nie musiał się niczego obawiać. Często odwiedzał moich rodziców, a mojego ojca jako organistę widywał każdego dnia w pracy. Miał więc wszystko pod kontrolą.

Jedyne momenty, kiedy rozmawialiśmy o seksie, były w czasie spowiedzi. Dopypywał mnie, czy się masturbuję, a jeśli tak, chciał wiedzieć ze szczegółami, jak to robię i o czym wtedy myślę.

Kim był w Waszym rodzinnym domu ksiądz?

Jako mały chłopiec nie lubiłem księży. Zjawiali się ciągle w naszym domu, trochę bez pytania. A wraz z nimi święteczna atmosfera. Obserwowałem, co się dzieje. Ksiądz miał honorowe miejsce, my wszyscy biegaliśmy wokół niego. Najbardziej było mi żal mojej mamy, bo ona nagle stawała się kimś, kto przynosi jedzenie i sprząta. Nie była dla księdza partnerem do rozmowy. To było tym dziwniej-

sze, że mój tata nigdy tak mamy nie traktował. Dlatego przysłuchiwałem się kolejnym księżom i zupełnie nie rozumiałem, na czym polega ich wyjątkowość. Dlaczego moi rodzice patrzą w nich jak w obrazek, a mnie niektórzy z tych księży wydają się po prostu prymitywni.

Pamiętam jedną Wigilię Bożego Narodzenia, kiedy do domu przyjechał ksiądz, który był szefem mojego taty. Tata grał wtedy w takiej małej miejscowości, no i często zapraszał księdza na Wigilię. Po kolacji ksiądz mówi: „A gdzie jest wino? Dobry gospodarz ma zawsze wino”. Pamiętam, jak mój tata się zawstydził, bo myśmy nigdy nie mieli w domu alkoholu na święta.

Widziałem, że księży w moim domu pozwalają sobie na wiele, ale nie dostają kontry ze strony moich rodziców. To mnie chyba utwierdziło w przekonaniu, że nie mogę – mówiąc kolokwialnie – pysskować. Nie mogę kontrargumentować, nie mogę dyskutować, nie mogę zadawać za wiele pytań.

Takie podejście odbiera poczucie, że można mieć rację w konfrontacji z księdzem.

Jak długo to w Panu trwało?

Dla kogoś wierzącego fakt, że sprawcą jest ksiądz, bywa poważną blokadą w zgłoszeniu sprawy. Gdyby to był świecki, obcy człowiek, chyba byłoby mi łatwiej. Oskarżając księdza czuję, że podważam swoje fundamenty. Przecistawiam się wszystkiemu, co było dotąd ważne. Bo to jest przecież ksiądz, który chrzci dzieci, który mówi kazania, który słucha spowiedzi, do którego przychodzą ludzie po porady, on zaś im mówi, co jest dobre, a co złe. Przecież dla wszystkich innych to jest dobry człowiek.

Odkąd postanowiliśmy powiedzieć, że ksiądz H. nas molestował – mnie i mojego brata – mierzyłem się z takim poczuciem, że zmyślamy.

Ktoś tak Panu powiedział?

Pojawiało się sporo takich głosów. Ludzie wysyłali nam wiadomości, zostawiali komentarze w mediach społecznościowych. Nikt nie był na tyle odważny, by powiedzieć nam coś takiego wprost. Sporo takich głosów należało do duchownych.

Jeden z ważnych duchownych powiedział mojemu znajomemu księdzu, nie wiedząc o naszej znajomości, że my na



ADAM CIERESZKO / EAST NEWS

JAKUB PANKOWIAK jest absolwentem Akademii Muzycznej w Poznaniu, obronił dyplom z wyróżnieniem w klasie organów Sławomira Kamińskiego. Studiował także na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie pod kierunkiem Magdaleny Czajki, w Musikhochschule Lübeck pod kierunkiem Arvida Gasta. Laureat wielu konkursów w Polsce i za granicą, między innymi M.K. Čiurlionisa w Wilnie i Ogólnopolskiego Konkursu Organowego Wykonawstwa Utworów D. Buxtehudego w Krakowie. Uhonorowany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej” (2017). Występuje jako solista akompaniator, koncertował m.in. w Niemczech, Luksemburgu i Izraelu. Był jednym z bohaterów dokumentu braci Sekielskich „Zabawa w chowanego”.

pewno robimy to wszystko dla pieniędzy. Podobnie zareagował jeden z proboszczów, w parafii, w której kiedyś byłem organistą.

Kiedy się skończyło to poczucie, że zmyślacie?

Dopiero po wyroku. Po tym, jak ksiądz H. się przyznał.

Czyli niecały rok po emisji dokumentu braci Sekielskich.

Tak, emisja była w maju, a wyrok zapadł w marcu tego roku.

Wtedy pomyślałem: „Uff, dobra, przyznał się. Już nie będę musiał nikomu nigdy tłumaczyć się z tego, że może coś sobie dopisałem albo wymyśliłem. Ani udowodniać, co się naprawdę wydarzyło”. To było bardzo uwalniające. Mogę wyjść na ulicę i nikt mnie nie zaczepi: „ej, stary, zmyślasz” albo „robisz to dla pieniędzy”. Do tamtego momentu cały czas miałem poczucie, że ktoś mi może udowodnić, że sobie to wszystko wymyśliliśmy.

Teraz jeśli komuś się nie podoba to, co robię, albo ma jakieś wątpliwości co do krzywdy, której doznałem, czy w ogóle wątpliwość co do tego, jak działamy, po prostu odcinam się od tego. I nie staram się tego prostować ani tłumaczyć. W ten sposób próbuję siebie samego chronić.

W ostatnim roku kontaktowali się z Panem inni skrzywdzeni przez księży, a dla wielu stał się Pan głosem osób poszkodowanych. Co im Pan radzi?

By nie szli zgłaszać swojej sprawy sami. By wykorzystali to, że w ostatnich kilku latach powstały miejsca, w których można uzyskać realną pomoc. Mam takie poczucie, że jeśli ich sprawy trafiają do Fundacji św. Józefa i przez ludzi tej Fundacji są dalej prowadzone, to one idą bardzo szybko i sprawnie. Rzadko się zdarza, że biskup czy delegat ds. ochrony dzieci i młodzieży zachowa się nietaktownie, że ktoś źle przyjmie osobę poszkodowaną, a jeśli to się wydarzy, jest reakcja zwrotna ze strony Fundacji. Podobnie działają ludzie z Inicjatywy „Zranieni w Kościele”. Ci, którzy idą sami, wciąż mogą spotkać się z oporem. Warto też zgłaszać swoje sprawy do Państwowej Komisji do Spraw Pedofilii. Można tam trafić na bardzo wrażliwych i empatycznych ludzi, którzy mają jeden cel – pomaganie pokrzywdzonym.

A co Pan robi z takimi wypowiedziami jak ta Antoniego Długosza, który mówi, że zgłaszanie pedofilii jest atakiem na biskupów?

Po roku zabierania głosu zdałem sobie sprawę, że nie jestem w stanie przekonać wszystkich. Nie udało nam się dotrzeć do wielu biskupów, więc odpuszczam sobie i odcinam się od nich. Gdy słyszę, co niektórzy z nich mówią, czuję, że biskupi nas nie dostrzegali. Są skoncentrowani na wizerunku instytucji i na sprawcach.

©P Rozmawiała ANNA GOC



Msza beatyfikacyjna ks. Jerzego Popiełuszki. Warszawa, czerwiec 2010 r.

Miłosierdzie i sprawiedliwość

PIOTR SIKORA

Chrześcijańska troska o skrzywdzonych wcale nie musi inspirować się wizją Boga jako sędziego karzącego złoczyńców.

TAM, GDZIE POJAWIA SIĘ ZŁO, A ZWŁASZCZA zło ludzkiej krzywdy – tam pojawia się także pytanie o sprawiedliwość. Elementarna, naturalna intuicja moralna podpowiada, że sprawiedliwość wymaga, by krzywda została naprawiona, a sprawca ukarany. Jednakże w chrześcijańskiej wizji Boga i świata ów prosty schemat zostaje skomplikowany przez ideę miłosierdzia – miłosierdzia, które ma zasięg powszechny, obejmuje nie tylko skrzywdzonego, ale także krzywdziciela.

Manipulacja „miłosierdziem”

Historia pokazuje, że nie jest prosto pogodzić – zarówno w teorii, jak i w praktyce – te dwie perspektywy: sprawiedliwości i miłosierdzia. Trudność w spójnym wyjaśnieniu, jak miłosierdzie ma się do sprawiedliwości, sprawia również, iż można naginać znaczenie tych pojęć, uzasadniając postawy i czyny moralnie więcej niż wątpliwe.

Niedawnym, głośnym przykładem takiego nieuprawnionego, manipulacyjnego użycia pojęcia „miłosierdzie” były

słowa bp. Antoniego Długosza wypowiedziane na Jasnej Górze. Podczas apelu jasnogórskiego odczytał on tekst, który miał formę modlitwy, ale w rzeczywistości był obroną biskupów przed coraz częstszymi zarzutami o tuszowanie przestępstw seksualnych popełnianych przez księży wobec osób nieletnich i zależnych. Opisywał właściwą w swoim mniemaniu postawę hierarchów kościelnych: „kiedy ksiądz grzeszy, biskup wzywa go na rozmowę, upomina, wyznacza pokutę, po której, jeżeli otrzymuje od księdza chęć poprawy, przebacza mu. I daje szansę dobrego życia i duszpasterskiej pracy”. Kilka zdań później dodawał: „Miłosierny biskup daje szansę grzeszącemu księdzu. Sprzeniewierza się swojemu powołaniu, gdy staje się prokuratorem donoszącym sądom na grzeszącego syna”.

Pomińmy na chwilę fakt, że za sprzeniewierzenie się biskupiemu powołaniu bp Długosz uznał postępowanie zgodne z przepisami nie tylko państwowymi, ale także kościelnymi. Potraktujmy jego wyżej zacytowane słowa jako punkt wyj-

ścia refleksji bardziej ogólnej – jak godzić chrześcijańskie miłosierdzie z elementarnymi wymogami sprawiedliwości.

Niektórzy twierdzą, że źródłem problemu jest nadmierne akcentowanie miłosierdzia – kosztem sprawiedliwości. Jeśli – mówią – odrzuci się jedną z tzw. „sześciu prawd wiary”, mianowicie, że „Bóg jest sędzią sprawiedliwym, który za dobro wynagradza, a za zło karze”, bezpośrednią konsekwencją będzie usprawiedliwianie za pomocą kategorii miłosierdzia zaniechania wszelkich działań, które mogłyby doprowadzić do sprawiedliwego ukarania sprawców nawet wielkich przestępstw – w szczególności do odmowy współpracy z państwowym wymiarem sprawiedliwości. Natomiast świadomość karząco-nagradzającej sędziowskiej natury Boga miałaby – wedle zwolenników tego poglądu – prowadzić wierzących do podejmowania wysiłków zmierzających do przywracania sprawiedliwości w świecie tam, gdzie została ona naruszona.

Rozwiązanie wydaje się proste. Jednak posiada dwa słabe punkty. Po pierwsze, nie bierze pod uwagę ewangelicznej wizji zarówno miłosierdzia, jak i sprawiedliwości. Po drugie, nie odróżnia w odpowiednim stopniu natury dyskursów religijno-teologicznego i świecko-jurydycznego.

Ewangelia miłosierdzia

Rozważając ewangeliczną wizję miłosierdzia i sprawiedliwości warto zauważyć, że wyrażona jest ona zasadniczo w metaforach, symbolach czy przypowieściach. Taki charakter ma przede wszystkim mowa o samym Bogu i jego panowaniu,

tj. działaniu w świecie (w polskich tłumaczeniach zwrotu *basilea tou theu* pojawia się tu najczęściej fraza „królestwo Boże”).

Nauczając uczniów o naturze Bożej relacji do świata Jezus mówi, że jest ona jak szukanie zgubionej monety przez gospodynię domu, owcy przez pasterza albo jak ojcowskie wyczekiwanie na syna marnotrawnego i radość z jego powrotu. Ta ostatnia historia wprost sugeruje, wykonywając postać starszego syna, że oczekiwanie na jakąś karę, która poprzedzałaby pojednanie, świadczy o zupełnym niezrozumieniu Boga.

Pojęcie sprawiedliwości odnosi się w ewangeljach raczej do ludzi niż do Boga. Warto jednak uważnie przyrzeć się, co znaczy. Gdy w Kazaniu na Górze Jezus mówi: „jeśli wasza sprawiedliwość nie będzie większa niż faryzeuszów i uczonych w Piśmie, nie wejście do Królestwa” (Mt 5, 20), natychmiast wyjaśnia, na czym „owa większa sprawiedliwość” polega: nie tylko nie zabijać, lecz nie gniewać się na drugiego, nie uważać go za bezbożnika i głupca, nie patrzeć w sposób uprzedmiotawiający, nie oddawać złem za doznane zło i nie stosować przemocy w samoobronie, nie osądzać drugiego człowieka (por. Mt 5, 17-48; 7, 1-6).

Właśnie tak rozumiana sprawiedliwość jest naśladowaniem doskonałości Boga, którego „słońce wschodzi nad złymi i nad dobrymi, i On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych” (Mt 5, 45). Jeśli już więc chcielibyśmy domyślać się, na czym polega boska sprawiedliwość, to nie można zapomnieć, iż to wyżej opisane działanie jest jej odbiciem. Trudno w tej „większej sprawiedliwości” dostrzec jakiegokolwiek przebłysk rysów karzącego sędziego. Przypomina ona raczej postawę ojca z przypowieści, który zamiast ukarać marnotrawnego syna, nie dbając o własną godność wybiega mu naprzeciw, przytula i urządza ucztę z okazji jego powrotu.

Boski sąd

Owszem, obrońcy wizji karzącej boskiej sprawiedliwości mogą wskazać na obecne w tych samych ewangeljach opisy sądu Syna Człowieczego nad narodami albo przypowieści o zbożu i chwacie – w której ten ostatni zostanie wrzucony w ogień („i będzie płacz, i zgrzytanie zębów”). Tu, jak się zdaje, rozdzielenie dobrych i złych jest jasne, jak również to, że tych ostatnich spotyka kara.

Czy da się pogodzić te dwa sposoby obrazowania Boga? Czy też ewangelia nie jest całkiem spójna? Być może pewną wskazówką jest poniższy fragment Ewangelii Jana: „Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne. Albowiem Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat sądził, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony. Kto wierzy w Niego, nie podlega sądowi; a kto nie wierzy, już został osądzony, bo nie uwierzył w imię Jednorodzonego Syna Bożego. A sąd polega na tym, że światło przyszło na świat, lecz ludzie bardziej umiłowali ciemność aniżeli światło: bo złe były ich uczynki. Każdy bowiem, kto się dopuszcza nieprawości, nienawidzi światła i nie zbliża się do światła, aby nie zdemaskowano/ujawniono jego uczynków. Kto spełnia wymagania prawdy, zbliża się do światła, aby się okazało, że jego uczynki są dokonane w Bogu” (J 3, 16-21).

Czytając powyższy fragment mowy Jezusa, warto pamiętać, że w najbardziej rozpowszechnionym przekładzie Biblii Tysiąclecia, używanej także w liturgii, kluczowe tu słowo *krino* tłumaczone jest jako „potępić”, choć bardziej podstawowym jego znaczeniem jest „rozróżniać”, „rozsądzać”, „sądzić”. „Potępić” jest o tyle dopuszczalne, że w „sądzić” zawiera się „wydać wyrok”, a wyrok może – choć nie musi – być skazujący. To negatywne zawężenie sensu jest o tyle niezrozumiałe, że tekst zaraz po frazie mówiącej, iż wierzący nie podlega sądowi, niewierzący zaś został osądzony, wyjaśnia, na czym polega sąd: na oświeceniu świata boskim światłem, sprawiającym, iż stają się jawne rzeczywisty sens i prawdziwa wartość ludzkiego postępowania. Jest to jedyny boski wyrok – a jedyną nałożoną przez Boga karą jest powszechne rozpoznanie zła tych czynów, które takie właśnie były. Wedle ewangelii takie rozpoznanie jest na tyle trudnym doświadczeniem, iż lęk przed nim rodzi reakcję ucieczki od światła.

Nie ma prostych przejść

Metaforyczny język ewangelii nie ułatwia wypracowania precyzyjnej teorii boskiej sprawiedliwości i miłosierdzia. Można jednak zaryzykować stwierdzenie, że – po pierwsze – w ewangelicznej perspektywie Boże działanie w świecie, w którym obecne jest zło, cierpienie,

krzywda, zmierza ku pojednaniu, odzyskaniu, naprawieniu utraconego dobra. Uczestnictwo w tym procesie nie zawsze bywa dla człowieka łatwe – zwłaszcza jeśli popełnił zło. Wymaga bowiem radykalnego stanięcia w prawdzie (czyli poddania się boskiemu osądowi).

Ewangelia nie mówi jednak o nakładanych przez Boga na grzeszników karach. Owszem – wskazuje możliwość znalezienia się poza przestrzenią panowania Boga (niewiejsia do królestwa Bożego). Wynika ona jednak raczej z natury rzeczy – skoro przestrzeń panowania Boga jest przestrzenią panowania miłości i przebaczenia, to ci, którzy nie kochają (nie dają jeść głodnym, nie przyjmują przybyszów, nie towarzyszą uwięzionym) i nie przebaczą (niczym nielitościwy dłużnik – który sam uwolniony od długu nie chciał darować temu, kto jemu był winny – por. Mt 18, 23-35), nie znajdują się – z samej natury rzeczy – w Bożym królestwie.

Uznanie powyższej perspektywy nie rozwiązuje jeszcze problemu: jaki jest właściwy chrześcijański sposób postępowania w złożonej rzeczywistości społecznej, zorganizowanej przez świeckie systemy prawne, i w której pewnym osobom dzieje się krzywda z rąk innych ludzi? Uzasadnione wydaje się stwierdzenie, że natura nauczania Jezusa nie pozwala na sformułowanie jednego, precyzyjnego zbioru reguł, który wynikałby wprost z tekstów natchnionych (dlatego tzw. katolicka nauka społeczna nie zawiera żadnych dogmatów).

Uważna lektura ewangelii, wsparta naukowymi badaniami biblistów, pozwala stwierdzić, że Jezus koncentrował się w swoim nauczaniu bardziej na osobistej, egzystencjalnej postawie swoich słuchaczy i słuchaczy niż na formułowaniu zaleceń co do organizacji społeczeństwa. Co więcej, wszelkie Jego wypowiedzi (a także wypowiedzi innych autorów Nowego Testamentu), które można by uznać za takie zalecenia, formułowane były w kontekście społecznym i prawnym zupełnie różnym od tego, w którym żyjemy dzisiaj. Prawo Izraela miało charakter religijny, a nie tylko świecki. Podobnie – choć w innym stopniu – było z prawem rzymskim, a Izrael był pod okupacją Rzymu. Społeczny i prawny kontekst, w którym żyjemy dzisiaj w Polsce, jest zupełnie inny – konstytucja Rzeczypospolitej określa, że żyjemy w demokratycznym państwie prawa.

Ewangeliczne inspiracje

→ Nie znaczy to, oczywiście, że nie można w Nowym Testamencie znaleźć wskazówek istotnych w kontekście społecznego pytania o właściwe działanie w obliczu dziejącej się krzywdy – zarówno wobec skrzywdzonych, jak i wobec krzywdzicieli.

Po pierwsze, trzeba zauważyć, że wszelkie ewangeliczne teksty, które mówią o „pacyfistycznej” postawie wobec doznawanej krzywdy, są wskazówkami skierowanymi do osoby, która krzywdy doznaje. Sugerują ci określoną postawę, jeśli ktoś cię uderza lub zabiera ci płaszcz. I tylko do ciebie należy prawo przebaczenia oprawcy. W ewangelii nie ma zdania: „przebacz temu, kto skrzywdził innych”. Ani tym bardziej: „jeśli widzisz, że dorosły człowiek molestuje dziecko, nie reaguj”. Zalecenie nieodpowiadania przemocą na spotykającą nas krzywdę ma sens jako wskazówka, w jaki sposób nie rozprzestrzeniać przemocy – zatrzymując ją na sobie. Brak reakcji na krzywdę dziejącą się wokół nas jest postawą o skutkach dokładnie przeciwnych intencji Jezusa – pozwala, by przemoc nadal się rozprzestrzeniała.

Co więcej, w tekstach natchnionych znajdziemy wiele fragmentów podkreślających, że to właśnie najsłabszym członkom społeczeństwa należy się szczególna troska. Jak głosi List Jakuba: „Religijność czysta i bez skazy wyraża się w przychodzeniu z pomocą sierotom i wdowom w ich utrapieniach” (Jk 1, 27). Wdowy

i sieroty to osoby w ówczesnym społeczeństwie najbardziej bezbronne, podobnie jak przybysze, o przyjęcie których dopomina się ostateczny Sędzia – jako pozbawieni rodzinno-klanowego wsparcia znajdowali się na marginesie tamtego społeczeństwa.

Ewangeliczna postawa wobec krzywdzicieli musi więc, po pierwsze, brać pod uwagę troskę o ochronę przed krzywdą słabych i bezbronych. Musi się więc wiązać z działaniami, które krzywdzie w miarę możliwości zapobiegają. W sytuacji życia w państwie takim jak współczesna Polska, w którym obowiązuje system prawny chroniący – choćby w sposób niedoskonały – osoby słabsze: dzieci, nieletnich, osoby zależne itp. przed krzywdą, właściwym sposobem postępowania jest współpracowanie z państwowym wymiarem sprawiedliwości w tym zakresie.

Z drugiej strony jednak ewangeliczna postawa i wypływające z niej działania, jako naśladujące powszechną miłosierdną miłość Boga, winny mieć na celu także dobro krzywdzicieli. Warto pracować nad wewnętrznym do nich nastawieniem, by nie było w nim nienawiści czy pogardy. Współpracując przy oddaniu ich w ręce – świeckiej – sprawiedliwości, można nadal „przychodzić do nich w więzieniu” (por. Mt 25, 36) – nie zrywać z nimi wszelkiej więzi, towarzyszyć im, pomagać w zorganizowaniu procesu terapii i resocjalizacji.

Warto w tym miejscu zauważyć, że ewangeliczna wizja boskiego sądu, jako

ujawnienia rzeczywistej wartości czynów, do pewnego stopnia współgra z działaniami sądów świeckich. To właśnie państwo posiada środki przeprowadzenia rzetelnego procesu, w którym jawne się staje, kto czemu zawinił, kto był krzywdzicielem, a kto doznał krzywdy. W kontekście wielu krzywd, w tym także szczególnie molestowania seksualnego, takie jednoznaczne zdemaskowanie zła jest bardzo potrzebne osobom skrzywdzonym – bowiem jednym z aspektów krzywdy jest psychiczna manipulacja, w wyniku której osoby skrzywdzone niejednokrotnie obwiniają siebie o to, co się im stało. Zdemaskowanie zła pozytywne może być także dla sprawców – i oni bowiem często żyją w samozakłamaniu, które nie pozwala im rozpocząć procesu nawrócenia.

Ewangeliczna wizja sprawiedliwości i miłosierdzia może też inspirować do bardziej ogólnego rozumienia – i kształtowania – systemu prawa karnego. Sugeruje bowiem, że służyć ono powinno nie odwetowi za uczynione zło, lecz resocjalizacji złoczyńców, a także – przede wszystkim – ochronie tych, którzy mogą doznać krzywdy.

I właśnie – Ewangelia wskazuje jednoznacznie – osoby skrzywdzone oraz te, które są najbardziej narażone na przemoc, powinny znaleźć się w centrum uwagi, także w kontekście kształtowania prawa i współpracy przy jego egzekwowaniu. W tej perspektywie najbardziej skandalicznym aspektem wypowiedzi bp. Długosza na Jasnej Górze było nie to, co powiedział o relacji biskupów i księży, lecz to, czego tam nie powiedział. Do sytuacji osób skrzywdzonych i relacji kościelnych hierarchów do nich odniósł się jednym krótkim zdaniem – „Jezusowe miłosierdzie okazują biskupi także wobec pokrzywdzonych” – które zabrzmiało, jakby było *ad hoc* wtrącone w cały wywód.

A przecież, trzeba powiedzieć, w ewangelicznej perspektywie właśnie o relacje do osób skrzywdzonych chodzi, o troskę o nie, o nieobojętność, o wrażliwość na ich sytuację. A także o taką praktykę prawną, która będzie im najbardziej pomocna. W tym zaś inspiracją nie będzie wcale obraz Boga jako sędziego rozdającego nagrody i kary – lecz raczej metaforyczne opowieści o miłosiernym ojcu, o pasterzu szukającym najsłabszej owcy albo o kobiecie, która sprząta dom, by znaleźć zgubę. ©© PIOTR SIKORA

W dniu 12 sierpnia 2021 r. zmarła w wieku 95 lat

Ś.†P.

Maria Teresa Dietl
z domu Rostworowska

nasza ukochana Mama, Babcia i Prababcia; wieloletni redaktor
w Redakcji Socjologicznej Państwowego Wydawnictwa Naukowego,
oddana rodzinie i działalności społecznej na wielu polach.

Msza święta żałobna odprawiona zostanie w poniedziałek 30 sierpnia 2021 r.
o godz. 12.00 w kościele św. Karola Boromeusza na Starych Powązkach,
po czym nastąpi odprowadzenie do grobu rodzinnego.

O czym zawiadamia pogrążona w głębokim smutku rodzina
SYN, CÓRKA, SYNOWA, ZIĘĆ, PIĘCIORO WNUKÓW I PIĘTNAŚCIORO PRAWNUKÓW

POŻEGNANIE



DOMENA PUBLICZNA

Sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej kard. Eugenio Pacelli (późniejszy papież Pius XII; pośrodku) na 34. Kongresie Eucharystycznym. Budapeszt, maj 1938 r.

Uliczny znak wiary

JÓZEF PUCIŁOWSKI OP

Przedwojenny kongres eucharystyczny w Budapeszcie był największym religijnym wydarzeniem na Węgrzech. We wrześniu mamy jego powtórkę.

MIAŁ SIĘ ODBYĆ ROK TEMU WE WRZEŚNIU. Już od dłuższego czasu trwały na Węgrzech przygotowania do 52. Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego. Zdążyło się zarejestrować aż 60 tysięcy uczestników z wielu krajów. Plany pokrzyżowała pandemia. Franciszek zdecydował się przenieść kongres na rok 2021. Odbędzie się w Budapeszcie w dniach 5-12 września.

Samych kardynałów – wraz z węgierskim Péterem Erdő – przybędzie kilkuset, m.in. osoby o tak odmiennym podejściu do wielu spraw w Kościele, jak znany ze swojego konserwatyzmu Robert Sarah z Gwinei oraz arcybiskup Luksemburga i przewodniczący Komisji Episkopatów Wspólnoty Europejskiej Jean-Claude Hollerich, który zasłynął powiedzeniem, że nie wyklucza kapłaństwa kobiet („Ja tego po prostu nie wiem [czy to możliwe], choć jestem na to otwarty”). Wśród zaangażowanych w kongresowe katechezy znalazł się też kard. Angelo Bagnasco, niedawno prowadzący w Polsce w imieniu papieża śledztwo w sprawie zarzutów stawianych kard. Dziwiszowi. Jedną z porannych kongresowych modlitw poprowadzi natomiast przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki.

Historyczne wydarzenie

Kongresy eucharystyczne mają już ponad stoletnią historię. Pierwszy odbył się w 1881 r. w Lille we Francji. W założeniu wydarzenie to miało szerzyć kult Eucharystii wśród katolików na całym świecie – kolejne kongresy odbywały się od Meksyku po Australię (ostatni miał miejsce na Filipinach w 2016 r.). Niewątpliwie kongresy umacniały klerykalną wizję Kościoła (pierwszorządna rola kapłanów, zapewniających dostęp wiernym do źródła nadprzyrodzonego życia). W ostatnim czasie w teologii kongresów kładzie się jednak większy nacisk na osobiste spotkanie z Chrystusem w Eucharystii.

W Polsce jedyny kongres eucharystyczny odbył się z udziałem Jana Pawła II we Wrocławiu w 1997 r.

Budapeszt obok Rzymu i Dublina należy do miast, w których święto Eucharystii organizowano dwukrotnie. Za pierwszym razem odbyło się ono w ostatnim tygodniu maja 1938 r., jako 34. kongres z kolei. Warto przed zbliżającym się wydarzeniem przypomnieć tamte chwile.

Niewątpliwie rację ma węgierski historyk Jenő Gergely, pisząc: „Największym wydarzeniem katolicyzmu węgierskiego XX wieku był Światowy Kongres Eucha-

rystyczny 1938 roku”. Należy też dodać, że kraj znajdował się do tego czasu w korzystnej sytuacji politycznej, choć „od połowy lat 30. Węgry zacieśniały więzi z nazistowskimi Niemcami” (Ignác Romsics). W okresie przygotowywania kongresu i jego trwania nie było jeszcze znamion otwartego kursu politycznego sympatyzującego z nazizmem. Stanie się to kilka miesięcy później, na początku listopada 1938 r., gdy „hitlerowskie Niemcy i faszystowskie Włochy »rozsądziły« spór węgiersko-czechosłowacki, przyznając państwu węgierskiemu południową część Słowacji z Koszycami i zachodnią część Rusi Podkarpackiej z Užhorodem” (Wacław Felczak).

Liczbowo katolików w 1938 r. było około 5,6 mln na ponad 9 mln Węgrów. Księża diecezjalnych pracowało około 2300, zakonnych ponad 1200, siostr było około 4500. Episkopat składał się z 18 biskupów. Arcybiskupem stolicy prymasowskiej Esztergom był wówczas benedyktyn, książę-prymas kard. Jusztinián Serédi (urodzony na dzisiejszej Słowacji jako György Szapucsek).

Regent Królestwa Węgier Miklós Horthy, któremu przysługiwał tytuł „Jego Wysokość” (ostatni dowódca floty austro-węgierskiej na Adriatyku), uczynił – jako kalwin – niewątpliwie przyjazny gest wobec Kościoła katolickiego, powołując w maju 1938 r. na stanowisko premiera katolika, budapeszteńczyka, Béle Imrédygo (*nota bene* skazanego na śmierć w 1946 r. za współudział w Holokauście około 560 tys., czyli 70 proc. Żydów węgierskich). Patronat nad kongresem w imieniu królewskich Węgier objęła żona Horthyego Magdolna, gorliwa katoliczka.

Piusa XI reprezentował sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej – kard. Eugenio Pacelli, niedługo potem wybrany papieżem, który przybierze imię Piusa XII. Przybył on pociągiem na dworzec Keleti (Wschodni) w Budapeszcie, gdzie witał go regent admirał Horthy i oczywiście przedstawiciele wszystkich instytucji państwowych oraz kościelnych. Kardynałowi towarzyszyła dziesięcioosobowa grupa doradców. Wśród otoczenia najważniejsze miejsce zajmował szef protokołu dyplomatycznego Sekretariatu Giovanni Battista Montini, przyszły Paweł VI.

Wraz z kard. Pacellim liczba purpuratów – uczestników kongresu – wyniosła 14, w tym metropolici: warszawski →

→ Aleksander Kakowski i poznańsko-gnieźnieński August Hlond. Przybyło 48 arcybiskupów (z Polski nuncjusz Philippo Cortesi, Romuald Jałbrzykowski z Wilna, Adam S. Sapieha z Krakowa i Bolesław Twardowski ze Lwowa). Biskupów przyjechało 196, w tym 15 znad Wisły.

Niewątpliwie najgłębszego znaczenia kongresu trzeba szukać nie tylko w uroczystych, pełnych pompy nabożeństwach, ale szczególnie w takich faktach jak obłożone konfesjonały ustawiane na ulicach stolicy, w tłumnym przystępowaniu do komunii, w głoszeniu i słuchaniu kazań.

I pytanie, na które trudno ostatecznie odpowiedzieć: co dawałoby chrześcijanom węgierskim siły w ich wierze za mniej niż dziesięć lat, gdy nadejdą czasy komunizmu, gdyby – oprócz wielu innych faktów – nie owe otwarte przyznawanie się do wiary, właśnie na ulicy?

Bohater drugiego planu

Po latach wojny, smutnych i tragicznych dla Kościoła (został przy węgierskim), na szczególną pamięć zasługuje osoba nuncjusza na Węgrzech, abp. Angela Rotty, który podczas kongresu stale towarzyszył kard. Pacellemu i z nim też odjechał do Rzymu, by natychmiast wrócić i być świadkiem oraz uczestnikiem historii.

W czasie tragicznym dla Żydów węgierskich abp Rotta wystawił im kilkanaście tysięcy paszportów. Został za to przez Instytut Yad Vashem uhonorowany tytułem „Sprawiedliwy wśród Na-

rodów Świata”, a przez komunistów po wojnie wygnany z kraju. Jak czytamy na stronach Yad Vashem, bliski współpracownik nuncjusza, który w jego imieniu rozdawał Żydom glejty *in blanco*, Sandor Ujvári zeznawał, że „Rotta z góry udzielił mu rozgrzeszenia za wszystkie grzechy, kłamstwa, fałszerstwa i inne czyny, do których mógłby być zmuszony, aby ratować Żydów, ponieważ chociaż łamałby prawo, działałby zgonie z duchem Bożym”.

Patrząc z perspektywy minionych dziesięcioleci na skromną postać Rotty – drugorzędnego przy liczbie hierarchów najwyższego szczebla uczestnika kongresu w 1938 r., trzeba docenić ciche, a zarazem wielkie dobro, czynione odważnym sercem.

Dyplomatyczny zgrzyt

Radość z tegorocznego przyjazdu papieża zakłóca na Węgrzech świadomość, że jego kilkugodzinny pobyt w Budapeszcie jest – na jego życzenie – zaledwie pierwszym punktem trzydniowej podróży do Słowacji. Biorąc pod uwagę zadawnione waśnie między obiema nacjami, zdumiewa ta dyplomatyczna niefrasobliwość. Wielu Węgrów poczuło się dotkniętych już samą zapowiedzią wizyty. „We wrześniu będę musiał pojechać na Węgry, na mszę kończącą Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny. Nie do kraju, tylko na mszę. Ale Budapeszt jest zaledwie dwie godziny autem od Bratysławy: dlaczego więc nie odwiedzić Słowaków?” – powiedział papież

do dziennikarzy, wracając 8 marca tego roku z Iraku.

Na wieść o tym, że Franciszek nie chce spotkać się ani z premierem Viktorom Orbánem, ani z prezydentem (katolikiem) Jánosem Áderem, publicysta András Bencsik w prorządowej telewizji pieklił się, że papież działa „w sposób antychrześcijański” i „wyrządza dużą szkodę chrześcijańskiemu światu” (Bencsik jest redaktorem naczelnym „Węgierskiego Demokraty”, konserwatywnego tygodnika o zabarwieniu nacjonalistycznym; debiutował w reżimowym „Wojskowym Przeglądzie Technicznym”).

Służby dyplomatyczne Kościoła i Węgier postawiono na baczność. Dziś już wiadomo, że papież 12 września przed 8 rano wylądował na budapeszteńskim lotnisku międzynarodowym im. Ferencza Liszta. Po oficjalnym przywitaniu uda się do Muzeum Sztuk Pięknych na spotkanie z prezydentem Áderem i premierem Orbánem. Planowane jest także spotkanie z przedstawicielami hierarchii niekatolickich Kościołów węgierskich oraz organizacjami żydowskimi.

Msza na Hősök tere (placu Bohaterów), koncelebrowana z biskupami węgierskimi i zagranicznymi, planowana jest na godzinę 11.30. Przed mszą wystąpi chór liczący 2100 osób z repertuarem utworów religijnych węgierskich kompozytorów. Bezpośrednio po Eucharystii papież pojedzie na lotnisko i odleci do Bratysławy.

© JÓZEF PUCIŁOWSKI OP

Współpraca: ARTUR SPORNIK

TYGODNIK POWSZECHNY

W następnym numerze „Tygodnika” znajdą Państwo specjalny dodatek poświęcony Nagrodzie Muzeum POLIN, przyznawanej osobom lub instytucjom, które w szczególny sposób przysłużyły się dbaniu o pamięć o polskich Żydach. A w środku:

- rozmowa z Radosławem Wójcikiem o idei, która przyświeca tej inicjatywie
- prezentacja laureatów poprzednich edycji Nagrody
- komentarz Zygmunta Stępińskiego, dyrektora Muzeum POLIN

ZUZANNA

Radzik:

Odzyskiwanie ciała



ZBYT DOSTOJNIE I SPOKOJNIE ODDANE SĄ kolejne odcinki jej historii. Zbyt estetycznie pokazany dramat młodej dziewczyny, którą zabił własny ojciec, po stracie żony postradałszy zmysły.

Chciał się z nią żenić, bo tak bardzo przypominała swoją własną matkę. Czy takie historie są dobre na ołtarze? Działający w Antwerpii Goswin van der Weyden, tworząc ołtarz jej pamięci, namalował jedno ze swoich najlepszych ponoć dzieł. Czy takie święte nadają się dziś do opowiadania? A jeśli, to w jaki sposób? Ładne mi wakacje, dumać tak w muzeum przed obrazem flamandzkiego mistrza.

Uciekała za morze, aż do Geel we Flandrii, jak głosi legenda spisana w XIII wieku. Miała być żyjącą 500 lat wcześniej córką pogańskiego króla Irlandii. Historia jak w żywotach tytuł świętych kobiet: dziewictwo, męczeństwo, asceza, pre-moc.

O ilu świętych nie można dziś odpowiedzialnie i bezkrytycznie opowiadać dzieciom, a zwłaszcza dziewczynkom? Przebiegam w głowie listę. Rzymskie męczennice – problematyczne. Ginę często odmówiwszy zamążpójścia, bo wybrały chrzest i drogę dziewictwa, wydane przez rodziców lub urażonych amantów. W ich świecie chrześcijaństwo promujące dziewictwo daje pretekst do odzyskania władzy nad sobą. Tyle że po śmierci ją tracą, poddane obróbce chrześcijańskich pisarzy popularyzujących ich kult. A co najlepiej się sprzedaje, również święte, jak nie golizna? Oto Perpetua, w scenach męki na arenie, dopisanych po jej śmierci, inaczej się przedstawia, niż gdy sama opisuje więzienne przeżycia. Albo młodzieńca św. Agnieszka, erotyzowana w scenie opisu męczeństwa.

W poszukiwaniu świętych nadających się na wzór dla współczesnych kobiet zajrzyjmy w średniowiecze, a tam czeka np. Katarzyna ze Sieny. Podobało mi się, gdy wybierałam ją za patronkę przy bierzmowaniu, że klóciła się z papieżem i zajmowała politykę. Nie rozumiałam jednak wtedy, że zabiła ją ekstremalna asceza i anoreksja. Czy to, że pierwszy ascetyczny epizod zbiegł się ze śmiercią jej siostry w pologu, ma jakieś znaczenie? Czy przestraszył ją los kobiety?

Róża z Limy – by sięgnąć po przykład z innego kontynentu i o parę wieków późniejszy – spała na tłuczonym szkłe, okaleczała się. I była zafascynowana ascetką ze Sieny, więc w sumie nic dziwnego, że robiła sobie krzywdę.

Tyle innych zamurowywało się w celach, biczowało, raniło. Trochę się to poprawia w późniejszych wiekach. Ale te wczesne święte mają niewiele opcji. Jeśli nie trafi się męczeństwo, to idą albo w wizje mistyczne, albo w ascezę. Albo w jedno i drugie.

Uciekały przed własną cielesnością w czasach, gdy bycie kobietą ściągało tyle niebezpieczeństw i tyle odbierało, że nie chciało się kobietą być. Szły w coś, co da im jakikolwiek autorytet: boską interwencję mistyczną lub hart ascetki. Wyjść jakoś z ciała, zapanować nad nim, choć nie masz władzy nad niczym, nawet nad sobą. Możesz je zgłodzić, oszpecić, a zatem zdjąć z matrymonialnego rynku. Osłabić tak, by już nie mogło grać wymaganych od kobiety ról.

Dziwne takie te święte, obce. I nie dla dzieci. Bardziej dla nas, ku przestrodze. Ale też nie tak zupełnie dalekie, bo i dziś liczne kobiety kontynuują dyscyplinowanie ciała. Wiele jest z niego niezadowolonych, odkąd zaczyna dojrzywać i odkąd świat inaczej na nie patrzy. A świat milionami oczu patrzy i sobie życzy, albo coś o ich ciele uważa. Ile potem muszą w sobie pokonać, by z wdzięcznością spojrzeć w lustro?

Nawet sportowczynie i olimpijki, które hartem ciała podbijają świat, nie są zwolnione z presji na to, jak przy okazji wyglądają. I tu dziś jest przestrzeń do zdobycia, kontrola, która może dać autorytet i służyć za wzór. Tym razem nie destrukcyjna, ale emancypująca. I tak najpierw Norweżki ubrały się na mistrzostwa do gry w siatkówkę plażową w spodenki, a nie majtki do bikini, co ściągnęło na nie kary. Potem gimnastyczki z Niemiec na olimpiadę ubrały się, zamiast w wyćięte body – w leginsy i długie rękawy. Już w kwietniu zespół wystąpił tak na mistrzostwach Europy, co Niemiecka Federacja Gimnastyczna tłumaczyła jako stanowisko przeciw seksualizacji w gimnastyce. Swoje ciało odzyskała też amerykańska gimnastyczka Simone Biles, wycofując się z olimpijskich zawodów w trosce o stan psychiczny i fizyczny. Stres powodował utratę kontroli podczas akrobacji, co mogło doprowadzić do poważnej kontuzji. Wróciła do ostatniego konkursu zdobywając brąz, ale tłumaczyła: „Zrobiłam to dla siebie i tylko dla siebie”.

To lepsze czasy, ale wciąż dziwne. Bo czy newsem z igrzysk powinno być to, że sportowczynie ubierają się wygodnie i dbają o siebie?

©



Twórz / rozwijaj się / poznawaj ludzi. Dołącz do nas na klubtygodnika.pl/wydarzenia

STRACILIŚMY NASZ RAJ

Mieszkańcy Eubei powoli wychodzą z szoku po pożarach, które strawiły pół ich wyspy. Planują, co dalej. „Musimy sobie radzić sami. Rząd nam nie pomoże” – mówią.

TEKST: ULA IDZIKOWSKA Z GRECKIEJ WYSPY EUBEA

ZDJĘCIA: THODORIS NIKOLAU

KOSTAS KOUVELIS MA PRAWIE 50 LAT oraz łzy w oczach.

Pierwsze płomienie zobaczył w niedzielę 8 sierpnia, tuż przed południem. Godzinę później całą okolicę spowijał już gęsty smog. – Nie spodziewaliśmy się, że ogień tu dotrze. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. To było jak wielki uścisk gorąca – Kouvelis obejmuje powietrze, by zilustrować nadciągającą pożogę. Jego ręce opadają bezwładnie, jakby wykończone tym wspomnieniem. Na jego pociągłej twarzy odmalowuje się smutek.

W czarnej koszuli i fartuchu Kouvelis bardziej przypomina żałobnika niż właściciela tawerny we wsi Paleokastro na północnym krańcu wyspy Eubea, nad samym morzem. Którego nie widać, bo docieramy tu o zmroku. Słyszymy tylko fale.

Jest godzina 22.30, poniedziałek, 16 sierpnia. W tygodniu po uroczystościach z okazji Wniebowzięcia NMP większość ateńczyków próbuje złapać oddech z dala od rozgrzanej stolicy, odpoczywając na okolicznych wyspach. – Gdyby nie pożary, to miejsce byłoby pełne ludzi

– stwierdza Thodoris Nikolau, rozglądając się po pustym tarasie restauracji.

Nikolau jest fotografem, zna wyspę jak własną kieszeń. Tutaj urodzili się jego rodzice i dziadkowie. Tutaj spędza każdą wolną chwilę – do niedawna w cieniu szumiących sosen. Był również na wyspie, kiedy we wtorek 3 sierpnia wybuchł pierwszy pożar. Znalazł się w epicentrum inferno – był wówczas w Limni, 7 km od pierwszej ściany ognia, która przekroczyła okoliczne wzgórza chroniące nadmorską miejscowość wypoczynkową.



Walcząc z pożarem.

Eubea, Grecja, 6 sierpnia 2021 r.

W tym także ci zajmujący się pozyskiwaniem żywicy z sosen.

Żywicowanie to żmudny proces, polegający na nacinaniu kory i zbiorze wycieku. W Polsce zaprzestano pozyskiwania żywicy 25 lat temu. Teraz sprowadzamy ją z Chin, Brazylii i Ukrainy, łącznie 4-5 tys. ton rocznie. W Grecji sztuka żywicowania wciąż jest przekazywana z pokolenia na pokolenie, a 85 proc. krajowej produkcji pochodzi z Eubei. Lub raczej pochodziło, bo ogień strawił 80 proc. sosen alpejskich, z których pozyskuje się tę trudną do znalezienia i pożądaną substancję, ze względu na jej liczne zastosowania: od farmakologii po produkcję składników do wyrobów farb i lakierów.

Przed pożarami 39-letni Tsivikas Thanasis pozyskiwał ze swoim bratem 50 ton produktu rocznie. – Miałem szczęście. Straciłem tylko połowę drzew – mówi dziś. – Jakoś pociągnę przez najbliższy rok, może dwa lata. Ale co później? Dla tego tu jestem.

Tu, czyli na boisku piłkarskim w miejscowości Agia Ana. To tam odbywa się walne zebranie osób pozyskujących żywicę z północnej Eubei. Stawia się ok. 400 osób, młodych i starszych, w maseczkach i bez. Grupki rozsiane na otwartej przestrzeni tworzą prawie wyłącznie mężczyźni, ale jest też kilka kobiet – one także wykonują tę ciężką pracę.

Obok zniszczonej przez ogień przebiegalni, wysłanej dachówkami z nieistniejącego już dachu, stoi biały bus z megafonami i zaaranżowana mównica. Stąd przemawia prezydent Stowarzyszenia Zbieraczy Żywicy Vangelis Georgantas: – Musimy zadbać o to, aby wyspa się odrodziła. Jesteśmy to winni naszym dzieciom. Nie zamierzamy błagać o kawałek chleba. Nie możemy zgodzić się na ochłapy, które oferuje nam rząd. Muszą powstać projekty, które zapewnią nam przyszłość.

Pojedziemy do Aten

Tsivikas Thanasis się z tym zgadza. – Zostaliśmy bez środków do życia. Powinni nas zatrudnić przy uporządkowaniu pogorzeli. Musimy usunąć korzenie spalonych drzew. Wtedy las odrodzi się w ciągu 20 lat, zamiast 50, gdybyśmy zostawili go samemu sobie.



– Pobieglem na plażę, gdzie gromadzili się ludzie. Ale szybko musiałem uciec do sąsiedniej wioski, bo ogień się nie cofał – wspomina Nikolau.

Nikt go też początkowo nie gasił. Gdy na wyspie pojawiło się pierwsze ognisko, straż pożarna i samoloty gaśnicze od kilku godzin zmagaly się z pożarem na przedmieściach Aten – w dzielnicy Varibobi, gdzie mieszkają zamożniejsi Grecy, w tym celebryci. Przez pierwsze dni mieszkańcy Eubei zostali sami w walce z nieprzewidywalną siłą ognia.

Chociaż zastępca gubernatora wyspy, George Keladitis od początku ostrzegał, że jeżeli Eubea nie otrzyma wsparcia, pożar rozprzestrzeni się na środek wyspy.

Straciłem połowę drzew

Ani Keladitis, ani mieszkańcy Eubei nie podejrzewali, że w ciągu tygodnia płomień dotrą na sam koniuszek wyspy, 50 km od pierwszego ogniska, pustosząc 57 tys. hektarów lasów i gospodarstw. W efekcie setki ludzi straciły źródło utrzymania.



Strażacy i wolontariusze walczą z ogniem. 10 sierpnia 2021 r.

→ Zdaniem Thanasisa jest to jedyna opcja: – Nigdy się stąd nie wyprowadzę. Jestem przywiązany do tej ziemi. Nie wyobrażam sobie życia w mieście, z dala od przyrody. Będziemy protestować, dopóki nas w końcu nie posłuchają.

W tym tkwi problem. Grecy politycy pozostają na razie głusi na potrzeby i sugestie zbieraczy żywicy.

– Planują ponowne zalesianie różnymi gatunkami drzew. Ale my żyjemy z sosny alpejskiej! – Thanasis rozkłada ręce w geście rezygnacji. Nie ma pojęcia, dlaczego rząd tak się upiera z planem, który nie ma jego zdaniem najmniejszego sensu. Wierzy przy tym, że zbieracze żywicy dopną swego: – Od soboty wychodzimy na ulicę. Pochód zaczynamy w Strofylii – to właśnie za tą miejscowością znajdują się spalone obszary.

– A jak to nie pomoże, pojedziemy do Aten! – dodaje.

Żeby plan się powiódł, zbieracze żywicy muszą się zjednoczyć. Nawołuje do tego ich prezydent Vangelis Georgantas. Thanasis ma nadzieję, że nikt się nie wyłamie: – W Grecji mamy takie powiedzenie: moje życie, twoja śmierć. Wcześniej żyliśmy tutaj w zgodzie, jak bracia i siostry. Ale kapitalizm wszystko zmienił. Teraz każdy sobie rzepkę skrobie.

Ojciec i syn

Mieszkańcy pracujący w branży turystycznej nie mają tak spójnego planu jak

zbieracze żywicy. Kostas Kouvelis jest sparaliżowany widmem bankructwa. I możliwych powodzi w przyszłości, ze względu na brak drzew, które zatrzymałyby deszczówkę. Jeszcze się nie otrząsnął: – To otwarta rana, która wciąż krwawi. Jak mam zapomnieć o tym, co mnie spotkało?

Kouvelis własnymi rękoma obronił tawernę i sześć bungalowów, które wynajmuje turystom. Ścisłej – z pomocą 15-letniego syna Dimitrisa. Jego dziesięcioletnie bliźnięta schroniły się wraz z przyjaciелеm Kouvelisa na sąsiedniej wyspie Skiathos.

Ojciec i syn przypominają sobie zbliżający się ogień. Co chwilę ilustrują swoją opowieść innym filmikiem nagrany telefonem: na jednym kłęby dymu przypominające nadciągające tornado, na innym płomienie trawiące okoliczny las.

Gdy ogień dotarł pod tawernę, Kouvelis zapędził owce i kozy na plażę. Stały w wodzie, dopóki nie minęło najgorsze. – Ale świnię po prostu wypuściłem, te się nie słuchają, więc nie mogłem ich pokierować w bezpiecznym kierunku. Wróciły po kilku dniach. Wszystkie pokiereszowane przez ogień, ale całe. Oprócz jednej – wylicza.

Wszystko, co Kouvelis serwuje w swojej restauracji, jest domowej roboty: od pomidorów po tirofaktery, pikantny owczy ser. Teraz stołują się tu głównie przyjaciele: – Chcą mnie w ten sposób wesprzeć, odkąd nie ma turystów. Parę osób przy-

jedzie też na urlop do domków. Ale nie wiem, jak długo tak pociągnę.

Pięć tysięcy euro

Kouvelis jest rozgoryczony. Głosował na obecnego premiera Kiriakosa Mitsotakisa, bo uwierzył w jego obietnice walki z bezrobociem i perspektywę inwestycji: – Teraz bym sobie prędzej poderznął gardło, niż na niego głosował. Jeśli tutaj przyjedzie, to ludzie go pożrą żywcem.

Niechęć w stosunku do premiera jest na Eubei ogromna. Gdy na wyspie pojawili się dziennikarze, mieszkańcy wykrzykiwali do kamery: „Pierd... się, Mitsotakis!”. Slogan nie tylko obiegł media i internet, ale wyładował też na murach wzdłuż głównej drogi na wyspie.

Gdy pytamy o wsparcie ze strony rządu, nasi rozmówcy albo parskają śmiechem, albo machają ręką. – Zapomnij. Ludzie tutaj, jak zawsze w takiej sytuacji, dostaną jakieś śmieszne pieniądze. To upokarzające. Jeżeli straciłeś dom i źródło utrzymania, to co zrobisz z 5 tys. euro?

W stanie zamrożenia

Virginia należy do liczного grona wolontariuszy, którzy przyjechali na wyspę z różnych zakątków Grecji, aby pomóc rodakom. Obserwowała płonącą Eubę z przeciwległego brzegu Tesalii, z Pelion. – Widziałam już wcześniej pożary, ale nie takie. Tegoroczne przybrały

rozmiary biblijnej katastrofy – ocenia. Koleżanka Virginii, Nathalia, była już wtedy na miejscu – to rodzinna wyspa jej partnera.

W ten poniedziałek, 16 sierpnia, kobiety pomagają Vasilovi Argyriou, który przed pożarami zajmował się wycinką lasu i przygotowaniem drewna na opał. Razem szukają metalowych części, które nadadzą się do skupu. W ten sposób Argyriou zarabia teraz na życie. Mieszka we wsi Paleovrosi, niecałe 20 km od miejsca, gdzie wybuchł pierwszy pożar, ale jeździ po całej wyspie w poszukiwaniu materiału na sprzedaż. Boi się, że niedługo nie starczy mu pieniędzy na benzynę: – Znamy się ze mnie śmieję. Ale co mam robić? Nie chcę biskoptów ani rogalików, potrzebuję pracy.

Osmalony Argyriou opiera się o pick-upa, żeby chwilę odsapnąć. Jest prawie 35 stopni Celsjusza, w powietrzu wciąż unosi się zapach spalenizny. Kiedyś miejsce, gdzie uwija się troje Greków, było pełne życia – po wybiegu biegało osiem koni i dwa osły. Przychodzili wczasowicze z sąsiedniego campingu. Teraz został tylko kogut, który zawzięcie pieje, chociaż jest już późne popołudnie. Jakby stracił poczucie czasu.

– Wielu ludzi wciąż jest w głębokim szoku. Z dnia na dzień stracili nie tylko dorobek życia, ale także oazę, swoje miejsce na ziemi – opowiada poruszona Virginia. – Pomoc z zewnątrz jest bardzo potrzebna. Ludzie są zdezorientowani. Niektórzy są w stanie zamrożenia, apatyczni, niezdolni do działania. Wielu nie jest jeszcze w stanie trzeźwo spojrzeć na sytuację.

Fotograf Nikolau wierzy, że mieszkańcy wyspy, w tym Kouvelis, z czasem otrzásną się z traumatycznych przeżyć: – To silni ludzie, przyzwyczajeni do ciężkiej pracy. Poradzą sobie.

Płakali wraz ze mną

W ostatnich dniach we wsiach pojawili się psychologowie. Chodzili od drzwi do drzwi i rozmawiali z poszkodowanymi. Ale zdaniem 29-letniej Atheny Nikolau to nie wystarczy: – Wyleczenie takiej traumy zajmuje dużo czasu. Poza tym ludzie są w ciągłym stresie, bo martwią się o przyszłość.

Nikolau zrezygnowała z wakacji na Cykladach i tydzień po pożarze przyjechała do Achladi, wsi swoich dziadków. Teraz pomaga w dystrybucji żywności i innych



*Zbieracz żywicy Tsivikas Thanasis miał szczęście, bo stracił tylko połowę drzew.
16 sierpnia 2021 r.*



*Athena Nikolau przyjechała do wsi swoich dziadków, pomaga w dystrybucji żywności.
17 sierpnia 2021 r.*

niezbędnych artykułów, od maści przeciwko oparzeniom po pieluchy. Zostaje do końca tygodnia, później musi wracać do pracy w Atenach.

– Chciałam przyjechać wcześniej, ale Kostas Afendras, który kierował akcją gaszenia pożaru, mnie powstrzymał – wspomina. – Mówił, że jest zbyt niebezpieczne, że powinienam poczekać na najgorsze. Przez pięć dni nie mieliśmy kontaktu, bo nie było prądu. Umierałam z niepokoju. Dla ludzi, którzy walczyli z ogniem, to było piekło. A dla nas, którzy obserwowaliśmy wszystko na odległość, istny koszmar. Spędziłam kilka dni z przyjaciółmi na jednej z wysp. Próbowaliśmy się odprężyć, ale nie mogłam. Ciągłe sprawdzałam, co się dzieje na Eubei. Płakałam. A ludzie, którzy dowiadawali się, skąd pochodzę, płakali ze mną.

Stoimy w cieniu, w wąskiej uliczce Achladi, gdzie co chwilę przejeżdżają na motorze mężczyźni obciążeni papierem toaletowym i innymi produktami. Kiedy Athena Nikolau dodaje mnie do znajomych na Facebooku, na telefonie miga mi jej profil ze zdjęciem zalesionych wzgórz Eubei, które teraz pokrywają popiół i czarne kikuty drzew. – To był mój raj. Teraz wszystko spłonęło... Nie – poprawia się – to nie jest do końca zgodne z prawdą. To politycy pozwolili, aby to wszystko spłonęło.

Gdy szukamy odpowiedniego miejsca na zdjęcie, mijamy doszczętnie spalone

domy na obrzeżach wsi. Zdaje się, że niektóre budynki ocalały cudem – ślady płomieni kończą się tuż przed fasadą. To żaden przypadek. To mieszkańcy uratowali część wsi w heroicznej walce.

– Płomienie przysły z za wzgórz. Ludzie nie mieli dokąd uciekać. Znaleźli się w potrzasku. Była noc. Kobiety z dziećmi i starszymi zbiegli na plażę. Mężczyźni zostali mimo nakazu ewakuacji – opowiada Nikolau na podstawie relacji, które usłyszała od mieszkańców.

Ocalały tylko ikony

Tamtej nocy, z 3 na 4 sierpnia, panował chaos. Roula Glossioti straciła swoją babcię z oczu. Dopiero rano dowiedziała się, że ta przeżyła. – Ale obawiałam się najgorszego – mówi kobieta, trzymając córeczkę na rękach.

Glossioti przyjechała do Achladi na wakacje. Tak jak zawsze: – Dziadkowie stąd pochodzą. Spędzamy tu każde lato. To po części także moja wieś.

Walka trwała prawie cztery dni. Przez pierwsze pięć dob po pożarze nie było wody. Prąd wrócił po tygodniu. Nie wiadomo, co będzie dalej. Na razie żadna pomoc ze strony rządu nie nadciąga. To Grecy z pozostałej części kraju dowożą dostawy własnymi samochodami. W drodze powrotnej do Chalkidy, stolicy wyspy, widzimy jeden z pick-upów – jest po brzegi załadowany reklamówkami z rzeczami dla potrzebujących. Z boku wystaje nawet dziecięcy wózek.

Nasz ostatni przystanek to przydrożny cmentarz, doszczętnie spalony. W zdewastowanej kaplicy zachowała się Ewangelia – płomienie zaczęły tylko brzegi stron. Pozłacane ikony prawosławnych świętych stoją oparte o ściany, niechronione przed deszczem, który kiedyś może spadnie, bo dach się zawalił, pokrywając podłogę skorupami dachówek.

Przechodzę między kilkoma grobami. Jeden z roku 2017, drugi z 2018. Dużo starszych tak czy inaczej nie znajduję, bo Grecy po maksymalnie pięciu latach wykopują kości zmarłych i umieszczają je w ossuarium. Teraz nie będzie czego szukać – ogień wdarł się nawet do niektórych nagrobków, pozostawiając czarne dziury.

Gdy mijamy wieś Mantoudi – 25 km od miejsca, gdzie wybuchły pożary – na horyzoncie znowu widać gęste połacie sosen. Przez chwilę wydaje nam się, że to, co zobaczyliśmy, było tylko złym snem.

© ULA IDZIKOWSKA



MAŁGORZATA PROCHAL

David przed swoim domem w Los Molinos del Río Aguas. Hiszpania, 8 lipca 2021 r.

Azyl na trudne czasy

MAŁGORZATA PROCHAL I AGNIESZKA ZIELIŃSKA
Z LOS MOLINOS DEL RÍO AGUAS (HISPANIA)

Kupił opuszczony dom w najbardziej suchym miejscu Europy, zrobił remont, drzwi zostawił otwarte. Dziś uczy chętnych, jak żyć w zgodzie z naturą. Byliśmy z wizytą w hiszpańskiej ekowiosce.

WODDALI, NA SZCZYCIE PO DRUGIEJ stronie rzeki Río Aguas, widać niewyraźny zarys postaci. Ledwo można ją dostrzec, tak oślepia słońce świecące prosto w oczy.

Jest jakieś 35 stopni Celsjusza, a nasz gospodarz, David, jak co dzień, wybrał się na spacer z ośmioma psami. To wędrówka po stromej ścieżce. Najpierw idzie się w dół, potem pod górę krętymi drogami, po wyschniętej na wiór ziemi.

Wypatrujemy 73-letniego Davida z tarasu przed jego domem. – Widzicie mnie? – pyta, a w telefonie słyszymy jego przyspieszony oddech. – Macham do was

ze szczytu. Zanim wrócę, czujcie się jak u siebie.

Samowystarczalny

La Casa de la Realidad, Prawdziwy Dom, położony w andaluzyjskiej wiosce Los Molinos del Río Aguas, to miejsce otwarte na gości z całego świata. Niektórzy zostają tu na noc lub dwie, inni na dobre zapuszczają korzenie.

David przeprowadził się tutaj z Wielkiej Brytanii w latach 90. XX w. Dom zaprojektował tak, aby był samowystarczalny. W remoncie opuszczonego wówczas budynku pomagało mu trzy-

dzieści osób z szesnastu krajów. Cel mieli wspólny: stworzyć miejsce, które będzie przykładem dla innych, jak żyć w zgodzie z naturą, troszcząc się o klimat. Do dziś drzwi stoją otworem dla nich wszystkich.

– Mamy gości! – po powrocie David zwraca się do siedzących na ganku znajomych. Przy stole, na ławeczkach przed domem, odpoczywa grupa osób. Alvaro jest sąsiadem, Barbara to jedna z lokatorów domu, a Raymond przyjechał z oddalonego o 30 km miasta Tabernas. Jest tu niemal każdego dnia. Parkuje kamperem w pobliżu domu Davida i pielęgnuje rośliny w swoim „przedszkolu dla drzew”. A potem sadi je na terenie wioski – po to, by przeciwdziałać dalszemu pustoszeniu terenu.

Oaza

Wieś Los Molinos del Río Aguas jest bowiem częścią obszaru przyrodniczego Karst en Yesos de Sorbas na wschodzie Andaluzji. Ten pozornie pustynny i jałowy teren, określany jako najbardziej suchy w Europie, kryje w sobie zielone oazy. Jedną z nich jest właśnie Los Molinos,



Widok na ekowioskę Los Molinos del Río Aguas. 8 lipca 2021 r.

która wznosi się w pobliżu rzeki Aguas, około 5 km drogi od miasta Sorbas.

Stała obecność wody tworzy tu tereny podmokłe, o dużym znaczeniu ekologicznym, w niemal samym sercu pustyni. Spotkać można tu m.in. agawy, trzciny i topole białe, które są schronieniem dla dużej kolonii plectroptera wodnego – pokrzewek, słoików i zimorodków – oraz czarnych żółwi. Charakterystyczne skaliste klify i zbocza stały się domem dla puchaczy, lisów, borsuków i lasic.

W ubiegłym wieku pustynnienie tego obszaru stało się powodem migracji mieszkańców wioski Los Molinos del Río Aguas i wymierania kultury rolnopasterskiej w prowincji Almería. Stąd cały obszar przyrodniczy od 30 lat znajduje się pod specjalną ochroną. Mimo to w okolicy powstały ogromne plantacje drzew oliwnych, nawadniane zasobami z rzeki Aguas. Już teraz powoduje to trudności w zaopatrywaniu w wodę okolicznych wsi i miast, a badania wskazują, że w najbliższych latach rzeka całkowicie wyschnie.

Ostrzegawczym przykładem jest tu choćby pobliska miejscowość Gochar. Niegdyś znana z produkcji pomarańczy, z populacją ok. stu mieszkańców, dziś liczy ich ledwie kilkunastu. Wyludnia się, bo brakuje tam wody. Od ponad trzech lat trwa proces sądowy, w którym stowarzyszenie Ecocidio Del Río Aguas walczy, aby zaprzestano nadmiernej eksploatacji rzeki.

Tak było też z Los Molinos del Río Aguas. Kiedy mieszkańcy nie mogli już

dłużej utrzymać się z działalności rolniczej i zaczęli wyjeżdżać z wioski, przybył do niej David Dene, który kupił jeden z opuszczonych budynków.

Standard

– Opowiem wam, jak działa ten dom – David oprowadza nas po swoim królestwie. – Najważniejsze to mieć dostęp do wody – mówi, podnosząc drewnianą pokrywę, pod którą znajdują się dwa duże zbiorniki. Są schowane na wypadek trzęsienia ziemi. – Pompa tłoczy do góry wodę z rzeki, która następnie się nagrzewa i *voilà!* Mamy ciepły prysznic – wyjaśnia.

W domu może zgromadzić nawet do 15 tys. litrów wody. Na dachu są panele słoneczne. Roczna produkcja energii elektrycznej z całej instalacji to 3800 kilowatogodzin. Dla porównania: dom jednorodzinny zużywa średnio 3-6 tys. kilowatogodzin. – La Casa de la Realidad to przykład, jak można połączyć dobry standard życia z samowystarczalnością – mówi David.

Obok jest niewielka przestrzeń, gdzie odbywają się festiwale. Bo Los Molinos del Río Aguas to wioska z artystyczną duszą. W jej sercu znajduje się La Pita Escuela – budynek należący do Davida, w którym pierwsze skrzypce gra Niemiec Tim Bernhardt. Z jego inicjatywy w 1993 r. powstała „Szkoła Agawy”, w której Tim uczy, jak wytwarzać instrumenty z tej rośliny. Jest tu również studio nagrań i basen na wolnym powietrzu z wodą doprowadzoną z rzeki.

Ekowioska

Dom Davida położony jest na wzgórzu, na terenie jednej z ekowiosek. Łącznie w całej Hiszpanii jest ich ponad 120. Według Global Ecovillage Network na całym świecie powstało ponad 10 tys. takich wspólnot. Pod względem ich liczby Hiszpanię wyprzedzają tylko Stany Zjednoczone.

Ekowioski są samowystarczalne i mogą przybierać różne formy – od najbardziej tradycyjnych po zupełnie nowoczesne. Najmniejsze liczą kilkunastu mieszkańców, największe nawet tysiąc. Wszystkie łączą troska o środowisko, życie w zbiorowości opartej na współpracy, korzystanie z odnawialnych źródeł energii. Ekowiosek nie tworzą zamknięte kręgi (*quasi*-religijne czy sekciarskie), lecz najczęściej obcy sobie ludzie.

W Hiszpanii boom na ekowioski zaczął się w 2008 r., w odpowiedzi na kryzys finansowy. Bezrobocie przekroczyło wtedy 27 proc., doszło do załamania sektora finansowego, spadku konsumpcji, a w efekcie także liczby udzielanych kredytów. Kryzys powiększył oraz uwydatnił i tak już istniejące w kraju nierówności.

Wówczas to wielu ludzi, którzy nie mogli pozwolić sobie na wynajem mieszkania, zaczęło szukać alternatywnej wizji życia. Z dala od zgiełku miasta, konsumpcjonizmu i materializmu powstały właśnie ekowioski. Lokowano je głównie na terenach wcześniej wyludnionych, zwłaszcza w Galicji, Asturii i Kastylii. Do dziś w hiszpańskich agencjach nieruchomości można znaleźć oferty wykupu opuszczonych domów na wsi; kosztują średnio 50-60 tys. euro.

Wspólnota

David zaprasza nas do środka. – Nie przestraszcicie się, ale trwa właśnie remont. W wielu krajach północnej Europy izoluje się dach, aby utrzymać ciepło. Tu jest odwrotnie – mówi i wskazuje na mężczyznę, którzy wchodzi na rusztowanie. – Honcha od 12 lat mieszka w tej wiosce. Ma fach w ręku, jest znakomitym rzemieślnikiem i budowlancem. A to Joshua, który dorastał w tym domu i jest ze mną od trzeciego roku życia. Dziś to już dorosły mężczyzna, ma 33 lata.

W międzyczasie, na parapecie otwartego na oścież okna z widokiem na góry siada długowłosa blondyn. Lukáš pochodzi z Czech. W 2012 r. wyruszył w podróż, podczas której natknął się na to miejsce. Później wielokrotnie wyjeżdżał →



MĄGORZATA PROCHAL

Raymond w czasie prac ogrodowych. 8 lipca 2021 r.

→ – do pracy w Irlandii i Niemczech – ale zawsze tutaj wracał.

Goście, którzy przyjeżdżają do domu Davida, zostawiają w nim część siebie. Na ścianie w salonie wisi ogromny, kolorowy obraz Krysny i Radhy, malowany ręcznie. Choć elementy wystroju wnętrza nawiązują do różnych wieści, to miejsce jest religijnie neutralne.

– Nie istnieje tu słowo „powinieneś”: że powinieneś w coś wierzyć lub zachowywać się w określony sposób. Kierujemy się tym, abyśmy byli dobrzy i współczujący dla innych, przyjacielscy i otwarci. Z nadzieją, że ta nieznana siła, która wszystkim kieruje, będzie nam sprzyjać – przekonuje David.

Z pokoju obok dobiegają odgłosy programu informacyjnego i doniesienia z igrzysk w Tokio. David, choć mieszka w wiosce niemal odciętej od świata, jest na bieżąco z aktualnymi wydarzeniami.

Nad kuchnią jest antresola sypialna, do której można dostać się po drabinie. Kiedy już uda się komuś tam wdrapać, po prawej stronie, za kolorowym łukiem, dostrzeże kolejne pomieszczenie. To biblioteka – aby znaleźć się w zasięgu imponującego zbioru książek, trzeba przeczołgać się po solidnej drewnianej desce łączącej oba pokoje. Siadamy tam z Davidem i mężczyzna zaczyna opowiadać swoją historię.

David

Mówi o sobie, że „przeżył wiele żyć”. Urodził się i wychował na farmie w Staffordshire na północy Anglii. W wieku 18 lat wyprowadził się z domu i na rok zamiesz-

kał w Kanadzie. Później wrócił do kraju: był stażystą w dziale ubezpieczeń, pracował w hotelu, na statkach wycieczkowych, dla BBC i jako kierownik agencji pracy. Jest współzałożycielem World Runners Club, a także pionierem tzw. Hellerwork, specjalnej formy ćwiczeń i masażu, którą praktykował w Austrii.

W ekoaktywistę David zamienił się 20 lat temu – po tym, jak w amazońskiej wiosce zetknął się z medycyną roślinną. Zaangażował się również na rzecz ochrony Cordillera Del Condor, terenów położonych na granicy Peru z Ekwadorem, a od sześciu lat jest także ekspertem ONZ oraz inicjatywy „Harmony with Nature”.

David: – Wydaje nam się, że zmiany klimatu nas nie dotyczą. Mówimy: „Jestem zajęty, mam żonę, dzieci, muszę spłacić kredyt, nie mam głowy, żeby o tym myśleć!”. Do czasu, aż tornado zaczyna walić do naszych drzwi. Tak jak było m.in. w Czechach. Musimy zdać sobie sprawę, że te ekstremalne zjawiska pogodowe są realnym zagrożeniem i mogą dotknąć każdego z nas. Dlatego nie możemy być bierni wobec tego, co się dzieje.

O Los Molinos del Río Aguas dowiedział się z ogłoszenia w magazynie „New Internationalist”. Pojawiła się w nim propozycja dołączenia do stowarzyszenia Sunseed, które prowadzi tu edukację w zakresie zrównoważonego stylu życia. Przyjechał do wioski kamperem z myślą, że zostanie na chwilę. Tymczasem wkrótce potem kupił dom, w którym mieszka od 30 lat.

– Nie zapytacie mnie, jak się tutaj utrzymuje? – rzuca z uśmiechem. – Wielu to ciekawi. No więc, najistotniejszy jest początkowy kapitał. Bo gdy dom jest już samowystarczalny, jego utrzymanie nie kosztuje wiele. To głównie jedzenie. Dzięki panelom słonecznym mamy prąd. Woda z rzeki nie nadaje się co prawda do picia, ale ta z górskiego źródła nieopodal już tak. Zainwestowałem pieniądze w wyremontowanie drugiego z moich domów, La Pita Escuela, który potem zacząłem wynajmować Timowi. Również osoby, które do mnie przyjeżdżają, często chcą dokładać się do wydatków.

– Choć życie w wiosce odciętej od świata może brzmieć jak bajka, w rzeczywistości wiąże się z wieloma wyzwaniami – przyznaje. – Już wcześniej bezrobocie na tym terenie wynosiło 70 proc., a w ostatnim czasie ze względu na pandemię jeszcze się powiększyło. Mieszkańcy otrzymują wsparcie od rządu w postaci zaopatrzenia w butle gazowe czy wodę, a także dodatki do zakupu żywności.

– Oczywiście ze względu na położenie wioski nie czujemy się tutaj tak ograniczeni przez restrykcje jak w mieście. Mogę wyjść z psami na spacer o każdej porze, nie łamiąc prawa – mówi, nawiązując do faktu, że w niektórych regionach Hiszpanii przez blisko rok obowiązywała godzina policyjna. – Ale świadomość zagrożenia związanego z koronawirusem jest tu taka sama jak w innych miejscach na świecie.

Przedszkole

– Napijecie się kawy? – niewinna kawa okazuje się *carajillo*, kawą z dodatkiem alkoholu, bo David wyciąga spod stołu rum. Obok nas siedzi już blondyn w średnim wieku z brodą, w szarym t-shircie i długich zielonych spodniach. To Raymond z Holandii. Ma oprowadzić nas po okolicy i pokazać, co tutaj oznaczają zmiany klimatu.

Raymond posadził w życiu ok. 10 tys. drzew. Pierwsze sadzonki miał w rękach już jako chłopiec. Pewnego dnia zobaczył w telewizji dokument o niszczycielskim działaniu kwaśnych deszczy. W jego dziecięcym umyśle zrodziła się wtedy przerażająca wizja, że wszystkie drzewa znikną z powierzchni ziemi. Dlatego postanowił działać i zaczął sadzić je wraz z rodzicami. – Gdy widziałem, że w okolicy ktoś wyciął dwa drzewa, sadziłem cztery. Dziś prowadzę fundację Urban Street Forest, która



MAŁGORZATA PROCHAL

David na spacerze ze swoimi psami. 8 lipca 2021 r.

zajmuje się zalesieniem terenów w Hiszpanii, Tanzanii i na Sahelu – mówi.

Prowadzi nas do miejsca, które nazywa „przedszkolem dla drzew”. To zacienione miejsce na wzgórzu, tuż za zniszczoną przyczepą kempingową, w której mieszkał przed laty. – Tu z ziaren wyrastają nowe rośliny. To na razie eksperyment, ale mam nadzieję, że się powiedzie – opowiada, podlewając sadzonki.

Jest okropny upał, ale Raymond nie ma problemu z poruszaniem się po tym terenie. Trasa, którą idziemy, choć niełatwa, jest malownicza, prowadzi wśród skał i bujnej jak na te tereny roślinności. – Wyobraźcie sobie, że stoicie tu cały dzień. A te biedne rośliny nie mają wyboru – mówi. – Gdy sadzę te maleństwa, staram się kłaść przy nich jakiś stary wiklinowy koszyk lub inny przedmiot, który może zapewnić im cień choć na chwilę. Kładę go od strony zachodniej, bo światło zachodzącego słońca jest najostrejsze.

Żar

Idziemy w kierunku jednego z największych drzew nieopodal rzeki. Wchodzimy pod jego rozłożyste gałęzie, które dają przyjemny cień.

Raymond: – Pytacie mnie o zmiany klimatu? To oczywiste, że klimat zawsze się zmieniał i dalej tak będzie, ale to od nas

zależy kierunek zmian. Musimy przede wszystkim przestać zanieczyszczać planetę! Zamiast krzyczeć na ulicach, lepiej wziąć sprawy w swoje ręce. W przeciwnym razie zachowujemy się tak, jakbyśmy przyznawali, że oczekujemy, iż ktoś inny zrobi coś za nas.

Przez ponad godzinę Raymond oprowadza nas po niezamieszkałym terenie wioski, z dumą pokazując niewielkie posadzone przez niego drzewka, które przetrwały mimo pustynnego żaru i znikomego dostępu do wody. Gdy jednak pada pytanie, czy może oszacować, ile z nich przetrwa, widać na jego twarzy wahanie.

– Gdybyśmy byli w Polsce czy Holandii, to pewnie ok. 80 proc. – odpowiada w końcu. – Ale jesteśmy w najbardziej suchym i jałowym miejscu w Europie. Jasne, że mógłbym kupić pompy i poprowadzić tu system irygacyjny, ale nie chcę tego robić, bo i bez tego brakuje nam wody. Myślę więc, że jedna czwarta tych drzew ma szansę na przetrwanie. Ciągłe uczę się specyfiki tej gleby, dużo czytam i ciągle coś udoskonalam. Nie tracę nadziei, że będzie lepiej!

Pod koniec trasy Raymond wskazuje na otwory w skalnej ścianie, które prowadzą do tuneli zbudowanych jeszcze przez Rzymian: – Normalnie powinna z nich wypływać woda, ale jak widać nie ma ani kropli.

Szczęście

Wracając z Raymondem, marzymy o szklance wody. Ale on ma jeszcze energię, aby z każdym krokiem doglądać zasadzonych przez siebie drzew.

Po kilkudziesięciu minutach jesteśmy na ścieżce, która wygląda znajomo. Utwierdza nas w tym przekonaniu wznoszący się na wzgórzu dom Davida. Patrząc na niego z tej perspektywy, mamy przed oczami stare fotografie: pokazują stojące w tym miejscu ruiny. Na tych zdjęciach, które pokazał nam David, widać gołe ściany, bez drzwi i okien, opuszczone przez poprzednich lokatorów. Dziś ten budynek – dom na trudne czasy – zmienił się nie do poznania. To samowystarczalny, ale i nowoczesny azyl, w którym mężczyzna przeorganizował swoje życie.

– Problemem jest to, że potrafimy zarabiać pieniądze, ale nikt nas nie nauczył, jak być zwyczajnie szczęśliwym. Tutaj można przekonać się, co znaczy być wolnym, ale też odpowiedzialnym za drugiego człowieka. W tym domu nikt niczego nie musi, a jedynie może chcieć – mówi David.

Po chwili dodaje: – Wierzcie mi lub nie, efekty są zdumiewające.

© MAŁGORZATA PROCHAL,
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Cisza wróży źle

MARCIN ŻYŁA

Na południu Madagaskaru zaczyna się klęska głodu – kolejna obok epidemii covidu i kryzysu politycznego plaga, jakich doświadcza ta wyspa.

PIERWSZY SYGNAŁ, ŻE COŚ DZIEJE SIĘ NIE tak, przyszedł kilka lat temu. W regionie Anosy, w środku pory suchej, trwającej tu od maja do października, spadły dziwne ulewę, niezdarzające się wcześniej w tym okresie. Pory deszczowe zaczęły być nieregularne – czasem spóźnione, czasem z małą ilością opadów. W niektórych miejscach na południu Madagaskaru już od dwóch lat nie spadła ani kropla deszczu.

O tych anomaliach miejscowi informowali władze centralne, lecz w odległej stąd o tysiąc kilometrów stołecznej Antananarywie trwało polityczne zamieszanie i mało kto przejmował się kłopotami południa. Od ponad dekady najważniejszym politykiem w państwie jest Andry Rajoelina – obecnie prezydent, a wcześniej burmistrz stolicy i szef rządu tymczasowego. Stopniowo, także kosztem wolności mediów, Rajoelina konsoliduje swoją władzę.

W tym roku do przedłużającej się suszy oraz kryzysu politycznego doszła jeszcze izolacja Madagaskaru – efekt pandemii.

Zakłęte koło

Tam, gdzie są dzieci, zwykle panuje hałas. Jednak w wielu miejscach na południu Madagaskaru wśród najmłodszych panuje cisza, dzieci są osłabione – alarmowała kilka tygodni temu wysłanniczka Światowego Programu Żywnościowego (WFP), zwykle najlepiej poinformowana agencji ONZ.

Według danych tej organizacji, już teraz głoduje tutaj kilkanaście tysięcy ludzi. Jeśli sytuacja się nie poprawi – a nic nie wskazuje, by miało to nastąpić – za miesiąc-dwa liczba ta może wzrosnąć do



Na drodze z Tôlanaro do Manantenina, południowy Madagaskar, marzec 2020 r.

kilkuset tysięcy (cała populacja Madagaskaru liczy 27 mln ludzi). Niedożywieniem zagrożone jest pół miliona dzieci. David Beasley, szef WFP, który niedawno wizytował Madagaskar, powiedział dziennikarzom, że widział ludzi szukających resztek jedzenia w błocie lub zjadających kwiaty kaktusów. „To sceny jak z horroru” – mówił.

– Kryzys żywnościowy dotyczy przede wszystkim regionu Androy. To region suchy, wręcz pustylny: wszędzie piach, kaktusy i baobaby – mówi „Tygodnikowi” Maria Raminosa z organizacji MISEVI Polska, która w mieście Fort Dauphin wspiera finansowo szkołę i ambulatorium.

Łańcuch zdarzeń wygląda tak: zaczyna się od deforestacji, ponieważ mieszkańcy ubodzy masowo wycinają drzewa, potrzebując drewna na opał. Gdy zaczyna brakować drzew, gleba się wysusza i staje się podatna na erozję. I nic na niej nie rośnie dobrze.

Maria Raminosa: – Większość Madagaszów to drobni rolnicy, uprawiają m.in. ryż. Głównie na sprzedaż, żywią się bowiem ryżem tańszym, importowanym np. z Pakistanu. Ich życie zależy od dobrych plonów. Gdy ich nie ma, brakuje i pieniędzy, i jedzenia. Nie mając pieniędzy, wielodzietne rodziny przestają wysyłać dzieci do szkoły.

A w szkole dzieci miały przynajmniej zapewniony posiłek. Głodne dziecko nie skupi się na nauce, a dla rodziny ważniejsze jest, aby pomagało zdobyć pożywienie. Gdy dzieci się nie uczą, wracamy do punktu numer jeden: wycinki drzew. Ludzie wciąż nie są świadomi, jaki to ma wpływ na klimat. I robią to dalej, bo muszą z czegoś żyć.

W cieniu prezydenta

Madagaskar – położony na wschód od kontynentu afrykańskiego i geograficznie do niego przynależący – rzadko trafia na czołówki mediów. Realia życia na tej czwartej pod względem wielkości wyspie świata są dalekie od idylli, którą na Zachodzie umacniają filmy przyrodnicze, sławiące jej endemiczną przyrodę. W 2019 r. dwie trzecie spośród mieszkańców wyspy żyły poniżej granicy ubóstwa (ta granica to dochód w wysokości 1,90 dolara na dzień); niemal połowa dzieci poniżej piątego roku życia cierpi na chroniczne niedożywienie.

Najnowszą historię Madagaskaru – od czasu uzyskania niepodległości spod władzy Francji w 1960 r. – charakteryzowały cztery poważne kryzysy (zmiana władzy i konstytucji). Teraz trwa kolejny.

W lipcu gruchnęła wiadomość o aresztowaniu domniemanych spiskowców, którzy mieli planować zamach na 44-let-

niego prezydenta Rajoelinę. Od tego czasu zatrzymano ok. 30 osób, według oficjalnych danych zarekwirowano broń o wartości ćwierci miliona dolarów. Miesiąc wcześniej celem innego zamachu miał być szef żandarmerii Richard Ravalomanana, prawa ręka prezydenta. Krytycy rządu uważają, że wiadomości o obu zamachach miały przykryć ostatnie pełne napięcia miesiące, kiedy władze groziły m.in. dziennikarzom informującym o przebiegu pandemii na Madagaskarze oraz początkach kryzysu na południu kraju.

Rajoelina, odkąd pierwszy raz objął ważne stanowisko państwowe w 2009 r., już czterokrotnie twierdził, że porywano się na jego życie. Stąd obawa, że w istocie chodzi mu o stworzenie pretekstu do wzmocnienia swej pozycji. Kilka dni temu prezydent zdymisjonował wszystkich ministrów.

Izolowane południe

W 2018 r. Rajoelina wygrał wybory dzięki populistycznym obietnicom, których nie był w stanie spełnić: m.in. szło o wielki projekt inwestycyjny „Initiative Emergence Madagascar” czy o plan wybudowania dwóch kolejek linowych w stołecznej Antananarywie. Podczas jego kadencji nastąpił też gigantyczny wzrost skali pozyskania drewna palisandrowego – pochodzącego z drzew zagrożonych wyginięciem (to siedliska lemurów); handel tym drewnem od dziesięcioleci jest nielegalny. Władze czasowo zawiesiły jednak zakaz, zatrzymywały też aktywistów protestujących przeciwko wycince.

Prezydent fatalnie zarządzał krajem w czasie pandemii – podobnie jak prezydent niedalekiej Tanzanii m.in. namawiał

do kuracji ziołowej. Teraz, w obliczu wariantu Delta, Madagaskar w lipcu zawiesił wydawanie specjalnych wiz pracownikom instytucji humanitarnych – organizacja Lekarze Bez Granic już zapowiedziała wycofanie 22 osób personelu medycznego.

– Południe dzieli od stolicy tysiąc kilometrów. *Taxi-brousse* pokonuje tę trasę w niecałe trzy dni, jadąc długą, ciągnącą się po odludziu drogą. Aktualnie zawieszono są połączenia lotnicze z wyspą. Aby się tu dostać, trzeba mieć specjalne pozwolenie z MSZ. Trudno je otrzymać. Pomoc powinna tu docierać już teraz, ale wiele organizacji pomocowych jest zablokowanych – mówi Maria Raminosoa.

W czerwcu Bank Światowy zaaprobował 100 mln dolarów w celu przyspieszenia dystrybucji szczepionek – jak dotąd jedną dawkę otrzymał jeden na stu mieszkańców wyspy. Oficjalnie na covid zmarło tysiąc mieszkańców, ale podobnie jak w innych miejscach Afryki liczba ta może być bardzo niedoszacowana, głównie ze względu na brak diagnostyki.

Maria Raminosoa: – Madagaskar został praktycznie odcięty od świata. Gdy na południu ludziom zaczęła dokuczać susza, zawieszono nawet transporty między miastami. A cała wyspa uzależniona jest od dostaw ze stolicy. Na początku pandemii ludzie nie umierali na covid, tylko na malarię, bo w aptekach brakowało leków.

Nie tylko Madagaskar

Sytuację pogarsza fakt, że woda gruntowa w przybrzeżnych rejonach Mada-

gaskaru ma często zbyt wysokie zasolenie, aby nadawała się do picia. W czasie suszy rodziny – często dzieci – muszą pokonywać wiele kilometrów, aby zdobyć pitną wodę.

MISEVI Polska prowadzi teraz akcję „Sto dni dla studni”: zbiórkę pieniędzy na budowę studni na południu Madagaskaru. – Chcemy, aby były gotowe na moment, gdy susza będzie najgorsza. W regionie Androy wiele z istniejących studni jest zepsutych, a o ich naprawę jest trudno, bo części zamienne muszą przyjeżdżać ze stolicy – mówi Maria Raminosoa. I dodaje: – Według WFP już ponad milion ludzi jest w kryzysie żywnościowym. Jeżeli do października nie spadnie żaden deszcz, południe Madagaskaru czeka katastrofa humanitarna.

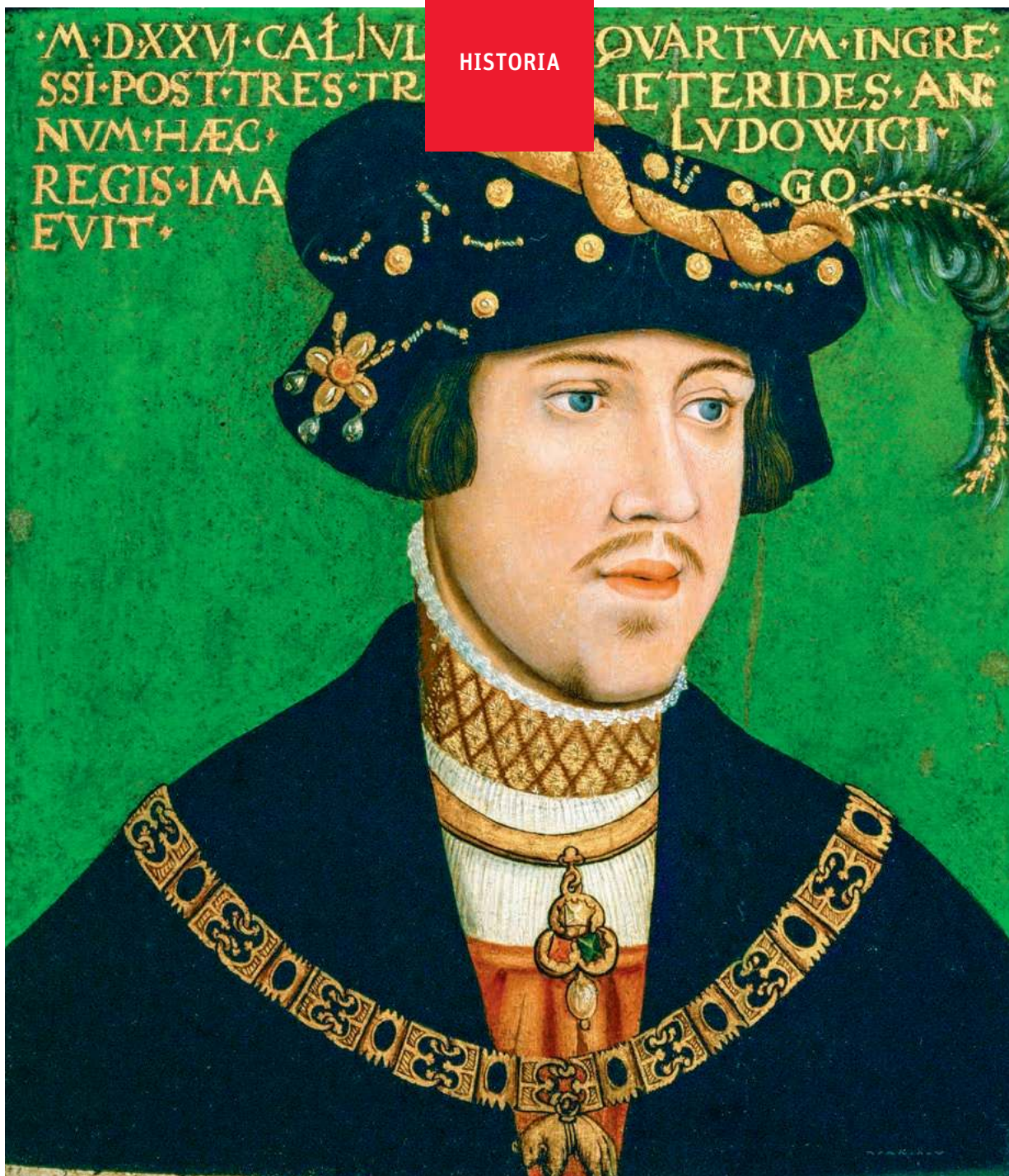
Niestety, kryzys przyspiesza. – Nasza organizacja działa w regionie Anosy, sąsiadującym z Androy, gdzie sytuacja jest najgorsza. Do misjonarzy i siostr szarytek, z którymi współpracujemy, trafiają już pierwsi potrzebujący. Patrząc na same tylko dzieci szukające miejsc w prowadzonej tu stołówce, jesteśmy pewni, że kryzys wkrótce się tu przeniesie – mówi Raminosoa.

Według ostatnich szacunków ONZ głód zagraża dzisiaj 41 mln ludzi w 43 państwach (to o 14 mln więcej niż dwa lata temu), m.in. w Etiopii, Sudanie Południowym, Jemenie i Nigerii. ONZ szacuje, że aby im pomóc, potrzeba 6 mld dolarów. David Beasley ostrzega: „To sytuacja bez precedensu, nie mieliśmy takiej od końca II wojny światowej”.

© © MARCIN ŻYŁA

*Droga na południe
Madagaskaru,
lipiec 2015 r.*





Hans Krell, portret króla Ludwika II Jagiellończyka, 1526 r.

SAM PRZECIW POTĘDZE

29 sierpnia 1526 r., około piętnastej, Ludwik II Jagiellończyk włożył hełm.

Doradcy zapamiętali, że król był blady.

Zaczynająca się bitwa pod Mohaczem miała zdecydować o losie Europy.

MACIEJ MÜLLER

ZWYCIĘSTWO! – KRZYKNAŁ ANDRZEJ Batory, jeden z dowódców węgierskich. Wysłana do boju pierwsza linia wojsk Ludwika rozbiła właśnie kawalerię turecką. Król był zaskoczony powodzeniem. Nie miał, jak większość podległych mu dowódców, doświadczenia bitewnego. Dlatego zgodził się rzucić teraz do boju odwody: chciał ostatecznie zgnieść wroga.

Zaczęło się obiecująco, Węgrzy z impetem rozpędzili jeźdźców i piechotę sułtana. Ale gdy w szale bitewnym pędzili przed siebie, zatrzymał ich ogłuszający huk, a horyzont zniknął, zasłonięty dymem armatnim. To była pułapka: na Węgrów czekały ustawione rzędami tureckie armaty powiązane łańcuchami – przeszkoda nie do przebycia. A obok do ataku gotowali się straszliwi janczarzy: pierwszy szereg oddał salwę z arkebuzów, kolejne ruszyły do ataku.

Węgrzy próbowali jeszcze zaatakować skrzydła armii tureckiej. I tu dali się wymanewrować: kawalerzyści sułtańscy zastosowali pozorowaną ucieczkę, po czym zawrócili i otoczyli żołnierzy Ludwika. Kiedy sułtan ocenił, że całe wojsko węgierskie jest już związane walką, wydał rozkaz do generalnego kontrataku. Półtorej godziny później było po wszystkim, janczarzy zajęli się wyrzynaniem niedobitków i jeńców.

Król Ludwik zniknął z oczu swoim żołnierzom jeszcze przed końcem bitwy. Później opowiadano, podobnie jak kilkadziesiąt lat wcześniej o Władysławie Warneńczyku, że przeżył, że gdzieś się ukrywa. Bo gdyby jego ciało Turcy znaleźli na polu bitwy, niewątpliwie by je zbzczyli, a głowę nabili na pal.

Dyplomaci i szpiedzy obecni na dworze węgierskim wysyłali potem do swoich mocodawców sprzeczne doniesienia na temat tego, co mogło stać się z królem. Miał zostać zabity przez żołnierzy z własnej gwardii. Według innej wersji wyprowadzono go wprawdzie z pola bitwy, ale gdy królewski wierzchowiec upadł podczas przeprawy przez bagna, gwardziści mieli pozwolić Ludwikowi utonąć. Były też opowieści zupełnie nieprawdopodobne. Jak ta, że królowi udało się dotrzeć do niedalekiej wioski i schronić w domu plebana, ale tam, kiedy zdjął zbroję, zdradziecko przeszył go mieczem Jerzy Zapolya, brat wojewody siedmiogrodzkiego Jana, kandydata do węgierskiego tronu.

Królewskie szczątki odkryła w końcu któraś z ekip poszukiwawczych (jedną z nich wysłał wuj Ludwika, polski król Zygmunt Stary). Nieopodal pola bitwy odkopano grób. Dworzanie, oglądając uzębienie zmarłego, potwierdzili, że to Ludwik. Okazało się, że ciało monarchy odnaleźli miejscowi rybacy, ściągnęli zbroję i insygnia, aby Turcy nie rozpoznali ciała, i pośpiesznie pochowali. Złoty pierścień, łańcuch i szaty zawieziono wdowie, królowej Marii.

Jak do tego doszło, że Ludwik, ostatni Jagiellon na tronie węgierskim, prawnuk Jagiełły, wyruszył na czele 25-tysięcznego wojska naprzeciw 75-tysięcznej armii tureckiej na niemal pewną zagładę, osamotniony przez wszystkich władców Europy?

Krwawe pogranicze

Gdy w 1453 r. Osmanowie zdobyli Konstantynopol, na gruzach stolicy pysznego imperium bizantyjskiego założyli własną: Stambuł. Było oczywiste, że dalsza droga sułtańskiej armii prowadzi na Bałkany i dalej w głąb Europy. Papież, choć ostatnie miasto krzyżowców w Ziemi Świętej padło jeszcze pod koniec XIII w., nie ustawał w wezwaniach do krucjaty. Tym razem jej głównym celem byłoby zepchnięcie Turków z powrotem do Azji. Na czele jednej z nich stanął w 1443 r. król Polski i Węgier Władysław Warneńczyk, syn Jagiełły. Rok później poniósł krwawą klęskę i sam zginął.

W drugiej połowie XV w. dla wszystkich jasne było, że przedmurze chrześcijańskiej Europy przebiega przez Węgry. Na tronie w Budzie zasiadał wtedy jeden z najwybitniejszych władców kontynentu, Maciej Korwin. Przeorganizował armię: zwiększył liczbę piechoty, uzbroił ją w broń palną, ograniczył liczebność ciężkiej jazdy na korzyść lżejszej, zdolnej do szybkich manewrów. Południową granicę państwa zabezpieczył siecią twierdz. Wszystko to wymagało gigantycznych nakładów. Królowi udało się zorganizować sprawny system fiskalny, otrzymywał też liczone w dukatach „krucjatowe” wsparcie od papieża, Wenecji czy innych europejskich dworów.

Zmagania Węgier z Turcją trwały niemal bez przerwy: z jednej strony co pewien czas wybuchała regularna wojna, podczas której toczono bitwy i oblegano twierdze, z drugiej strony chodziło o nieustanne szarpanie pogranicznych te-

renów Korony Świętego Stefana przez akyndżych – lekkie i zwrotne oddziały rabusiów na służbie sułtana. Pogranicze płonęło i spływało krwią, a dziesiątki tysięcy jeńców zapędzono na stambulskie targi niewolników. Ich los był zwykle straszny. Tylko pochodzący z najmożniejszych rodów brańcy mogli liczyć, że upomną się o nich dyplomaci ich krajów i doprowadzą do wykupienia im wolności.

Bitwy toczono z Turkami nie przypominając europejskich średniowiecznych starć. Wtedy rycerzom nie opłacało się zabijać przeciwników: brali ich w umowną niewolę, na słowo, i umawiali się na okup. Straty bitewne na ogół nie były wielkie (zmieniło się to dopiero po upowszechnieniu służby zaciężnej). Tymczasem żołnierze sułtana bezwzględnie mordowali „niewiernych”, a ich ciała okaleczali.

Barbarzyńskie praktyki przyjęły się też po chrześcijańskiej stronie frontu. Z sadyzmu słynął zwłaszcza gospodar Wołoszczyzny Wład Palownik, znany też jako Drakul (Diabeł), pierwowzór najsłynniejszego wampira popkultury. Po prawdzie podobnych zbrodni dokonywali jednak także żołnierze Korwina, np. po zwycięstwie obcinali głowy jeńcom, a potem na wozach wysyłali do stolicy, prezentując je ludowi jako znak triumfu nad Osmanami.

Wojna braci Jagiellonów

Maciej Korwin zmarł w 1490 r. i nie pozostawił legalnego potomka. Na jego dziedzictwo patrzyło drapieżnie wielu ościenych władców – wśród nich Władysław Jagiellończyk, król Czech. Wtedy to na światło dzienne wyszła słabość polityki dynastycznej Jagiellonów. Zdarzyło się coś, na co nie pozwoliliby sobie ich najwięksi rywale w Europie Środkowej – Habsburgowie.

Choć po sukcesie po Korwinie zgłosił się już Władysław, dwór krakowski, pod wpływem włoskiego myśliciela i wychowawcy synów królewskich Kallimacha (uciekiera z Rzymu, gdzie spiskował na życie papieża), zdecydował o poparciu jego młodszego brata, następcy polskiego tronu Jana Olbrachta.

Władysław miał wprawdzie pewne cechy swego ojca, władcy Polski i Litwy Kazimierza Jagiellończyka, a także protoplasty rodu Władysława Jagiełły – był niezłym dyplomata, spokojnie obserwującym bieg spraw i podejmującym decyzję →



Bertalan Székely „Bitwa pod Mohaczem”, 1866 r.

→ po poważnym namyśle. Brakowało mu jednak wyrachowania i inteligencji ojca oraz dziada, był też podatny na wpływy i łatwo ulegał otoczeniu. Prześmiewcy nazywali go podobno *rex bene* („król do brze”), bo tak miał odpowiadać na kierowane do niego prośby.

Jan Olbracht stanowił charakterologiczne przeciwieństwo brata. Współcześni pisali o nim: „postać to wspinała, silna, pierś potężnie rozwinięta, nogi i ręce krzepkie, oblicze pełne i zdrowe. Nie zbywało mu na inteligencji, rozsądku, rozumie i zniewalającej wprawie umysłowej. Rad czytywał dzieje i znajdował rozkosz w dysputach doktorów”. Olbracht, pod wpływem Kallimacha, patrzył na politykę według wzorów włoskich. Liczyła się skuteczność: sojuszników można okłamać, układy zламać, przyjaciół wydać.

Na Węgrzech Olbrachta poparła szlachta, Władysława zaś magnateria: wielcy panowie liczyli, że „król dobrze” nie zagrozi ich silnej pozycji. W dwuletnich bratobójczych starciach przewagę miał Władysław, jednak w charakterystyczny dla siebie sposób po zwycięstwie wspinałomyślnie wybaczał bratu – a ten wkrótce wracał na czele nowo zwerbowanych oddziałów.

Tymczasem do działania przystąpił król niemiecki Maksymilian Habsburg,

również łasy na tron w Budzie. Wzięty w dwa ognie, Władysław podpisał niekorzystny pokój z Habsburgiem, przyznając jego linii prawo do dziedziczenia na Węgrzech. Dopiero wtedy, w 1492 r., udało się ostatecznie usunąć z Węgier Olbrachta.

Uśmierzyć gniew sułtana

Cień na Władysława i jego syna Ludwika od niemal pięciu stuleci rzuca tragiczna klęska pod Mohaczem. Nie mamy jednak prawa oskarżać tych dwóch Jagiellonów, jak to czyniono do niedawna, że bezmyślnie do niej doprowadzili przez kunktatorstwo, a nawet lenistwo polityczne. Pytanie, czy ratunek dla tego kraju, sukcesywnie osłabianego najazdami i pozbawionego pomocy sojuszników, był w ogóle możliwy.

Współcześni historycy węgierscy oddają sprawiedliwość Władysławowi Jagiellończykowi: dziś częściej podkreśla się, że *rex bene* było złośliwym przezwiskiem, stosowanym przez wroga królowi propagandę. Gdyby faktycznie ulegał wszelkim żądaniom, domena królewska, czyli dobra koronne, z których utrzymywał się król, zostałyby szybko rozdrapane, a do niczego takiego nie doszło. W zmaganiach o tron węgierski, a wcześniej czeski (wojował o niego z Korwinem), Władysław wykazał wiele

hartu ducha, choć zbrojna konfrontacja była u niego ostatnią opcją. Był zdolnym negocjatorem, o czym świadczy choćby zapewnienie dalszych subwencji od papieża i Wenecji na obronę przed Turcją.

Południowa granica wciąż płonąła, a Imperium Osmańskie posuwało się sukcesywnie na północ, opanowując kolejne skrawki Bośni i Chorwacji oraz mnożąc wypadki do Węgier, a nawet Austrii. Węgrom groziło śmiertelne niebezpieczeństwo – o ile w obronie południowych granic kontynentu nie zjednoczyliby się wszyscy chrześcijańscy władcy.

Smoka, póki to było możliwe, nie należało drażnić. Dlatego Władysław załamywał ręce, gdy znowu dała znać o sobie awanturnicza natura Jana Olbrachta, teraz już króla polskiego. W 1497 r. podjął on słynną wyprawę do Mołdawii w celu odbicia Kilii i Białogrodu, miast czarnomorskich, z rąk tureckich. Wplątany w dyplomatyczną i militarną pułapkę zastawioną przed mołdawskiego hospodara Stefana Wielkiego, pozbawiony wsparcia (cóż się dziwić) brata, króla Węgier, poniósł upokarzającą klęskę w lasach bukowiańskich. Kronikarz Marcin Bielski napisał potem: „Za króla Olbrachta wyniszczona szlachta” (z dużą przesadą, zginęło ok. 5 tys. żołnierzy); później wzmocniono ten przekaz słowem „wyginęła”. Król popadł w depresję i nigdy nie wrócił do

pełni sił, oddając się orgiom i miłostkom, zakończonym zakażeniem kiłą i śmiercią na tę chorobę.

Po nieszczęsnej wyprawie brata Władysława pchnął do Stambułu posłów, mających uśmierzyć gniew sułtana i zapobiec wyprawie odwetowej na Polskę. Bezskutecznie. Czambuły tatarskie wspierane przez oddziały tureckie wkrótce zaatakowały i spustoszyły ziemie Korony.

Przed czasem urodzony

22-letnia ukochana żona Władysława węgierskiego, francuska księżniczka Anna de Foix-Candale, nie przeżyła porodu następcy tronu. Zmarła na gorączkę połogową, a jej syn też ledwo przeżył. Urodził się w siódmym miesiącu ciąży, jak zanotował świadek, „bez skóry” (zapewne z delikatnym, podatnym na uszkodzenia na skórkiem).

Życie uratowała mu pomysłowość lekarzy. Przygnano stado świń, jedną po drugiej zabijano i patroszono, a do ciepłego brzucha zwierzęcia wkładano noworodka. Zastosowanie tych naturalnych inkubatorów ocaliło mu życie. Wkrótce otrzymał imię Ludwik, na cześć królów francuskich, a także wielkiego poprzednika na tronie węgierskim, Ludwika Andegaweńskiego (ojca królowej Jadwigi).

Z narodzin następcy tronu na pewno nie ucieszyli się Habsburgowie, ostrzący sobie zęby na tron w Budzie. W 1515 r. odnieśli jednak ważne zwycięstwo dyplomatyczne. To wtedy Jagiellonowie (Władysław i jego brat Zygmunt Stary, panujący od 1506 r. w Polsce) oraz Habsburgowie spotkali się w Wiedniu, gdzie ustalono małżeństwa dynastyczne. Ludwik pojął Marię, wnuczkę Maksymiliana, a jego siostra Anna – Ferdynanda Habsburga.

W ten sposób Habsburgowie zabezpieczali trony czeski i węgierski dla Ludwika, ale jednocześnie zapewniali sobie (po raz kolejny!) następstwo po nim. Sojusz był bezcenny dla Zygmunta, gdyż rozrywał sojusz cesarza z zagrażającą mu Moskwą. Kosztem było zrzeczenie się przez Zygmunta roszczeń do sukcesji po Ludwiku. Bieg wydarzeń sprawił, iż beneficjentami traktatu okazali się wyłącznie Habsburgowie; polskiemu królowi ewidentnie zabrakło tu wizji politycznej.

W 1516 r. zmarł schorowany Władysław Jagiellończyk, a Ludwika wybrano królem węgierskim. Nad dziesięć lat-



Autor nieznany, portret sułtana Sulejmana Wspaniałego, ok. 1530 r.

kiem opiekę objęła rada wybrana przez magnaterię, szlachtę i Kościół. Jej rządy powiększyły chaos w kraju. Tymczasem intrygi podjęli Habsburgowie. Udało im się na stanowisko wychowawcy królewskiego wprowadzić Jerzego Hohenzollerna, który demoralizował chłopca. Ludwika nie uczono etykiety dworskiej, przez co wielokrotnie publicznie się ośmieszał, skłaniano go do pijaństwa i folgowania wszelkim poządlwościom. Węgierski kanclerz skarżył się dyplomatom Zygmunta Starego, że król wpuszcza do swoich komnat kogo popadnie i pokazuje się gościom nago.

Zdradziecki Hohenzollern zmarnował potencjał młodego Jagiellona; skądinąd wiadomo, że Ludwik miał zdolności językowe, grał na instrumentach i znakomicie władał bronią. W efekcie we wspomnieniach po Ludwiku przewijała się taka opinia: *ante diem natus, ante diem barbatus, ante diem uxoratus, ante diem mortuus* (przed czasem urodzony, przed czasem noszący broń, przed czasem ożeniony, przed czasem zmarły).

Ślepa Europa

W 1520 r. władzę w Stambule objął nowy sułtan – Sulejman, któremu po-

tomni nadadzą tytuł Wspaniałego. Miał stać się jednym z najwybitniejszych władców i wodzów tureckich, budowniczym mocarstwowości imperium, przed którym drżał świat chrześcijański. Ale w 1520 r. był dopiero 26-latkim, który – aby udowodnić, że jest godzien tronu, oraz zapewnić sobie posłuszeństwo armii i poddanych – potrzebował zwycięstw. Szpiegdy donosili o osłabieniu politycznym i finansowym Węgier; ten kierunek ofensywy wydał się Sulejmanowi oczywisty.

W sierpniu 1521 r. padł Belgrad, połączna twierdza stanowiąca klucz do Węgier. Właściwie już w tym momencie losy Korony Świętego Stefana były przesądzane. Król Ludwik nie ustawał we wzywaniu na pomoc władców europejskich. Ale Francja była zajęta rywalizacją z Habsburgami w kolejnych odsłonach wojen włoskich. Cesarza i króla Hiszpanii Karola V (brata Marii, królowej węgierskiej) poza działaniami Francuzów bardziej od armii Sulejmana niepokoiła szeregająca się w księstwach niemieckich reformacja. „Interesy francuskiego króla »arcychrześcijańskiego« oraz racja stanu cesarza i »arcykatolickiego« króla Hiszpanii przeważały nad najżywniejszymi interesami chrześcijaństwa zachodniego” – ocenia historyk Stanisław Rek w monografii bitwy mohackiej.

A wuj, Zygmunt Stary? Miał stale spętane ręce. Ze wschodu atakowali go księża moskiewscy, prowadzący akcję „zbierania” ziem ruskich. Z kolei wielki mistrz krzyżacki uparcie odmawiał – wbrew postanowieniom traktatu z 1466 r. – uznania swojej zależności lennej. Zygmuntovi, którego plany w dodatku na każdym polu szachowali Habsburgowie, nie było łatwo wspierać bratanka w odległej Budzie. Oba władców różnił też zasadniczy fakt: tylko dla Węgier Turcja stanowiła stałe i bezpośrednie zagrożenie. Zaangażowany w inne sprawy polityczne Zygmunt był daleki od projektów antytureckich krucjat. A już szczególnie →

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Mińsku Mazowieckim pod sygn. akt I Ns 519/21 toczy się sprawa z wniosku Gminy Ceglów o zezwolenie na złożenie do depozytu sądowego na okres 10 lat kwoty 40 713 (czterdzieści tysięcy siedemset trzynaście złotych) z tytułu odszkodowania za nieruchomością zajęta pod drogę – działkę nr 26 o pow. 0,0701 ha, położoną w Ceglówie, dla której nie ma urzędzonej księgi wieczystej, a dla której według wypisu z ewidencji gruntów nie ustalono właściciela, z tym zastrzeżeniem, że odbiór tego świadczenia może nastąpić przez właściciela działki po przedstawieniu przez niego dowodu własności.



CUBO IMAGES / EAST NEWS

Pomnik bitwy pod Mohaczem. Węgry, 2017 r.

→ po tym, jak w 1524 r. Sulejman skutecznie go nastraszył dwoma wypadami na ziemie polskie.

Ostatnie dni królestwa

Sytuacja Ludwika była rozpaczliwa. Skarb od dawna nie wystarczał na organizację obrony, poddani burzyli się przeciw kolejnym podatkom na wojsko, szlachta i część magnatów nienawidziła go za układy z Habsburgami. Zygmunt z całych sił zachęcał bratanka do grania na czas i zawarcia z sułtanem rozejmu. Jednocześnie tego samego zakazywał Ludwikowi w listach papieża.

W 1525 r. dyplomatom Zygmunta Starego udało się wynegocjować trzyletni rozejm z Turcją. Polski król usiłował podłączyć do niego Węgry, ale wezr ze złością odrzucił taką propozycję posłów i krzyknął: „Myślcie o własnych sprawach, zostawcie sprawy Węgier!”. Skoro Ludwik sam o rozejm nie prosi (nie udzielił posłom Zygmunta pełnomocnictw), to nie ma powodu, aby

o niego dla Ludwika zabiegać... Tymczasem w dyplomatycznym kotle zamieszali jeszcze Francuzi: w tajnych rozmowach z sułtanem zachęcali go do zaatakowania Habsburgów.

Do wojny parła szlachta węgierska, a szansę dla siebie widziało w niej stronnictwo Jana Zapolyi, wojewody siedmiogrodzkiego i pretendenta do korony. Autorytet Ludwika leżał w gruzach. Jeśli mógł go odzyskać, to tylko na polu bitwy. Od początku 1525 r., gdy było jasne, że sułtan szykuje wielką armię, próbował jeszcze grać na zwłokę, negocjować, był nawet gotów płacić Turcji trybut. O pomoc, przynajmniej finansową, rozpaczliwie prosił papieża, Wenecję, Francję, cesarstwo, wysłał posłów nawet do Henryka VIII angielskiego...

Armia turecka pod dowództwem sułtana ruszyła na Węgry w kwietniu 1526 r. Zgodnie z osmańską tradycją tam, gdzie jest sułtan, musiało dojść do zwycięstwa. Wkrótce Sulejman ogłosił, że zmierza prosto do Budy.

20 lipca na jego spotkanie – wbrew swoim najgłębszym przekonaniom – wymaszerował na czele zastępów węgierskich Ludwik. Wysłał listy do magnatów, w tym Jana Zapolyi, który dowodził sporą liczbą doświadczonych żołnierzy siedmiogrodzkich. Wojewoda nie przybył pod Mohacz. Potem tłumaczył, że otrzymał sprzeczne rozkazy. Już współcześni oskarżali go o celowe zaniedbanie: klęska Ludwika torowała mu przecież drogę do tronu.

Doradcy królewscy próbowali jeszcze przeforsować pomysł, by wycofać się na północ i wciągnąć Turków do walk w pobliżu terytoriów Habsburgów, zmuszając ich w ten sposób do odsieczy. Plany spaliły na panewce: szlachta chciała rozstrzygnięcia w walnej bitwie.

Kolejne przedmurze

W listopadzie 1526 r. odnalezione szczątki Ludwika Jan Zapolya – obrany przez szlachtę nowym królem Węgier – kazał uroczystie pochować w nekropolii królewskiej w Székesfehérvár. Zorganizowanie pochówku poprzednika należało do pierwszych obowiązków następcy, bez tego nie mogło być mowy o koronacji.

Jesienią kolejnego roku zwłoki nieśczęsnego Ludwika znów wydobyto z grobu i pochowano, tym razem z rozkazu Ferdynanda Habsburga, również obranego królem węgierskim. Rywale rzucili się sobie do gardeł – zaczęła się wieloletnia wojna domowa, podsycana przez Sulejmana. Po niegdyśniejszym węgierskim mocarstwie, długo chroniącym Europę przed zagrożeniem tureckim, nie pozostał ślad.

Trwająca niecałe dwie godziny bitwa pod Mohaczem zmieniła sytuację geopolityczną Europy i położyła kres wielkości dynastii Jagiellonów, która straciła naraz dwa trony, czeski i węgierski. Przewaga Habsburgów była odtąd niezaprzeczalna. A rolę przedmurza chrześcijaństwa zmuszona była w końcu przejąć – chcąc nie chcąc – Korona Polska.

© MACIEJ MÜLLER

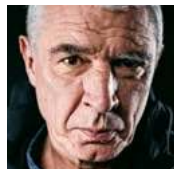


MACIEJ MÜLLER opowie
Grzegorzowi Chłascie
o węgierskim królu

Ludwika Jagiellończyka i bitwie, która zmieniła dzieje Europy. Audycję można odsłuchać też w podkastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

ANDRZEJ

Stasiuk: Wody



JEST LEPIEJ NIŻ KIEDYŚ. DZIWNIE ZDANIE MI wyszło, ale nic nie poradzę. Kiedyś trzeba było jechać do dowództwa, meldować się w Chełmie, Hrubieszowie czy gdzie tam jeszcze, a teraz się po prostu dzwoni do najbliższej placówki, pan oficer dyżurny uprzejmie się przedstawia, i się mówi: „Dzień dobry, dziś w nocy będę spał w okolicach słupa numer taki a taki”. Jak oficer dociekliwy, to zapyta: „Ryby? Kajak?”. I wcale się nie dziwi, gdy usłyszysz: „Nie. Piękno dzikiej przyrody”. Jeszcze tylko numer pesel, jaki samochód, i miłego pobytu. I jeszcze dyskretna sugestia, że jakby działo się coś niezwykłego, to proszę dzwonić. Znaczący się, mieć swój wkład w ochronę granicy kraju oraz Unii Europejskiej.

Mój ulubiony słup ma numer tysiąc ileś tam. Ze zrozumiałych względów moja pamięć mnie w tym miejscu zawodzi. Rzeka swoim zwyczajem meandruje tutaj barokowo, a w pewnym momencie zwiija się na kształt igielnego ucha. Tak to przynajmniej wygląda na mapie. Wokół rozciągają się rozległe, miejscami podmokłe łąki. Ale są też suche miejsca porośnięte wysoką trawą. Pod starą rozłożystą sosną jest dobre miejsce na namiot. Jej cień chroni rano przed słońcem. Można spokojnie zagotować wodę na kawę i zrobić coś do jedzenia. W zupełnej ciszy i wstających mgłach. W niebie szybuje czapla. W złotym świetle poranka ruda sarna wygląda jak bajkowa zjawa. W zielonym nurcie rzeki słychać rybi plusk, który tylko potęguję ciszę. Brzeg jest piaszczysty. To nie takie częste nad tą rzeką, która zazwyczaj broni do siebie dostępu za pomocą zarośli, bagien i parometrowych urwisk. Bo jest dzika. Ale tutaj można zejść nad samą wodę. Można o zmierzchu rozpałić niewielkie ognisko, patrzeć w płomienie albo na odbicie księżyca w ciemnej, gładkiej

toni. I oczywiście nasłuchiwać plusku ryb wyobrażając sobie, że to przedwieczne sumy rzucają się na zdobycz. Albo wsłuchiwać się w głosy nocnych ptaków, które są oczywiście przeźrliwe w porównaniu z głosami ptaków dziennych, i serce od nich zamiera. A po ukraińskiej stronie, ilekroć tu jestem, w oddali słychać dudniące basy disco. Ale to wcale nie przeszkadza. Może dlatego, że właśnie po drugiej stronie, i przydaje nocnemu obozowaniu pewnej egzotyki – jeśli wolno jeszcze używać tego słowa.

Tak więc jest lepiej, ale trzeba dzwonić. Nawet, gdy się nie śpi, a tylko zjeżdża z drogi 816 w stronę rzeki, żeby zbłąkać się gdzieś w bagiennych splątanych ścieżkach i odnaleźć jeszcze nieznane zakole, niewidzianą perspektywę. Bo owszem, dziko, ale poczucie samotności jest nieco złudne. Kiedyś zjechałem nad sam nurt, spryskałem się repelentem, zrobiłem sobie kawę i po prostu patrzyłem na wodę. Po chwili w zaroślach usłyszałem traktorowy terkot diesla i wynurzył się zielony defender. Wysiadło dwóch miłych, ale służbowo zdystansowanych chłopaków. „Coś dzisiaj późno” – powiedziałem. „Panie, od czterech godzin wiemy, że się pan tu kręci. Dokumenty poproszę” – powiedział starszy stopniem, wcześniej regulaminowo się przedstawiając. A potem porozmawialiśmy sobie o zaletach i wadach różnych aut terenowych oraz o życiu przy granicy, bo się pochwaliłem, że też blisko kordonu mieszkam. Kordonu wprawdzie praktycznie unieważnionego, ale jak tak dalej pójdzie, to może nastąpić rewitalizacja. Tego jednak nie skomentowali, bo byli na służbie. Potem poprosili, żeby jednak dzwonić. Obiecałem. Bo co to w końcu jest za przyjemność jeździć po bagnach za jakimś debilem, któremu zachciało się kawy z ładnym widokiem.

No ale dzwonienie to nie jest wysoka cena za nieograniczony dostęp do rzeki dzieciństwa. Nad nią urodziła się moja matka i mój ojciec. W różnych miejscach jej biegu. Może to jest coś pierwotnego? Jak ponowne zanurzenie w wodach płodowych? Czyż rodzice nie przekazują nam krajobrazów, na które sami patrzyli, i patrzyli na nie ich rodzice? Kto to może wiedzieć... Ja w każdym razie tak sobie to wyobrażam, gdy rozbijam zielony namiot na dzikich łąkach i trawiastych urwiskach. Albo gdy zjeżdżam na brzeg i wynajduję miejsca, gdzie następnym razem rozłożę mały obóz. ©

OGŁOSZENIA

Sąd Rejonowy w Lubaczowie | Wydział Cywilny w sprawie I Ns 307/20 z wniosku Gminy Cieszanów z udziałem Łukasza Antonika, o stwierdzenie nabycia spadku po Krystynie Elżbiecie Antonik c. Wacława i Janiny, zamężnej, zmarłej 20 grudnia 2016 r. w Lubaczowie, ostatnio stale zamieszkałej w Nowym Siole 56/2, gm. Cieszanów, po której pozostał majątek spadkowy w postaci nieruchomości położonej w Nowym Siole, wzywa wszystkie osoby roszcujące sobie prawa do spadku, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Sanoku | Wydział Cywilny sygn. akt: I Ns 234/20 zezwolił wnioskodawcy Wojewodzie Podkarpackiemu na złożenie do depozytu sądowego kwoty 3.744,20 zł tytułem zapłaty odszkodowania ustalonego decyzją Wojewody Podkarpackiego z dnia 5 czerwca 2020 r. znak: N-III.7570.1.115.2017 za prawo własności nieruchomości, oznaczonej w operacie ewidencji gruntów i budynków gminy Sanok, obręb 0025 Strachocina, jako działka nr 585 o pow. 0,6039 ha, dla której Sąd Rejonowy w Sanoku prowadzi księgę wieczystą nr KS1 S/00072408/5, należnego Ewie Pawełczyk, będącej współwłaścicielką przedmiotowej nieruchomości, który to depozyt może zostać wypłacony Ewie Pawełczyk lub osobom reprezentującym jej prawa pod warunkiem wykazania przez te osoby przysługujących im uprawnień za pomocą stosownych dokumentów – na jej lub ich wniosek.

Sąd wzywa wierzyciela do odbioru depozytu w terminie 10 lat od ogłoszenia – pod rygorem przejścia depozytu na rzecz Skarbu Państwa.

Autoportret zbiorowy

LIDIA ROSIŃSKA-PODLEŚNY, KURATORKA CYKLU WYSTAW „ARTYŚCI ZAKOPIAŃSCY”:

Do 24 września w Miejskiej Galerii Sztuki w Zakopanem oglądać można wystawę „Artyści Zakopiańscy 2021”. W tej edycji hasłem przewodnim jest „wolność”, której w pandemii wszystkim tak bardzo brakowało.

MARTYNA NOWICKA: Jak to się zaczęło? Chciała Pani po prostu pokazać w Zakopanem prace lokalnych artystek i artystów?

LIDIA ROSIŃSKA-PODLEŚNY: Z Zakopanem związana jestem od urodzenia. Jestem rzeźbiarką, tutaj ukończyłam Liceum Plastyczne im. A. Kenara, edukację kontynuowałam na ASP w Warszawie na Wydziale Rzeźby. Po dyplomie w pracowni prof. Adama Myjaka wróciłam do Zakopanego. Tu mieszkam i tworzę. Jednocześnie do tej pory uczestniczyłam w przeszło 60 Międzynarodowych Sympozjach Rzeźbiarskich na całym świecie, podczas których zrealizowałam swoje wielkogabarytowe rzeźby w drewnie, kamieniu, ceramice...

Miejska Galeria Sztuki w Zakopanem pozostawała dla mnie zawsze stałym punktem do odwiedzenia. Jako dojrzała już artystka zauważyłam, że większość wystaw prezentujących dorobek artystów zakopiańskich koncentruje się przede wszystkim na środowisku zrzeszonym w Związku Polskich Artystów Plastyków, okręg Zakopane. Kiedy w 2016 roku zaczęłam pracę w MGS, postanowiłam to zmienić, proponując rozszerzenie tej formuły na profesjonalnych artystów z Zakopanego.

Nie znaczy to oczywiście, że nie doceniam okręgu zakopiańskiego ZPAP: to jeden z najstarszych związków w Polsce, bardzo prężnie działał w latach 50. i 60. XX wieku. Należeli do niego na przykład Tadeusz Brzozowski i Władysław Hasiór! Ale formuła wystaw skupionych na Związku dziś, kiedy panorama życia artystycznego jest znacznie bogatsza, wydawała mi się niepotrzebnie zamykająca, zwłaszcza że od jakiegoś czasu powtarzały się na nich te same nazwiska kilkunastu artystów.

Od razu, jeszcze w 2016 roku, proponowałam nową wersję tej wystawy: skupioną na wszystkich artystach

z Zakopanego, pokazującą różne twarze tego środowiska. Zależało mi na tym, by rozszerzyć grono uczestników i szybko się to udało – już na pierwszej wystawie z tego cyklu swoje prace zaprezentowało 46 artystów! Nowa, bardziej otwarta formuła spotkała się z ciepłym przyjęciem, zarówno w środowisku artystycznym, jak i wśród widzów. Od początku także pomysł ten cieszył się dużym poparciem naszego Urzędu Miasta.

Kim w takim razie są tytułowi „Artyści Zakopiańscy”? Co ich łączy, wyróżnia?

Możemy to właściwie zdefiniować szerzej, bardziej jako „artystów podhalańskich”, na wystawie prezentujemy bowiem prace twórców i twórczyń z całego regionu. Na pewno też od nikogo nie wymagamy, by był w Zakopanem zameldowany. Interesują mnie wszyscy twórcy związani z tym miastem, a nie przynależność związkowa czy fakt posiadania tu pracowni.

Staram się na wystawie prezentować także dzieła młodych artystów, którzy na przykład urodzili się w Zakopanem i rozpoczęli swoją edukację artystyczną w Zespole Szkół Plastycznych im. Antoniego Kenara. Nawet jeśli później ukończyli studia w Warszawie czy w Krakowie, to cały czas tu wracają. Myślę, że to ważne, by te wystawy stanowiły ślad: artysta pokazywał swoje prace na wystawach z tego cyklu, czuje się więc związany z Zakopanem. Może w przyszłości będziemy się chlubić, że jako pierwsi pokazaliśmy prace ważnych twórców?

Jeśli zaś potraktować to pytanie metaforycznie, można powiedzieć, że „Artyści Zakopiańscy” są każdorazowo środowiskowym autoportretem, wykonanym w konkretnym miejscu i o konkretnym czasie. Ten obraz musi się więc co roku zmieniać.

Na tegorocznej wystawie prace pokazują zarówno artyści urodzeni przed II wojną światową, jak i roczniki dziewięćdziesiąte. Czy sama dokonuje Pani wyboru konkretnych prac, czy raczej wystawa powstaje na podstawie nadesłanych zgłoszeń?

Każda edycja zaczyna się od rozesłania zaproszeń do artystów, ale listę adresatów układam już sama. Z kolei prace wybierają artyści, kierując się zaproponowanym przeze mnie tematem. Pierwsza edycja była rodzajem badania środowiska, zainteresowań artystów i ich potrzeb. Kolejna odbyła się w 2018 roku i była związana z 50-leciem istnienia Festiwalu Folkloru Ziem Górskich, zaś tematem trzeciej wystawy była dwusetna rocznica urodzin Tytusa Chałubińskiego, przypadająca w 2020 roku.

Warto tu nadmienić, że oba te tematy służyły jako sugestie. Nie oczekiwałam, że artyści na wystawę dostarczą mi portrety Chałubińskiego czy folklorystyczne obrazy. Zależało mi jednak na tym, by wystawa nie była oderwana od samego Zakopanego i jego wyjątkowej kultury. Myślę, że ten brak dosłowności w podejściu do tematów sprawia, że wystawy są spójne, ale i otwarte na różne podejścia do proponowanego przeze mnie zagadnienia.

Dlaczego w takim razie kolejna, czwarta edycja odbywa się nie po dwóch latach, a już po roku?

Moim drugim autorskim projektem, który realizuję od początku pracy w galerii, jest Ogólnopolski Konkurs Malarcki „Moje Zakopane” – pierwsza edycja odbyła się w 2017 roku. Początkowo te dwie imprezy miały się odbywać naprzemiennie, więc w 2021 roku powinniśmy zapraszać widzów na pokaz prac nadesłanych na trzeci konkurs malarcki. Pandemia jednak pokrzyżowała nam wiele planów i zaburzyła chronologię wystaw, musieliśmy z wielu projektów zrezygno-



MIEJSKA GALERIA SZTUKI W ZAKOPANEM

Wystawa „Artyści Zakopiańscy 2021” w budynku Miejskiej Galerii Sztuki w Zakopanem.

wać. Konkurs – ze względu na pandemię – było trudno organizować, bo zgodnie z założeniami artyści wysyłają do nas swoje prace, a nie reprodukcje. Z prac (dotychczas każdorazowo przychodziło ich około 200) jury wybiera około 40, które są potem pokazywane na wystawie. Uznaliśmy, że kontakt online to nie to samo, co bezpośrednie obcowanie z dziełem, więc zdecydowaliśmy o przełożeniu konkursu na przyszły rok.

Tegoroczny temat wystawy jest jednak znacznie bardziej abstrakcyjny od poprzednich. Rozumiem, że hasło „wolność”, które zaproponowała Pani artystkom i artystom, wiązało się z doświadczeniem zamknięcia.

Zainteresował mnie ten paradoks – o tym też napisałam do artystów: czas pandemii był bardzo trudny dla kultury i sztuki, ale wiązał się także z nową wolnością, choćby w postaci czasu do two-

żenia. Zależało mi również na świętowaniu (przynajmniej częściowej) wolności. Po zeszłorocznym wernisażu online, tegoroczny był prawdziwym powodem do radości, okazją do spotkania twórców.

Ważnym kontekstem był też pomost historyczny związany z przestrzenią wystawienniczą. Bazar Polski powstał 110 lat temu, pierwszy wernisaż odbył się 7 lipca 1911 roku. Zgodnie z założeniem fundatora, hrabiego Augusta Zamoyskiego, działalność handlowa pozwalała utrzymywać przestrzeń wystawienniczą na pięttrze. Od tego czasu przestrzeń prężnie działa: tu powstawał teatr formistyczny, tu w latach 50. odbywały się Salony Marcowe, które zresztą reaktywowaliśmy w ostatnich latach. To zawsze było miejsce niezależności intelektualnej, także w okresie powojennym, kiedy niełatwo było o takie enklawy wolności. Także dziś zależy nam na podtrzymaniu tej tradycji.

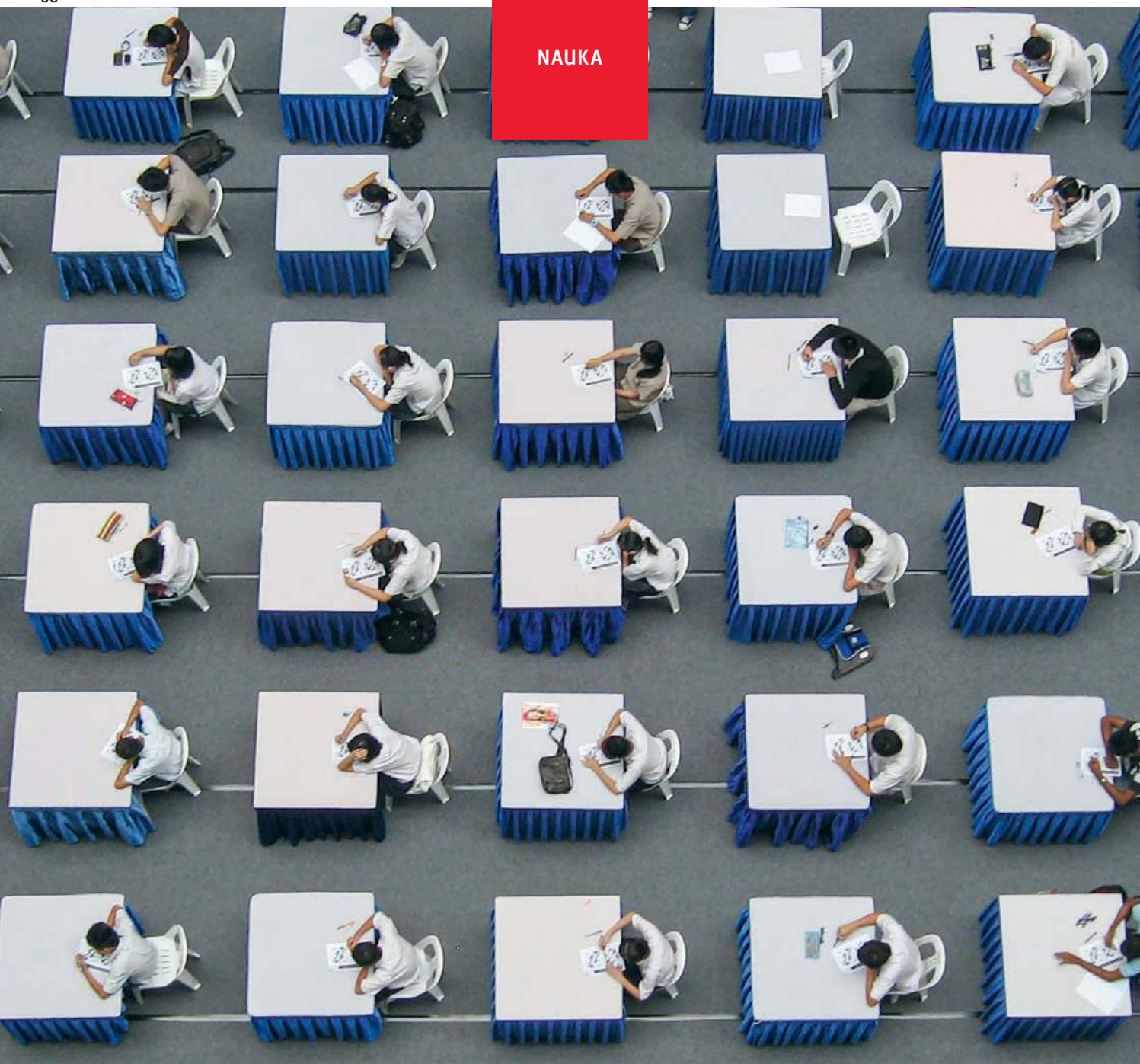
© Rozmawiała MARTYNA NOWICKA

Wystawa „Artyści Zakopiańscy 2021” do obejrzenia w Miejskiej Galerii Sztuki im. Władysława hrabiego Zamoyskiego przy ulicy Krupówki 41 do 24 września.

Artystki i artyści biorący udział w wystawie:

Grzegorz Barański
Dorota Bąk
Magdalena Berbeka
Sylwia Biernaciak
Piotr Bies
Zofia Bolechowska
Aneta Chruścińska
Magda Ciszewska-Rząsa
Maria Cukier
Tadeusz Jakub Dworzyński
Ewa Fortuna
Krzysztof Frys
Katarzyna Głowacka-Koper
Antoni Grabowski
Anna Hebda
Czesław Jałowiecki
Janusz Jędrzejowski
Bartłomiej Jurecki
Edyta Klaper
Małgorzata Kowalczyk
Bartosz Leszczyzna
Konsuela Madejska-Turska
Małgorzata Majerczyk
Jolanta Podleśny
Teresa Ratułowska
Jadwiga Rogowiec
Agnieszka Rokicka
Ewa Maria Romaniak
Lidia Rosińska
Małgorzata Rosińska
Anna Schumacher
Wojciech Sikorski
Paula Solańska
Adam Soroczyński
Monika Stanisławska-Pitoń
Magdalena Stoch
Joanna Strączek-Bojda
Helena Sułkowska-Pawlik
Marek Szala
Anna Tarnowska-Wojak
Bogusław Tober
Arkadiusz Waloch
Ireneusz Wrzesień
Agnieszka Zalotyńska
Anna Zielińska

Więcej informacji na
galeria.zakopane.pl



Zawody w rozwiązywaniu sudoku w centrum handlowym w Singapurze. Listopad 2008 r.

I BĄDŹ TU MĄDRY

Nasz gatunek jest wystarczająco bystry, by próbować ją
zmierzyć, ale i tak martwimy się o to, że mamy jej za mało.
Inteligencja jest pełna paradoksów.

KATARZYNA DZIADOWICZ

TRUDNO JĄ ZDEFINIOWAĆ, ALE WSZYSCY potrafimy ją rozpoznać. Człowiek inteligentny wie np., jak się zachować na pierwszym obiedzie z przyszłymi teściami, jest elokwentny, może nawet zabawny, najszybciej wydedukuje, jak przebiega proces produkcji żarówek, korzystając ze swojej szerokiej wiedzy wskazuje ewentualne problemy związane z zaproponowanym przez polityków systemem reformy polskiej psychiatrii oraz w mig zrozumie aluzję cioci, że pora już się zbierać. No i na pewno odniesie w życiu sukces, cokolwiek miałoby to znaczyć.

Tylko przecież nie tak łatwo znaleźć kogoś, kto w pełni pasuje do tego opisu. Co więcej, na podstawie tak mało precyzyjnych określeń trudno byłoby stwierdzić, czy faktycznie około 68 proc. ludzi jest przeciętnie inteligentnych, a około 2 proc. znacząco się wyróżnia. Tutaj wkracza psychologia z próbą skwantyfikowania tego, co staramy się przekazać, plotkując o innych.

Test dla każdego

Na początku chodziło o to, żeby pomóc. Testy miały posłużyć do wyłonienia z populacji jednostek niezdolnych do korzystania z publicznej edukacji w XX-wiecznej Francji, dzięki czemu można by od razu dostosować do nich specjalny program nauczania. Tego zadania podjął się Alfred Binet (1857–1911). Przygotował listę zadań o wzrastającym poziomie trudności i zaproponował, by na podstawie biegu ich rozwiązywania określać wiek umysłowy dziecka. Zadanie, do którego dojrzała większość dzieci w określonym wieku, wyznaczyło normę. Te dzieci, które nie dorównywały rówieśnikom pod względem liczby zdobytych punktów, najprawdopodobniej miałyby trudności z nadążeniem za programem edukacji w publicznych placówkach, więc skorzystałyby na dodatkowym wsparciu.

To, że niektóre wykazywały się niespotykanymi zdolnościami, nie miało większego znaczenia. Wysokie wyniki w testach inteligencji naprawdę dumnie zaczęły brzmieć dopiero za sprawą Williama Sterna (1871–1938), postaci o niewątpliwym wkładzie w rozwój gałęzi psychologii stawiającej sobie za cel wskazanie i opisanie różnic pomiędzy jednostkami. To dzięki kolejnym adaptacjom wprowadzonego przez niego wskaź-

nika IQ osoby chcące uchodzić za bystre dostrzegły wreszcie szansę na wymierne potwierdzenie swojej inteligencji. Tym bardziej że wynik IQ (ang. *intelligence quotient*), czyli iloraz inteligencji, można było swobodnie porównywać z wynikami innych.

W pierwotnym ujęciu za akronimem „IQ” krył się więc wiek umysłowy dziecka podzielony przez wiek biologiczny i, dla wygody, pomnożony przez sto. Na przykład pięcioletnie dziecko, które rozwiązało by zadania o punktacji równej wynikom większości sześciolatków, miało by iloraz inteligencji równy 120. Kiedy zaczęto określać wskaźnikiem IQ inteligencję dorosłych, odniesienie się zmieniło, ale nazwa pozostała.

Obecnie, za sprawą Davida Wechslera (1896–1981), wyniki właściwie nie są już ilorazem, bo normę dla danego wieku zastąpił średni wynik dla badanej populacji. Uznaje się, że rozkład wyników testów inteligencji w populacji jest normalny, więc przyjmuje kształt krzywej dzwonowej, co oznacza, że zawsze najwięcej jest wyników pośrodku stawki, a im dalej środka, tym ich mniej, ze skrajnymi wynikami stanowiącymi niewielki procent. Dla wyznaczania miary IQ znaczenie ma to, że przy takim rozkładzie średnia w populacji to też najczęściej uzyskiwany przez badanych wynik. Aby wyznaczyć iloraz inteligencji, średniej przypisuje się umowną wartość 100 punktów.

Wynik zbliżony do niego to norma – nieco kontrowersyjny, ale jednak dowód na to, że jesteśmy dość inteligentni. Znacznie większe spory wywołuje próba ustalenia, co to właściwie miałoby znaczyć.

Ciężar inteligencji

Bo oczywiście wśród psychologów poglądy na to, jakie cechy powinien przejawiać przyszły zięć, by móc określić go inteligentnym, też nie są spójne. To z kolei wpływa na kształt testów mających orzekać o zdolnościach poznawczych. Zanim pojawił się słynny iloraz inteligencji, Francis Galton (1822–1911), jeden z prekursorów psychometrii, do testów „zdolności umysłowych” wykorzystywał... ciężarki.

Zadaniem badanych było określenie, czy wyczuwają jakieś różnice pomiędzy wagą dwóch różnych odważników. Galton uważał, że wysoka wrażliwość zmysła, zapewniająca adekwatny odbiór

bodźców, jest gwarantem sukcesu w sferze mentalnej. Im czulszy mielibyśmy być na drobne różnice w postrzeganiu bodźców ze środowiska, tym bardziej adekwatny miałby być nasz obraz rzeczywistości. A to, wraz z odpornością na wysiłek, umożliwiającą skupienie się na wytężonej pracy poznawczej, przepis na sukces i tężyznę umysłu.

Wspomniany już Alfred Binet skupiał się za to bezpośrednio na procesie mentalnym – za cechy konstytutywne inteligentnego myślenia uznał zdolność ukierunkowania go na rozwiązanie konkretnego zadania, obranie strategii dostosowanej do problemu i utrzymywanie kontroli nad wszystkimi krokami. Dlatego w praktyce wskaźnikiem poziomu opanowania tych umiejętności miała być zdolność do poprawnego rozwiązywania zadań opierających się na wnioskowaniu i rozumowaniu, czyli złożonych procesach umysłowych. Wymagały one od przystępujących do testu zarówno zdolności werbalnych, jak i operacji na bardziej abstrakcyjnych elementach.

Odtąd diagnoza inteligencji w formie testów o charakterze problemowym przyjęła się w tradycji psychologicznej na stałe, a wraz z nią założenie, że warunki, w których każdy badany udziela odpowiedzi, powinny zostać ujednolicone. To sugeruje, że pomiary takich testów nie są stabilne – wpływają na nie czynniki środowiskowe, jak choćby hałas. Ale nie tylko. Wynik każdego testu w jakimś stopniu jest zapośredniczony przez osobowość badanego. Najprostszym przykładem może być stres wynikający z samego przystąpienia do procedury badawczej – niektórzy wcale go nie odczuwają, dla innych może okazać się znaczącym utrudnieniem. Natomiast w testach, które kładą nacisk na szybkość procesów poznawczych, kilka punktów mogą stracić osoby preferujące skrupulatne sprawdzanie udzielonych odpowiedzi.

To pierwsza wskazówka sugerująca, że pomiar inteligencji nie do końca przystaje do jej potocznego rozumienia, chociaż opiera się na podobnych cechach procesu mentalnego – szybkości przetwarzania informacji, umiejętności wychwytywania relacji pomiędzy zjawiskami i sprawności procesów pamięciowych.

Płynna i skryształizowana

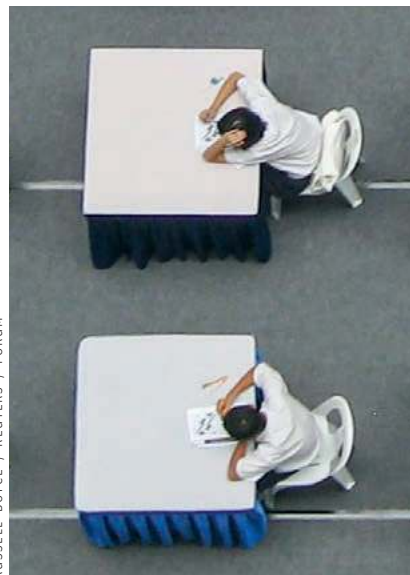
Najpopularniejsze współcześnie testy inteligencji mają swoje źródło w koncepcji ➔

→ Charlesa Spearmana (1863–1945). To on jako pierwszy stwierdził, że „inteligencja ogólna” nie jest tym jedynym czynnikiem, który ujawnia się bezpośrednio w trakcie wykonywania wszelkich czynności. Zauważył, że osoby, które są w stanie wyczuć nawet minimalne różnice w wadze ciężarków, mają też lepsze wyniki w nauce i jednocześnie są częściej oceniane przez znajomych jako posiadające „zdrowy rozsądek”, ale nie stanowią jednolitej grupy. Dalsze wychwycone różnice między nimi skłoniły Spearmana do wniosku, że dla obserwowanych rezultatów znaczenie mają także czynniki specyficzne, jak np. zdolność rotacji figur w wyobraźni. Wydaje się, że mówiąc o inteligencji, chcemy zmierzyć to, co wspólne dla wszystkich zadań – „inteligencję ogólną”. Miałby to być czynnik nadrzędny wobec innych składowych, których jednak Spearman nie doprecyzował.

Raymond Cattell (1905–1998) był jednym z psychologów, do których przeważyło to hierarchiczne podejście. Uznał, że faktycznie możemy mówić o zdolnościach, które do pewnego stopnia determinują wyniki szczegółowych problemów testowych. Ale czy inteligencja ogólna musi być bytem monolitycznym? Cattell doszedł do wniosku, że muszą składać się na nią dwa czynniki. Po pierwsze inteligencja płynna, czyli zdolność abstrahowania relacji pomiędzy dowolnymi zjawiskami i elementami. Po drugie inteligencja skryształizowana, czyli umiejętności nabyte przez doświadczenie oraz zgromadzona na przestrzeni życia wiedza. Aby ją ocenić, wystarczy zapytać wprost o znaczenie słów czy wiedzę faktyczną. Sprawność w pierwszym aspekcie najlepiej wychwycą za to testy, które nie opierają się na wcześniej nabytej wiedzy, lecz np. na dostrzeżeniu podobieństw pomiędzy obiektami albo uzupełnianiu jakichś serii z lukami.

Testem trafnie oceniającym tak określony zakres umiejętności są np. matryce Ravena. To kilkadziesiąt zestawów figur, w których obowiązują pewne zasady, a naszym zadaniem jest wywnioskowanie, jakie to zasady, i wskazanie jednego brakującego elementu, który by je spełniał. W najprostszym układzie to np. zestaw kwadratów, w których poszczególne ćwiartki są zamalowane zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Inteligencja płynna, ze względu na podobieństwo definicyjne do spearmanow-



RUSSELL BOYCE / REUTERS / FORUM

Wysokie IQ wszystkiego za nas nie załatwi.

A do osiągnięcia geniuszu
potrzeba nie tylko
biologicznych predyspozycji,
lecz także wytężonej pracy.

skiej inteligencji ogólnej, często, wbrew Cattellowi, była uznawana za jedyny lub najważniejszy wskaźnik inteligencji. To przeczy intuicjom wielu z nas – w końcu z wiekiem nabywamy doświadczenia, mamy większą świadomość procesów przyczynowo-skutkowych, łatwiej nam zrozumieć nowe zjawiska, podczas gdy w testach inteligencji płynnej jej maksimum przypada na trzecią dekadę życia. Teorii Cattella, choć na przestrzeni lat jej kształt znacząco się zmienił, udało się to wyjaśnić – właśnie poprzez rozłączenie inteligencji płynnej i skryształizowanej możemy uznać, że nabywanie nowych doświadczeń jest rozwijaniem tej drugiej, nawet jeśli pierwsza notuje już spadki.

Co mierzą testy?

David Wechsler uważał, że inteligencja jest ogólną zdolnością, która umożliwia jednostce „zrozumienie świata i skuteczne radzenie sobie z jego wyzwaniami”. Nie odpowiada za żadną konkretną umiejętność, ale w jakimś stopniu przejawia się w każdej. Jeżeli mówimy o IQ, to często chodzi właśnie o wynik Skali Inteligencji Wechslera.

Zgodnie z założeniem, że duża próba da bardziej miarodajny wynik, skonstruowany przez badacza test opiera się na wielu testach „niespokrewnionych” ze sobą grup zadań. Na ich podstawie można wskazać cztery szczegółowe wskaźniki: rozumienia werbalnego, rozumowania percepcyjnego, pamięci roboczej oraz szybkości przetwarzania. Pytania przypisane do każdej z tych grup można podzielić na kilka kolejnych kategorii, wyróżnionych ze względu na kompetencje konieczne do ich wykonania. I tak na nasze umiejętności rozumienia werbalnego składa się test podobieństwa (co mają wspólnego jabłko i gruszką?), test słownictwa (co to jest gitara?), test informacji (kto jest prezydentem Rosji?) i test zrozumienia (co to znaczy: „upiec dwie pieczenie na jednym ogniu?”).

Testy rozumowania percepcyjnego mierzą to, jak dobrze radzimy sobie z zagadkami przedstawionymi nie za pomocą słów, lecz figur i ich wzajemnych relacji – wymagają użycia wyobraźni przestrzennej, dostrzeżenia zależności i rozumowania poprzez analogie. W standardowych testach pamięci roboczej najlepiej wypadną osoby skoncentrowane, zdolne do przeprowadzania „w głowie” obliczeń i analiz z użyciem wielu elementów (przykładowe zadanie polega na zapamiętaniu serii wyświetlonych cyfr i powtórzeniu ich w odwróconej kolejności). Na szybkość przetwarzania informacji składa się nie tylko to, jak szybko dostrzeżemy jakiś obiekt wśród innych mu podobnych, ale też to, jak szybko zareagujemy na określony bodziec.

Trudno się spodziewać, by ktoś, kto świetnie wypadnie w tak obszernej baterii testów, w żadnym calu nie był błyskotliwy. Biorąc pod uwagę, że przeważnie wyniki osiągnięte na większości podskal ze sobą korelują – czyli mało kto osiąga wysoki wynik w jednej, a bardzo niski w innej – ktoś szczytujący się wysokim IQ musi mieć w sobie „to coś”. W tym przypadku „to coś” miałoby być, jak się zdaje, ogólną inteligencją. Nie wszyscy jednak zgadzają się, że coś takiego w ogóle istnieje.

Czynnik g

Według części psychologów wymiar inteligencji ogólnej, nazwany za Spearmanem czynnikiem g (od ang. *general intelligence*), nie jest tak rzeczywisty, jak

choćby cechy temperamentu. W żadnym z testów nie sposób zmierzyć go bezpośrednio. W wyniku procedur obliczeniowych wyłania się on jako wspólny korzeń kolejnych składowych – różnych w zależności od testu, ale opisujących poziom wykonania konkretnych zadań.

Według Arthura Jensena (1923–2012) czynnik g naszego umysłu pod względem funkcji odpowiada procesorowi komputera – jest niejako mentalną siłą napędową stojącą za stosowaniem różnych strategii i wykonywaniem konkretnych zadań, co miałyby tłumaczyć ich wzajemne zależności. Fakt, że doświadczalnie pokazuje, iż z różnych testów i skal da się ten czynnik wyróżnić niemal niezawodnie, skłania do uznania go za faktycznie istniejącą, nadrzędną zdolność umysłową. Tymczasem, zdaniem przeciwników, to nadinterpretacja – skoro czynnika nie można bezpośrednio zaobserwować bez użycia złożonych metod obliczeniowych, nie ma sensu w ogóle o nim mówić.

Takie stanowisko współcześnie zajmują choćby Kristof Kovacs i Andrew Conway, autorzy teorii nakładających się procesów (ang. *process overlap theory*). Ich zdaniem czynnik g wyłania się z wyników testów po przeprowadzeniu odpowiednich analiz statystycznych, ale nie jest czymś, co istnieje jako oddzielny byt. Tym samym nie może stanowić przyczyny ani sukcesu, ani porażki w testach – jest po prostu pewnym sposobem opisu wyników. Inteligencję Kovacs i Conway postrzegają natomiast jako wiele współzależnych procesów. Jak jednak przyznają, gdyby przyparci do muru zostali zmuszeni do wskazania, czym jest czynnik g, rozważaliby użycie cytatu z publikacji Hana L.J. van der Maasa i współpracowników, zamieszczonej w „Journal of Intelligence” już w XXI w.: „Interpretowana jako wskaźnik inteligencja jest czymkolwiek, co mierzą testy IQ. Na serio”. Bo jeśli testy mają określać inteligencję, a czynnik inteligencji ogólnej g nie musi być (i wedle ich teorii nie jest!) realnym zjawiskiem, to musimy przyznać, że testy po prostu mierzą to, co mają mierzyć.

Szybciej, wyżej, dalej

Wciąż jednak pozostaje przeczucie, że wysokim IQ warto byłoby móc się pochwalić. Mogło ono zostać zakorzenione w naszych głowach przez liczne badania

korelacyjne, które donosiły o statystycznej przewadze osób z wysokim ilorazem inteligencji w rozmaitych dziedzinach życia.

Badana w testach łatwość dostrzegania abstrakcyjnych związków umożliwia „ogarnianie” większej liczby zagadnień, mała pojemność pamięci roboczej mogłaby z kolei utrudnić odbiór złożonych informacji. Uwzględniając dodatkowo fakt, że zdobywanie wiedzy jest zapośredniczone przez komunikaty werbalne, wyższe wyniki w nauce osób z wyższym ilorazem inteligencji nie powinny być szczególnie zaskakujące. Wraz ze wzrostem średnich wyników testów IQ w danej grupie wzrasta prawdopodobieństwo przedłużania edukacji jej członków o kolejne lata. Osoby, które zrobiły doktorat, mają przeciętnie nieco wyższy iloraz inteligencji niż magistry, a magistry nieco wyższy niż absolwenci studiów licencjackich.

Trzeba jednak zachować ostrożność w wysnuwaniu wniosków dotyczących kierunku tej zależności, a już w żadnym wypadku nie powinniśmy na podstawie tych obserwacji wróżyć czegośkolwiek na temat jakiegokolwiek jednostki. Nie możemy więc mieć nadziei, że nasze wysokie IQ wszystko za nas załatwi – Galton miał słuszość w dostrzeżeniu, że do osiągnięcia geniuszu oprócz predyspozycji biologicznych potrzebna jest jeszcze wyćwiczona praca.

W zetknięciu z rzeczywistością znaczenie mają też inne aspekty funkcjonowania poznawczego niż te, które kryją się za poprawnym rozwiązywaniem testów. Często wskazuje się tutaj na grupy zdolności przedstawianych jako odrębny aspekt inteligencji ogólnej lub równoległe do niej uzupełnienie obrazu ludzkich zdolności – nie bez kontrowersji nazwanych „inteligencją społeczną” oraz „inteligencją emocjonalną”. Miałyby one odpowiadać za łatwość w nawigowaniu po świecie społecznych interakcji. Trudności z odczytywaniem emocji innych osób, dostosowaniem zachowania do okoliczności czy samokontrolą nie ujawnia się w testach IQ (i w ogóle trudniej je zmierzyć), ale stanowią istotne ograniczenie poznawcze.

Badania pokazują, że iloraz inteligencji jest dość stały na przestrzeni życia. Przyjmuje się, że w około 50 proc. jest zdeterminowany biologicznie. Pozwoliły to ustalić obserwacje rodzeństw.

Wyniki testów IQ są najbardziej zbliżone dla bliźniąt jednojajowych wychowywanych razem. Nieco słabsza jest zależność dla bliźniąt jednojajowych wychowywanych oddzielnie, a jeszcze niższe korelacje obserwuje się dla wyników IQ bliźniąt dwujajowych czy rodzeństwa, którzy dzielą niższy odsetek genów.

Nie można jednak nie doceniać wagi czynników środowiskowych, czego przykładem dały niestety irańskie sierocińce w latach 70. ubiegłego wieku. Te dzieci, które zostały adoptowane przed drugim rokiem życia, dogoniły w rozwoju swoich rówieśników, a średnia ich IQ dorównała IQ populacji. Te, które zostały adoptowane później, nigdy nie nadgoniły różnic rozwojowych.

W późniejszym wieku trudno radykalnie odmienić swój wynik. Próbowano to osiągnąć za pomocą treningu pamięci roboczej. Wydawało się to o tyle obiecujące, że na podstawie wyników testów pamięci roboczej zwykle całkiem nieźle można przewidzieć wynik inteligencji płynnej. Tymczasem okazało się, że wyćwiczenie pamięci roboczej nie wpływa na wyniki testów IQ. To częsty problem związany z próbą poprawy zdolności w jakiegokolwiek zakresie poznawczym – poprzez trening stajemy się lepsi, ale tylko w wąskiej specjalizacji. Dzięki rutynowemu zapamiętywaniu list zakupów staniemy się trochę mniej zapominalscy – najprawdopodobniej za sprawą wypracowanych w trakcie zadania strategii. Te jednak mogą być bezużyteczne w starciu z przyswajaniem innego materiału.

Jeżeli chcemy poprawić swój wynik IQ, oczywiście możemy rozwiązywać jak najwięcej testów inteligencji. Dzięki szczegółowej analizie poszczególnych zadań powinniśmy nabrać biegłości w dostrzeganiu schematów ich rozwiązywania i w konsekwencji poprawić swój wynik o kilka punktów. Jeżeli jednak chodzi nam o korzyści dla naszego rozwoju umysłowego, rozważmy raczej sięgnięcie po książkę albo naukę gry na jakimś instrumencie. Nawet jeśli zainwestowany czas nie będzie miał przełożenia na jakikolwiek wskaźnik IQ, możemy dzięki temu stać się trochę bardziej błyskotliwi albo zwyczajnie mądrzejsi. A potem skupmy się na osiągnięciu tego, co naprawdę chcemy osiągnąć.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku I Wydział Cywilny toczy się postępowanie z wniosku Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa w Warszawie o stwierdzenie, że Skarb Państwa nabył przez zasiedzenie z dniem 07.05.202 r. własność działek ewidencyjnych nr 2380, 2381, 2382, 2384, 2385, 2386, 2387 w Strzelcach Wielkich gmina Szczurowa oraz z dniem 21.12.2012 r. własność działek ewidencyjnych nr 1494/1, 1494/2, 1494/3, 1554, 1556/1, 1556/2, 1556/3 w Łękach gmina Borzęcin, nr 2339 w Przyborowie gmina Borzęcin, nr 317/3, 317/5, 317/6, 317/7, 318 w Rudy – Rysie gmina Borzęcin. Sygn. akt I Ns 231/20.

Działki ewidencyjne położone w Strzelcach Wielkich nr:
 – 2380 o powierzchni 0,47 ha powstała z pozahipotecznego parceli katastralnej 1859/3,
 – 2381 o powierzchni 0,36 ha powstała z pozahipotecznego parceli katastralnej 1859/4,
 – 2382 o powierzchni 0,22 ha powstała z pozahipotecznego parceli katastralnej 1859/5,
 – 2384 o powierzchni 0,52 ha powstała z pozahipotecznego parceli katastralnej 1859/6,
 – 2385 o powierzchni 0,48 ha powstała z pozahipotecznego parceli katastralnej 1859/7,
 – 2386 o powierzchni 0,47 ha powstała z pozahipotecznego parceli katastralnej 1859/8,
 – 2387 o powierzchni 17,16 ha powstała z pozahipotecznego parceli katastralnej 1859/9.

Działki ewidencyjne położone w Łękach nr:
 – 1494/1 o powierzchni 0,47 ha, nr 1494/2 o powierzchni 0,1240 ha, nr 1494/3 o powierzchni 0,0795 ha powstały z parceli gruntowych 4402, 4404 i parceli budowlanej 438 objętych Lwh

358 Łęki, w którym jako właściciel ujawniony jest Włodzimierz Łasiński,
 – 1554 o powierzchni 0,92 ha powstała z parceli gruntowej 3984/1 objętej Lwh 358 Łęki,
 – 1556/1 o powierzchni 0,68 ha, nr 1556/2 o powierzchni 2,96 ha, nr 1556/3 o powierzchni 5,45 ha powstały z parceli gruntowej 3984/1 objętej Lwh 358 Łęki. W Lwh 358 Łęki i jako właściciel ujawniony jest Włodzimierz Łasiński.
 Działka ewidencyjna nr 2339 w Przyborowie o powierzchni 5,68 ha powstała z parceli budowlanej 6 i parceli gruntowych 2801, 2802, 2800/1, 2800/2 objętych Lwh 880 Przyborów, w którym jako właściciel ujawniony jest Skarb Państwa.

Działki ewidencyjne położone w Rudy – Rysie nr:
 – 317/3 o powierzchni 0,55 ha powstała z parceli gruntowej 509/3 objętej Lwh 301 Rudy – Rysie,
 – 317/5 o powierzchni 0,01 ha powstała z parceli gruntowej 709/1 objętej Lwh 128 Rudy – Rysie i parceli gruntowej 504/1 objętej Lwh 301 Rudy – Rysie,
 – 317/6 o powierzchni 0,07 ha powstała z parceli gruntowej 508/10 objętej Lwh 128 Rudy – Rysie i parceli gruntowych 508/17, 712/12, 504/2 objętych Lwh 301 Rudy – Rysie,
 – 318 o powierzchni 1,68 ha powstała z parceli gruntowych 508/14, 509/6, 510/5 objętych Lwh 301 Rudy – Rysie. W Lwh 301 Rudy – Rysie jako właściciel ujawniony jest Skarb Państwa.
 Sąd Rejonowy w Brzesku Wydział Cywilny wzywa wszystkich zainteresowanych, aby zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Brzesku I Wydział Cywilny w ciągu 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia i udowodnili swe prawo własności, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez zasiedzenie, jeżeli zostaną udowodnione przesłanki pozwalające na to stwierdzenie.

weź, czytaj! w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



NAGRODA
LITERACKA
GDYNIA

TYGODNIK
POWSZECHNY

DODATEK
SPECJALNY
„TP” 35/2021

Festiwal
Miasto Słowa



Zbawienne obszary wątpliwości

JERZY JARNIEWICZ, PRZEWODNICZĄCY KAPITUŁY NAGRODY GDYNIA

Gęstniejąca mapa nagród nie powinna niepokoić, o ile nagrody mają uchwytłą tożsamość.

Za nami piętnaście odsłon Nagrody Literackiej GDYNIA. Od czasu jej powstania zagęściła się mapa literackich nagród, a wokół nich rozogniła się dyskusja: po co nam one? Może wysłać je, gdzie pieprz, i zastąpić funduszem powierniczym?

Zmorą tych debat bywa uogólnienie, jakby nagrody spod jednej sztancy wyszły. Że tak nie jest, widać gołym okiem. Przypomnę, że GDYNIA to jedyna do tej pory nagroda przyznawana w czterech równorzędnych kategoriach, dzięki czemu nasze nominacje kreślą coroczną panoramę polskiej literatury we wszystkich (poza dramatem) gatunkach, a tom wierszy nie musi stawać do rywalizacji z powieścią czy reportażem. I że właśnie w GDYNI przekład literacki postrzegany jest jako nieodłączna część literatury polskiej. O tłumaczach rozmawiamy jak o suwerennych twórcach, a nie *en passant* przy okazji nagrodzenia autora tłumaczonej przez nich książki.

Gęstniejąca mapa nagród nie powinna niepokoić, o ile nagrody mają uchwytłą tożsamość, wyróżniając się choćby kryte-

riami wyboru i gremium jurorskim. Tożsamość (a z nią wiarygodność) GDYNI buduje między innymi to, że do kapituły wchodzi osoby, które nie były jurorami w innej nagrodzie literackiej. Wyróżnikiem jest także sposób wyłaniania nominacji i laureatów. Nie rządzi nim arytmetyka, czyli proste liczenie głosów, ale rozmowa: ważniejsze jest osiągnięcie konsensusu, wzajemne się słuchanie i przekonywanie. Stąd wielokrotne i wielogodzinne posiedzenia kapituły, stąd intensywna wymiana listów między jurorami. Z naszych tegorocznych maili mogłaby powstać osiemdziesięciostro nicowa książka, zdradzająca miejscami znamiona powieści sensacyjnej.

Nie chciałbym na duś szukać cech wspólnych tegorocznych nominacji, za ryzykuję jednak i powiem, że dowodzą one tego, co w naszych wyborach zakładamy: że literatury nie tworzą „wydarzenia”, że nie da się jej, jak zrobiono z nauką na uczelniach, sparametryzować, a wreszcie, że w jej domu jest mieszkań wiele. W czasach jak nasze, gdy wszyscy swoje wiedząc, pławia się w poczuciu



MACIEJ HEN / ARCHIWUM PRYWATNE AUTORA

słuszności, wyparowała, cytowana niegdyś na lewo i prawo, mądrość starego chasyda ostrzegającego przed „rabuśnikiem i największym łajdakiem”, jakim jest posiadacz stuprocentowej racji. Literatura tymczasem to, w swoich najciekawszych przejawach, obszar wątpliwości, istniejący nie po to, by podpieścić plemienne przekonania i utwierdzać utwierdzonych.

Służy nam, czytelnikom, bo – paradoksalnie – służby odmawia, korzystając z prawa nieodpowiadania na pytania. Chłonna i niecierpliwa jak poezja, myszkująca po obrzeżach jak esej, twórca w wielogłosowości jak przekład, i jak proza – nieszukająca poklasku w wykonywaniu własnego języka. ©

66 Jerzy Jarniewicz
**ZBAWIENNE OBSZARY
WĄTPLIWOŚCI**

67 Michał Sowiński
**NARODZINY
LITERATURY Z DUCHA
MELANCHOLII**

70 Tomasz Słomczyński
REMUSOWE ODBŁASKI

71 Martyna Budna
PROSTO DO JEZIORA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” NR 35/2021 | www.TygodnikPowszechny.pl

REDAKCJA: Michał Sowiński | OPIEKA WYDAWNICZA: Maja Kuczyńska, Marta Filipiuk-Michniewicz | PROMOCJA: Patryk Stanik, Monika Ochędowska
PROJ. GRAF. Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Jacek Taran | OKŁADKA, SKŁAD: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / DoLasu

KOREKTA: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow

Na okładce: Statuetka Nagrody Literackiej Gdynia. Autor zdjęcia: Wojciech Rojek

PARTNERZY



MECENAS
NAGRODY LITERACKIEJ
GDYNIA





Spotkanie z Jakubem Małeckim wokół książki Saturnin. Plac Grunwaldzki, Gdynia. 24 sierpnia 2020 r.

Narodziny literatury z ducha melancholii

MICHAŁ SOWIŃSKI

Gdzie indziej niż na Kaszubach, krainie sosnowego wiatru i jeziornych mgieł, mógł zamieszkać Smętek, demon melancholii?

Choć w tej kategorii trudno o jednoznaczne rozstrzygnięcie, literatura kaszubska bywa nazywana najmniejszą pośród słowiańskich, przez co nieustannie musi walczyć o swój byt. Ferdinand Neureiter, austriacki językoznawca i jeden z najwybitniejszych historyków kaszubskiego piśmiennictwa, swoją monumentalną monografię kończy dość ponurym stwierdzeniem: „Być może właśnie do literatury kaszubskiej odnosi się stwierdzenie, że ci, których ogłoszono przedwcześnie za zmarłych, żyją szczególnie długo”.

Na usprawiedliwienie posępnego tonu badacza należy dodać, że pisał to w roku 1978, gdy przelewała się kolejna, tym razem peerelowska fala antykaszubizmu, która faktycznie mogła wydawać się ostatnią. Kaszubskość bliska była ostatecznemu zamknięciu w folklorystycznym skansenie, który odwiedza się tylko, gdy nie ma się innego pomysłu na zapewnienie atrakcji dzieciom podczas brzydkiej pogody.

Klimat na szczęście się zmienił i w ostatnich dekadach kaszubskość zyskała nie tylko precedensową w swo-

jej historii swobodę rozwoju, ale również pomoc w zachowaniu i poszerzaniu swojego dziedzictwa. Niektórzy jednak twierdzą, że stało się to zbyt późno, bo pokoleniowa wyrwa jest już nie do przeskoczenia. Inni natomiast nie składają broni: wydają kolejne książki, dokonują przekładów, zakładają instytucje edukacyjne i kulturalne – słowem, robią wszystko, żeby uratować literaturę kaszubską przed folklorystycznym zwapnieniem. Kciuki od lat mam już zdrewniałe od zaciskania.

Czym jest literatura kaszubska? Aby odpowiedzieć na to pytanie, wpięram

Nie przegap!

WYBRANE WYDARZENIA
FESTIWALU MIASTO SŁOWA

ŚRODA, 25.08

Języki sprzed wieków. Spotkanie z Magdaleną Sachą, Januszem Mosakowskim i Tomaszem S. Gałązką

O tym, jak w XXI wieku oddać całą urodę języka sprzed lat dwustu, trzystu albo i więcej, nie odcinając zarazem czytelnika od przekazywanych w tym języku treści. O tym, jak wyznaczać granice stylizacji (i czy dopuszczalne są tu testy na ludziach). Magdalena Sacha opowie o kłopotach z XVIII-wieczną niemiecką. Janusz Mosakowski wytłumaczy, jakim językiem posługiwali się mieszkańcy XIX-wiecznego Gdańska, a Tomasz S. Gałązka zdradzi, co jest straszniejsze: duchy, zjawy czy żaglowce.

■ 16.00 MUZEUM MIASTA GDYNI

Spotkanie z nominowanymi do Nagrody. PROZA

Waldemar Bawotek, Dominika Horodecka, Agnieszka Jelonek, Elżbieta Łapczyńska, Andrzej Muszyński.

■ 17.30 MUZEUM MIASTA GDYNI

Spotkanie z nominowanymi do Nagrody. ESEJ

Jakub Kornhauser, Joanna Krakowska, Rafał Księżyk, Piotr Paziński, Jakub Skurtys

■ 19.00 MUZEUM MIASTA GDYNI

CZWARTEK, 26.08

Spotkanie z Mery Spolsky

„Jestem Marysia i chyba się zabije dzisiaj” to kolejna premiera tegorocznej edycji festiwalu Miasto Słowa. Mery Spolsky, znana ze swoich tekstów i piosenek, debiutuje jako pisarka. Ta bezpośrednia i osobista książka, wbrew tytułowi, tryska pozytywną energią.

■ 16.30 PLAC GRUNWALDZKI/MUSZLA

Spotkanie z nominowanymi do Nagrody. POEZJA

Cezary Domarus, Ewa Jarocka, Radosław Jurczak, Justyna Kulikowska, Natalia Malek

■ 17.30 MUZEUM MIASTA GDYNI

Spotkanie z nominowanymi do Nagrody. PRZEKŁAD NA JĘZYK POLSKI

Magda Heydel, Zbigniew Machej, Agnieszka Rembiatowska, Michał Tabaczyński, Kinga Siewior, Jakub Kornhauser

■ 19.00 MUZEUM MIASTA GDYNI

→ należy wyminąć grząski grunt „kaszubskiej tożsamości” (kto to jest Kaszuba i ilu ich właściwie jest?) – jeśli ktoś pragnie wyprawić się w ten gęsty, tożsamościowy macecznik, niech za przewodnika weźmie sobie Tomasza Słomczyńskiego i jego świeżo wydaną książkę „Kaszëbë”. Z ostrożności więc potraktuję tu kaszubskość możliwie szeroko – jako tożsamość zarówno kompatybilną (na różne sposoby) z polskością, jak i odrębną (ten wybór też ma wiele odcieni). Jako Kaszuba mniemany i raczej sezonowy, skupię się też wyłącznie na perspektywie historycznej. Dzisiejszy ozywcy ruch literacki, który da się dostrzec w wielu miejscach, jest jeszcze wciąż zbyt świeży, abym był w stanie go rzetelnie zrelacjonować – ale dzieje się i oby dziać się nie przestał.

Ekscentryczny doktor

A wszystko zaczęło się, podobnie jak w przypadku wielu innych małych literatur Europy, w połowie XIX wieku, gdy na fali entuzjazmu wzbudzonego Wiosną Ludów jak grzyby po deszczu zaczęli wyrastać budziciele lokalnych tożsamości. W przypadku Pomorza był to Florian Ceynowa – z zawodu lekarz, z powołania działacz społeczny, publicysta i badacz folkloru.

Gdyby był bohaterem powieści ze swojej epoki, określono by go zapewne jako „niespokojnego ducha”. Gdy studiował we Wrocławiu, zetknął się z legendarnym czeskim badaczem Janem Evangelistą Purkyněm, od którego zaraził się ideą panslawizmu. Z jej wariantu prorosyjskiego wyleczył się szybko, ale ogólna idea została. Na jej fundamentach wykrystalizowała się wizja narodu kaszubskiego, bratniego wobec Polski, ale jednak odrębnego. Jak wszyscy ówcześni panslawiści, Ceynowa zakładał inherentną wyższość Słowian nad zepsutymi ludami Zachodu, szczególnie germańskimi. Miał być nawet dowódcą w niedoszłym powstaniu przeciwko Prusakom, za co trafił do więzienia, a przed katowskim toporem uratowała go cesarska amnestia.

Kolejne pokolenia kaszubskich aktywistów wykorzystywały później legendę Ceynowy do najróżniejszych politycznych celów, za co przez wielu Polaków okrzyknięty został groźnym separatystą, rozbijającym narodowowyzwoleńczą jedność. Był to jednak zarzut o tyle nietrafiony, że ekscentryczny lekarz-społecznik i domorosły etnograf nigdy nie miał agendy ści-

■ Ceynowa chciał wspólnoty zbudowanej na kaszubskim duchu narodowym. Późniejsze spory o autonomię nie znalazłyby miejsca w jego wyobraźni.

śle politycznej. Zarośnięty, z długą, siwą brodą, objeżdżał kaszubskie wsie na rozpadającym się wozie, lecąc chłopów i rozdając im leki własnej produkcji (często za darmo), w zamian zbierając lokalne pieśni, baśnie i legendy. Jego celem było romantyczne z ducha sięganie do rezerwuaru kultury ludowej, idealistyczne marzenia o nowej, lepszej wspólnocie zbudowanej na kaszubskim duchu narodowym. Późniejsze spory – których echa słychać do dziś – o kaszubską autonomię nie znalazłyby miejsca w jego wyobraźni.

Aby kulturze swoich pobratymców nadać trwałą formę i zabezpieczyć ją przed rozplynięciem się w żywiole germańskim (polskim też, ale w mniejszym stopniu), stworzył alfabet zdolny udźwignąć fonetyczną specyfikę kaszubszczyzny – z pewnymi modyfikacjami obowiązującą on do dziś. Ceynowa, choć stworzył fundamenty leksykalne, sam nie miał ani talentu, ani specjalnych ciągów literackich – skupiał się przede wszystkim na żarliwej publicystyce. Jego ekscentryczny charakter nie sprzyjał także budowaniu środowiska literackiego.

Na szczęście jego misję podjął podobny mu oryginał, Hieronim Derdowski, najbardziej znany ze swojego poematu heroikomicznego „O Panu Czorlińskim co do Pucka po sece jachoł”. Derdowski nie miał jednak w sobie tego wzniosłego ognia, który był znakiem rozpoznawczym ojca-prawodawcy kaszubszczyzny. W jego twórczości, jakkolwiek ciekawej i rzemieślniczo bardzo sprawnej, dominuje ton rubasznej ludowości, gdzie najróżniejsze wątki mitologiczne mieszają się ze scenkami rodzajowymi, a wszystko doprawione jest pieprznym humorem. Być może dlatego tak długo musiał czekać na uznanie u swoich pobratymców, którzy wręcz podejrzewali go o celowe ośmieszanie kaszubszczyzny (zwłaszcza że w sporach politycznych zawsze stał bardzo blisko polskości).

Młodzi Kaszubi

W 1885 r. Derdowski wyemigrował na stałe do USA i literatura kaszubska musiała czekać całe pokolenie na kolejny zastrzyk energii. Zaaplikowali go pisarze urodzeni w latach 70. i 80. XIX wieku, a nazywani zbiorczo Młodokaszubami, między innymi: Jan Karnowski, ks. Leon Heyke oraz najważniejszy z nich, Aleksander Majkowski, twórca Towarzystwa Młodokaszubów (1912), skupiającego lokalną inteligencję i aktywistów politycznych, działającego w kontrze do otwarcie proniemieckiego Kaszubskiego Towarzystwa Ludoznawczego.

Majkowski, podobnie jak Ceynowa, zdobył rozległe wykształcenie w Niemczech, tam też nasiąknął niemieckim romantyzmem, dlatego w jego twórczości łatwo wychwycić echa Goethego czy Schillera, ale też Fritza Reutera, który swoją poezją stworzył literacki język dolnoniemiecki, wcześniej uważany za pośredni dialekt meklembursko-przedniopomorski. Majkowski odegrał podobną rolę w ewolucji kaszubskiego – udowodnił, że w języku tym można nie tylko spisywać barwne historyjki i inne etnograficzne artefakty, ale również tworzyć literaturę wysokooktanową – zakorzenioną w kaszubszczyźnie, ale uniwersalną w treści i ideach.

Takim arcydziełem, kaszubską epopeją narodową, jest powieść „Życie i przygody Remusa” („Żécë i przigòdë Remùsa”), w języku oryginalnym wydana w 1938 r. (polski przekład Lecha Bądkowskiego ukazał się dopiero w 1966 r.). Tytułowy bohater jest ubogim sierotą, parobkiem żyjącym gdzieś na krańcach kaszubskiej krainy, do tego noszącym piętno „skażonej mowy”, przez co nikt poza mieszkańcami jego maleńkiej wioski nie potrafi go zrozumieć. A mimo tego właśnie jemu zostaje powierzona misja przywrócenia świata „skry Ormuzdowej”, dzięki której Aryman, jego odwieczny przeciwnik, ma zostać wypędzony z jezior i lasów sosnowych. Tak więc już na starcie stawki są wysokie, jako że to właśnie Kaszubi, imiennikowi współzałożyciela Rzymu, przypada zaszczyt stoczenia kolejnego boju w prastarej, bo jeszcze zaratusτριαńskiej kosmogonii.

Remus jednak nie jest zwykłym herosem. Gdy go poznajemy, jest już człowiekiem starym i zniszczonym przez trudy życia, a miesiące i lata upływają mu na nieustannej wędrówce po wsiach i mia-



Florian Ceynowa

steczkach kaszubskich, gdzie sprzedaje stare książki. Obdarty i mamroczący bez sensu włoczęga, pchający przed sobą taczkę wyładowaną najróżniejszą literaturą, przez wielu uważany jest wyłącznie za niegroźnego szaleńca. Lecz on, podobnie jak jego duchowy przodek z La Mancha, ma misję do zrealizowania – szuka swojego następcy, młodzieńca o czystym sercu, który kontynuować będzie odwieczną walkę ze złem (wychodzi na to, że jest nim sam Majkowski, a przynajmniej narrator jego powieści).

Kolejne rozdziały epopei to rekapitulacja heroicznego żywota Remusa – wędrówki, którą odbył przez całe Kaszuby w pogoni za złem lub ucieczce przed nim. Czasem na swojej drodze spotyka pomniejszych chochliki, czarownice czy inne stwory z pomorsko-słowiańskiego bestiarusa, częściej jednak zwykłych chłopów, mieszczan i, szczególnie mu nieprzychylnych, pruskich żandarmów. Ten nakreślony z epickim rozmachem fresk zbiera w sobie całe ówczesne i historyczne imaginarium kaszubskie, podlane politycznym sosem przepychanek publicystycznych dwudziestolecia, w których Majkowski jednoznacznie opowiadał się za polskością swojej małej ojczyzny.

Niestety, wątki polityczne w literaturze rzadko kiedy dobrze się starzeją, czego dobrym przykładem jest jedna z personifikacji arcyłowego Arymana. W drugiej części powieści pojawia się on pod postacią cynicznego notariusza Czernika, który namawia pocziwych, ale zagubionych

Kaszubów do odsprzedawania ojcowizny pozbawionym wszelkich cnót Niemcom...

Zło przyjmuje też u Majkowskiego postać Smętka, demona o najprawdopodobniej pogańskiej jeszcze genezie, który pojawia się już w najstarszych pieśniach i podaniach kaszubskich. Majkowski niestety dokonuje tu spłaszczenia, przebijając go w chrześcijańsko-narodowy kontekst, ale nawet wtedy nie zatracą on całkowicie swojego wyjątkowego charakteru.

Duch melancholii

Smętek bowiem to demon niezwykle – gdy pozwoli mu się rozwinąć skrzydła, jak to robi choćby Lech Bądkowski w swoim „Sądzie nieostatecznym”, przemienia się nieokiełznany żywioł melancholii, którego żaden francuski flaner by się nie powstydział. Choć pochodzi z piekła, czuje wstręt do tego miejsca i chce przed nim uchronić ludzi. Rozdarty, bo niezdolny do czynienia zła (czyli działania zgodnie ze swoją naturą), odkrywa w sobie nieskończone pokłady empatii.

Tylko co taki Smętek może z nią zrobić? Kosmiczny porządek świata uniemożliwia mu czynne pomaganie ludziom, może jedynie biernie przyjmować ich smutek i cierpienie. Gest nieskończone szlachetny w swojej bezcelowości, a wręcz kontrskuteczności – melancholia odbita w jego duszy rozlewa się bowiem po świecie jeszcze szerszym strumieniem.

Każdy, kto odwiedził Kaszuby jesienią lub zimą, gdy dzień jest wyjątkowo krótki, a blade słońce rzadko wygląda zza szarych chmur, instynktownie zrozumie, że Smętek w istocie jest prawdziwym duchem tej krainy. Bo gdzie indziej niż w krainie sosnowego wiatru i jeziornych mgieł mógł narodzić się demon rozsiewający czarną żołąć?

I to właśnie z nim, o ile przymkniemy tu i ówdzie oko na publicystyczne ciagoty Majkowskiego, tak naprawdę walczy Remus. A bój to, i piszę to bez cienia ironii, iście godny mitu. Odwieczny, niezrozumiały dla ludzi postronnych, toczony na odległych i bezludnych pagórkach wyobraźni – do tego z góry skazany nawet nie tyle na porażkę, co na permanentne zawieszenie w nierozstrzygalności. Do tego heros, który walczy z obezwładniającą melancholią uzbrojony jedynie w taczkę pełną książek. Czy można wyobrazić sobie lepszego patrona literatury?

Nie przegap!

PIĄTEK, 27.08

Kaszëbë. Spotkanie z Tomaszem Słomczyńskim

Najbardziej kaszubska książka tego roku. Tomasz Słomczyński, który sprowadził się tu kilka lat temu, błąka się po Kaszubach, słucha, ogląda i węszy. Jego książka jest zapisem tych aktywności oraz próbą zrozumienia tego skomplikowanego kawałka Polski i jego mieszkańców.

■ 17.00 PLAC GRUNWALDZKI/MUSZLA

Spotkanie z Ignacym Karpowiczem

Autor powraca z książką „Cicho, cichutko”. To tekst o żałobie, o stracie, o ludzkich relacjach. Dwie historie, jedna współczesna, druga wcześniejsza, nadają tej powieści znamiona sagi, ale sagi w iście karpowiczowskim stylu, w której uwaga skupia się na ludziach, a historia toczy się w tle, wyciszona.

■ 18.00 PLAC GRUNWALDZKI/MUSZLA

SOBOTA, 28.08

Innego końca świata nie będzie.

Spotkanie z Natalią Hatałską, Zuzanną Skalską i Tomaszem Stawiszynskim

Jak będzie wyglądał świat w roku 2040? A może nie będzie wyglądał w ogóle? „Wiek Paradoksów.

Czy technologia nas ocali?”, „Co robić przed końcem świata” i „Prototyping 2040” to trzy książki, które prognozują przyszłość i mówią o współczesności.

■ 18.30 PLAC GRUNWALDZKI/MUSZLA

NIEDZIELA, 29.08

Zwrotka. Spotkanie z Jakubem Żulczykiem

„Informacja zwrotna” – najnowsza powieść Jakuba Żulczyka jest chyba najbardziej osobistą z dotychczasowych. Jak zwykle u Żulczyka znajdziemy kostium gatunku, wartką akcję, ale pod nimi kryje się coś więcej. Tym czymś więcej jest alkoholizm, choroba powszechna i powszechnie ignorowana. U źródeł tej powieści leżą lata alkoholowej męki i walki z chorobą.

■ 14.00 PLAC GRUNWALDZKI/MUSZLA

Na niektóre wydarzenia obowiązują zapisy. Część spotkań będzie transmitowana na żywo na profilu facebookowym Nagrody. Cały program dostępny jest na stronie: nagrodaliterackagdynia.pl

Remusowe odbłaski

TOMASZ SŁOMCZYŃSKI

Młodzież kaszubska jest głównie polskojęzyczna. Co zrobić, żeby chciała się uczyć kaszubskiego? Trzeba wysłać w świat informację: kaszubska kultura jest fajna i zaję... Wiadomo jaka.

To było w czerwcu, może dzieśnięć lat temu, na wyniesionej ponad łąkę górce z widokiem na lisy, sarny i wieżę kościoła w Nowej Wsi Przywidzkiej. Opasłe to miszce spoczywało na kolanach, komary gryzły, kaszubski z lewej, polski z prawej. „Życie i przygody Remusa” Aleksandra Majkowskiego, w dwujęzycznym wydaniu, pochłonęły mnie bez reszty.

Bo właśnie kaszubski wanożnik (wędrowiec), z karą (taczka) wypełnioną książkami dotarł do podobnej góry, magicznej i świętej, a było to w Noc Świętojańską. Właśnie patrzył na ludzki korowód ścinających kanię, czyli odprawiających starodawny obrzęd, który miał ich oczyścić z grzechu. Wtedy dojrzał Czernika – personifikację podstępnego demona Smętka. Miał przeciwko niemu wystąpić, by Kaszubi mogli się wyzwolić spod niemieckiego jarzma, lecz dały o sobie znać jego własne demony, nasze wspólne, wręcz archetypiczne, aktualne tak samo przed stu laty, jak i dziś: Trud, Strach i Niewarto.

Zamknąwszy powieść na ostatniej stronie, wracałem z górki oszołomiony. Nie wiedziałem jeszcze, choć może już to czułem, że przekroczyłem właśnie próg kaszubskiej checzy (chaty), że zagoszczę w niej na bardzo długo.

Minęło kilka lat, zamieszkałem w Kartuzach. Wybrałem się do biblioteki. Poprosiłem o wskazanie półki z literaturą kaszubską. Pani uprzejmie pokazała mi wypełniony po brzegi regał: Majkowski, Derdowski, Łajming. „A jest coś współczesnego?” – zapytałem. Chciałem odnaleźć remusowe odbłaski w twórczości moich rówieśników.

Było, a jakże. Literatura fantasy, obyczajowa. Jednak nie dla mnie, przybysza z Trójmiasta. Najciekawsze współczesne powieści były napisane po kaszubsku. Oczywiście, przy pomocy słownika, wkładając odrobinę trudu, mógłbym te tek-

sty odszyfrowywać, dowiedziałbym się, co główny bohater zrobił, gdzie poszedł i co zjadł na kolację. Ale nie o to chodzi. Nie miałbym przyjemności z tej lektury, nie doceniłbym melodii tej prozy, rytmu, nie dostrzegłbym zawartych w niej dwuznaczności i gry słów.

„Pisanie po kaszubsku jest najpiękniejszą rzeczą, którą dziś nasze pokolenie może po sobie pozostawić, by nasz język nie zginął” – usłyszałem od jednego z literatów i działaczy regionalnych. Trudno się z tym nie zgodzić. I rzeczywiście, wiele się dzieje w tym zakresie, ukazują się ciągle nowe pozycje, sam napisałem po polsku opowiadanie dla dzieci, które ukazało się – po przetłumaczeniu na kaszubski – w formie książeczki. To wszystko prawda i fajnie, ale... Język nie przetrwa, jeśli nie będzie używany na co dzień.

Młodzież kaszubska jest głównie polskojęzyczna. Co zrobić, żeby chciała się uczyć kaszubskiego? Trzeba wysłać w świat informację: kaszubska kultura, współczesna kultura, jest fajna i zaję... Wiadomo jaka. Ta informacja musi być zredagowana po polsku. Jeśli w Polsce bycie Kaszubą stanie się sexy i spoko, młodzi ludzie będą chętnie i z dumą odpowiadali polskojęzycznym rówieśnikom w swoim języku. A stereotyp niewykształconego Kaszubę w gumiakach i z widłami odejdzie do lamusa (mam nadzieję).

Czas więc pomyśleć o tym, żeby z kaszubską literaturą (i szerzej: kulturą współczesną, niekoniecznie ludową) wychodzić do polskojęzycznego czytelnika (odbiorcy). Pisać po kaszubsku? Tak, jak najbardziej, ale zaraz potem tłumaczyć z kaszubskiego na polski. Albo wydawać, tak jak „Remusa”, publikacje dwujęzyczne. Są bardzo potrzebne. Sam jestem na to dowodem. Gdyby niegdyś Lech Bądkowski nie przetłumaczył na polski „Remusa”, moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. ©



MICHAŁ SOWIŃSKI

Jezioro Ostrowickie w Węśiorach, październik 2020 r.

Prosto do jeziora

MARTYNA BUNDA

Nie sędzę, aby istniały miejsca nieliterackie, ale z pewnością jedne mogą lepiej, inne gorzej rezonować z wrażliwością poszczególnych autorów.

Dla mnie Kaszuby okazały się pożywką, na której wyjątkowo dobrze rosną literackie światy. Wracam w wyobraźni nad jezioro, do Garcza, wyobrażam sobie światło, dźwięki, temperaturę, zapachy, a potem już samo się dzieje.

Ale Kaszuby są też świetną pożywką dla wyobraźni. Ciekawa jest zwłaszcza historia Kartuz – jednej z siedmiu stolic regionu (spór wciąż trwa). Tysiąc lat wstecz, gdy dzisiejsza Polska obrastała grodami, tutaj wciąż rosła puszcza. Dobrze to widać na średniowiecznych mapach – sieć miast gęsto rozrasta się od południa aż po Chojnice, a potem ciągną się już tylko lasy bukowe. Trzeba je było przemierzyć, by znaleźć miejsce pod klasztor, trzeba było wykarczować drzewa, a potem

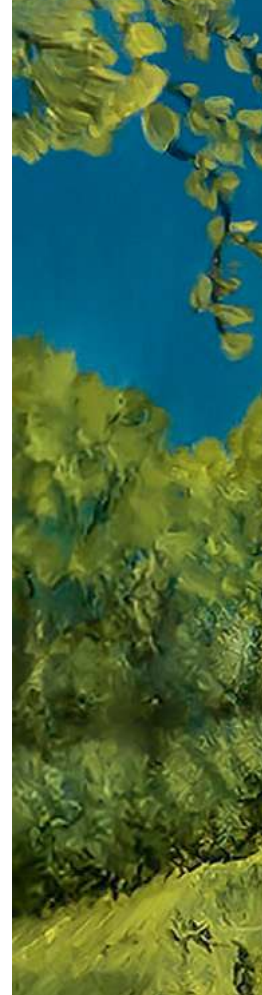
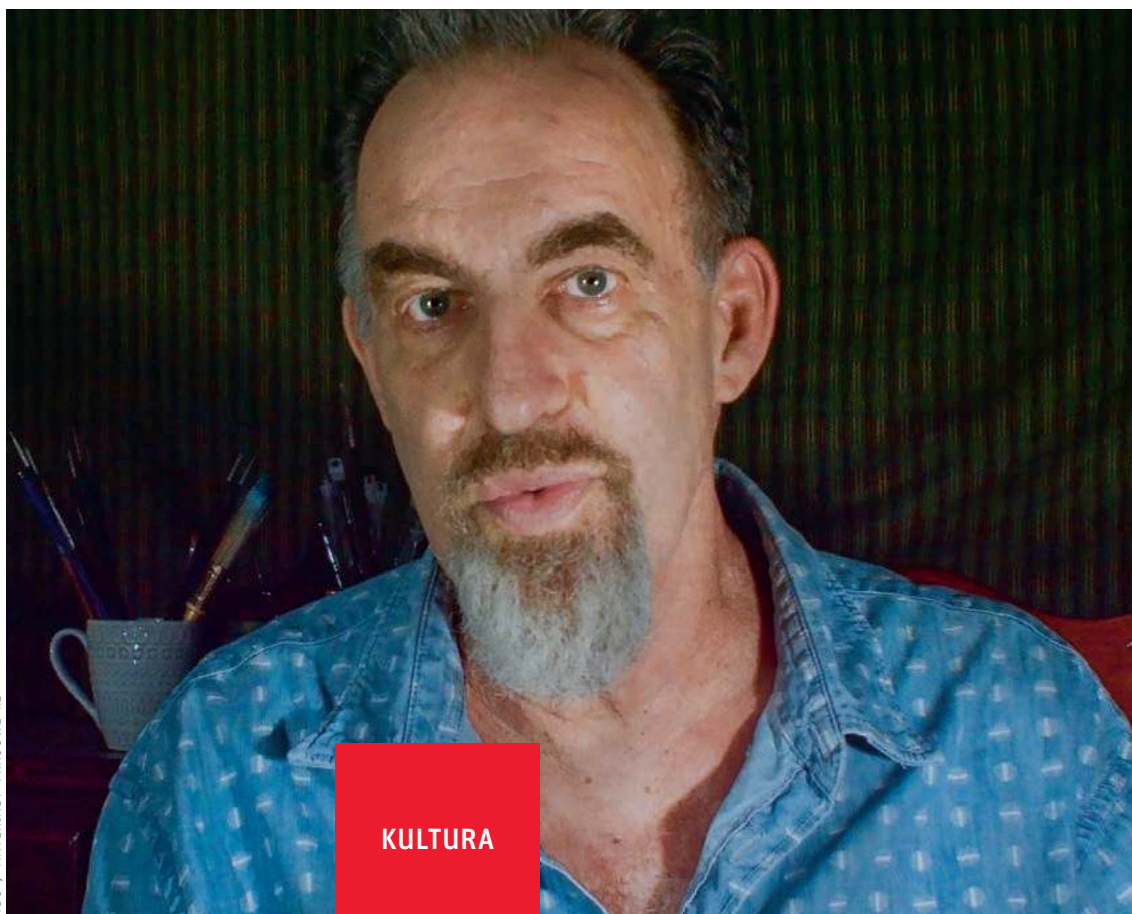
wzniesić budynki – rękami tych, którzy przedarli się przez ową puszcę. A przecież i same klasztory w XII czy XIII w. były tłem dla nieustannych eksperymentów, prowadzonych po pioniersku, bez map i przewodników. Dla poszukiwań duchowych w najgłębszym tego słowa znaczeniu.

Na *genius loci* tego miejsca składa się przyroda; Kaszuby są ostatnim miejscem na dzisiejszej mapie Polski, gdzie wciąż można dostrzec zorze polarne. Czerwona miotła – mówiono, nie bez lęku, o tym dziwnym zjawisku. Równie dużo tu słońca, odbijanego przez morze czy tafle licznych jezior, jak i wiatru czy śniegu. Ale na ducha składają się też geny; mieszanka kultur, domów i doświadczeń – wykształcone dzieci najlepszych rodów

europejskich, idące do klasztorów, osadnicy ze Skandynawii, zachodniej Europy – głównie Niderlandów, szukający ziemi, wrastający pomiędzy pomorskich Słowian.

Ważną składową jest ludzkie doświadczenie. Z jednej strony – poczucie wolności, jakie oferowano osadnikom, w czasach, kiedy w innych miejscach dzisiejszej Polski obowiązywała już pańszczyzna, ale i późniejsze, trwające wieki poczucie wyobcowania – lata ciągłego definiowania na nowo tego, co „obce” i co „nasze”.

To wszystko z pewnością jest ważne. Choć w moim przypadku waży mniej, niż intensywne wspomnienia ogrodu w Garczu, porośniętego szalwią, dziką miętą, ziemniakami i mirabelkami, spadającymi z drzew prosto do jeziora. ©



KULTURA

DO SZPIKU KOŚCI

Był już najlepiej ubranym mężczyzną świata.
I najprzystojniejszym. Teraz żyje na rajskiej wyspie,
nieskrępowanie zdiadziały. I maluje, maluje, maluje.
Albo gra.

KAJETAN PROCHYRA

OJOHNIE LURIEM PRZEZ OSTATNIE ćwierć wieku pisano głównie w czasie przeszłym, a jego życiorys był nagminnie przedstawiany wbrew jego życzeniom, jakby zaczynał się od współpracy z kultowym reżyserem Jimem Jarmuschem i występów w „Poza prawem”, albo „Inaczej niż w raju”. Gdy świat obie-gła informacja o jego chorobie – ciężkim

przebiegu boreliozy, która na kilka lat przykuła go do łóżka i zmusiła do ostatecznego odłożenia saksofonu – wydawało się, że świat popkultury uznał jego karierę za zakończoną.

„G... prawda!” – zdaje się mówić 68-letni dziś Lurie. Przed tygodniem stacja HBO potwierdziła wznowienie jego genialnego, autorskiego, improwizo-

wanego serialu „Malowanie z Johnem”. W tym samym czasie do księgarń w USA trafiły jego wspomnienia, zatytułowane „The History of Bones” – historia kości. Jego głos: niski, głęboki, spokojny, jednocześnie ironiczny, stanowczy i czuły, potrzebny jest nam może bardziej niż kiedykolwiek.

Życie na wyspach

„Wewnętrzne sanktuarium szkiców jelenia” – pod takim tytułem John Lurie opublikował 14 sierpnia na Instagramie zdjęcie swojego najnowszego obrazu. Akwarela przedstawia stado dwudziestu jeleni – a właściwie dwadzieścia jelenich głów, wyrastających z trzelemen-towych zielono-brązowo-granatowych słupków. Brązowo-różowe tło obrazu odgradza mur różnokolorowych prostokątów – może to miasto? Fawela? A może wielokolorowa broda? Obrazy Johna Luriego są pełne detali, jak plansza szalonej, onirycznej gry. Często powracają też motywy zwierzęce i roślinne. Łatwo doszukać się inspiracji w otaczającej go na co dzień tropikalnej przyrodzie karaibskiej wyspy.



John Lurie w serialu „Malowanie z Johnem”, 2021 r.

W ostatnich latach John Lurie żyje bowiem na dwa domy-pracownie-wyspy. Pierwszą jest nowojorski Manhattan, drugą rajska wyspa na Karaibach, gdzie jego chata wbita jest w gąszcz zapierającej dech, dzikiej, gęstej, oszałamiającej dżungli. Pandemia zainspirowała Luriego, by swoim internetowym obserwatorom dostarczyć odrobinę rozrywki. Artysta zamierzał nagrywać telefonem komórkowym krótkie filmiki – migawki ze swojego życia, wesołe anegdotki na czas zarazy.

Zanim jednak zdążył zrealizować swój zamiar, do gry wkroczyło HBO. Tak powstał 6-odcinkowy serial „Painting with John” (malowanie z Johnem). Tytuł nawiązuje do wcześniejszej o równe 30 lat przygody Luriego z telewizją – serialu „Fishing with John” (wędkowanie z Johnem), w którego kolejnych odcinkach muzyk zabierał na ryby jednego ze swoich sławnych kolegów – z Jimem Jarmuschem polowali na rekina, z Willemem Dafoe łowił w przerębli na północy stanu Maine, z Dennisem Hopperem wybrał się do Tajlandii na poszukiwanie kałamarzycy olbrzymiej. W nowym serialu John Lurie maluje w samotności.

Malowanie z Johnem

W roku 2000 magazyn „Vogue” uznał go za jednego z najlepiej ubranych mężczyzn XX wieku. Wcześniej, w latach 80., podczas trasy koncertowej w Niemczech, w lokalnej gazecie Lurie przeczytał o sobie, że jest „najprzystojniejszym mężczyzną świata”. Dziś, w „Painting with John” artysta paraduje w luźnych, koszykarskich spodenkach, przydużej, niewyprasowanej koszuli i papuciach. Jego fryzurę układa poduszka, a siwy zarost wyrósł na jego brodzie na własną odpowiedzialność. Na niepodległość wybiły się też jego krzaczaste brwi.

„Dziwnie jest mówić do kamery tak, jakby mówiło się do człowieka – mówi Lurie w trzecim odcinku „Malowania”. – To trudne i bardzo nienaturalne. Serdeczne słowa kierowane do obiektywu? Jest w tym coś z gruntu złego. Ludzie, którzy są w tym dobrzy, to prawdopodobnie socjopaci. Widzę, że im lepiej mi to wychodzi, tym gorszym staję się człowiekiem. Nie żartuję”.

Odcinek serialu trwa niespełna 20 minut. Wypełniają go refleksje Luriego, na pozór żartobliwe, a jednocześnie bardzo

serio. Lurie dywaguje o tym, czym jest talent, sława, wychowanie dzieci, przyjaźń. Fani jego muzycznej twórczości docenią nie tylko ścieżkę dźwiękową, opartą na nagraniu jego grupy The Lounge Lizards oraz Marviną Pontiacą, ale też liczne anegdotki z ówczesnej jego aktywności: spotkania z Barrym Whittem, kulisy sesji fotograficznej do okładki płyty „Voice of Chunk” czy przyjaźni muzyka ze słynnym kucharzem i popularyzatorem kuchni Anthonym Bourdainem.

Serial jest grą przeciwieństw. Bohater żyje na rajskiej wyspie, ale jest w tym niebie nieskrępowanie zdziadziały. Nie musi nic robić – dzień zdaje się mijać mu na wygłupach, turlaniu starych opon z pobliskiego pagórka czy rozbijaniu o drzewa kolejnych dronów – a jednak pracuje, z wielkim pietyzmem malując kolejne obrazy. Żartuje, ale nie żartuje.

„Bob Ross się mylił: nie każdy może malować – mówi Lurie w pierwszym odcinku serialu, nawiązując do kultowego edukacyjnego programu „Radość malowania”, który Ross prowadził na przełomie lat 80. i 90. – Każdy z nas w wieku trzech, czterech, pięciu lat jest artystą, ➔

→ nosi w sobie tę iskrę, która wraz z wchodzeniem w dorosłość jest w nas wygaszana: dorosła część naszego mózgu każe nam dać sobie z tym spokój. Gdy mój brat Evan był mały, wcielał się w różne postaci. Kiedy miał cztery czy pięć lat, był Rin Tin Tinem. Przez tydzień chciał jeść tylko z miski, jak pies. Moi rodzice to kupili. Wołali: »Rin Tin Tin, kolacja!«, a on przybiegał i jadł na podłodze. Kiedy indziej był Super-Myszą i latał po domu w pelerynie. Ojciec czekał wtedy na ważny telefon. Czuć było w tym niepokój: jakieś ważne zobowiązanie wobec tego gościa, który miał zadzwonić. Chodziło o pracę. Nie pamiętam dokładnie, sam miałem pięć czy sześć lat. Ale ojciec był jakby we władaniu tego faceta, który wciąż nie dzwonił. Był rok '58, może '59. Telefon wisiał na ścianie i nie dzwonił, bo prawie nikt nie miał wtedy telefonu. Jeśli już ktoś zadzwonił, to sprawa była poważna. No więc ojciec czeka na telefon. Wreszcie dzwonek. Podlatuje Evan w pelerynie, krzyczy do słuchawki: »Halo!«, a po chwili dodaje: »Nie! To Super-Mysz!« i rzuca słuchawką. Pomyślałem: »Evan, nie! Coś ty narobił? Tak nie wolno!«, ale rodzice go nie skarcili, nie wkurzyli się, bo Evan jako Super-Mysz był dla nich ważniejszy niż jakikolwiek telefon. Dzięki, że wpadliście” – kończy swoją tele-ewangeliją znad akwareli John Lurie.

Próbuję myśleć. Proszę bądź cicho

W Polsce obrazy Johna Luriego mogliśmy poznać, zanim to było modne. W roku 2015 jego monograficzną wystawę pt. „Próbuję myśleć. Proszę bądź cicho” zaprezentowała warszawska Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki. Wystawa powstała od podstaw, pod opieką polskich kuratorów: Stanisława Welbla i Karoliny Sulich.

– Karolina była zaprzyjaźniona z Johnem Luriem na Facebooku. Gdy napisał na swoim wallu, że chciałby mieć więcej wystaw, zapytała mnie o zdanie. Pracowałem wtedy w Zachęcie, a Karolina dobrze wiedziała, że od dawna fascynuje mnie twórczość Luriego – mówi „Tygodnikowi” Welbel. – Napisała więc do Johna, że jest w Warszawie kurator, który chciałby zrobić mu wystawę. Odpisał natychmiast: „Robimy!”. Projekt zaakceptowała Rada Kuratorów Zachęty i polecieliśmy z Karoliną do Nowego Jorku, by

spotkać się z Johnem i wspólnie wybrać prace na wystawę.

Mieszkanie Luriego znajduje się u styku Lower East Side i China Town. W latach 80. i 90. była tu masa różnych klubów i galerii. Teraz ta część miasta bardzo się zmienia, ale cały czas czuć jej artystyczny klimat. Jednocześnie zaraz zaczyna się trochę bardziej przemysłowe China Town – właśnie ten styk różnych części miasta jest bardzo interesujący. Samo mieszkanie Johna jest na ostatnim piętrze kamienicy. Przez duże okna i przeszkłony sufit do pracowni trafia mnóstwo światła.

– Myśmy tam siedzieli na kanapach rozparci, rozmawialiśmy i po prostu oglądaliśmy wspólnie jego prace, głównie te na papierze – wspomina Welbel.

Welbel widzi w tym podobieństwo do tworzonej wcześniej przez artystę muzyki improwizowanej: – W oleju musisz mieć wszystko zaplanowane: kolejne warstwy farby, zasychanie, potem trzeba ją zeszkrobać. Błędy są nieodwracalne. W akwaroli to wszystko jakby swobodnie płynie, jak snująca się melodia. Woda rozmyta z farbą jest też bardzo delikatną formą. Nie trzeba walczyć, ona niesie, jak z prądem. To nie przypadek, że właśnie taką wybrał technikę: ty prowadzisz, a jednocześnie trochę ten pędzel i woda prowadzi ciebie.

Na wystawie w Zachęcie pokazano kilkadziesiąt prac Johna Luriego. Scenografia była minimalna. Obrazy zawisły na białych ścianach galerii. Szkice pokazano w prostych gablotach. Wyjątkiem była otwierająca wystawę praca „Mieszkam w przedpokoju”, ustawiona tuż przy wejściu do sali, na krześle. – To chyba moja ulubiona praca Johna. Postać na białym tle z podpisem „I live in a hallway”. Obraz ten mieszka na co dzień na krześle, w przedpokoju jego nowojorskiego mieszkania.

Lurie nie żyje przeszłością. Nie chce, by jego malarstwo postrzegane było przez pryzmat jego kariery filmowej czy muzycznej, dlatego nie zgodził się, by w Zachęcie jego obrazom towarzyszyły fragmenty „Poza prawem” czy „Inaczej niż w raju” – kultowych dziś filmów, które stworzył z Jimem Jarmuschem. Wspólnie z Welblem przygotowali jednak ścieżkę dźwiękową – wybór nagrań z Lounge Lizards czy z projektu The Legendary Marvin Pontiac. Zwiedzający mogli słuchać muzyki z zestawów słuchawkowych, przez które na co dzień w galerii nada-

wane są audioprzewodniki z kuratorskim komentarzem.

– Podczas trwania wystawy byłem w Zachęcie właściwie cały czas – mówi Welbel. – Obserwowałem zwiedzających, zatopionych w muzyce i jednocześnie spoglądających na obrazy w zamyśleniu, często dłużej niż zwykle. Miało to zupełnie inną dynamikę, niż gdyby te obrazy wisiały same, w ciszy. Jednocześnie każdy, nawet jeśli przyszedł do galerii w towarzystwie, przez słuchawkę zostawał z tą twórczością sam na sam.

Historia kości

Wydane właśnie nakładem Penguin Random House „History of Bones” to wspomnienia Johna Luriego od lat 70. do początku 90. – portret artystycznej bohemy Nowego Jorku: młodych, bezkompromisowych ludzi, żyjących w biedzie, pod pierzyną z grubej warstwy kokainy. Tak jak w „Malowaniu”, Lurie snuje swą opowieść pełną rozbrajająco dowcipnej ironii, ale i empatii. Nie brak tu też gorzkich słów, refleksji człowieka, który wyszedł z nałogu nie tylko heroiny, ale – może przede wszystkim – sławy. Uwagę fanów może przykuć opis szorstkiej – mówiąc delikatnie – przyjaźni z Jarmuschem, jak i dystans Luriego do całej jego filmowej kariery.

Najważniejsza była dla niego zawsze muzyka, na co świat amerykańskiego show-businessu zdawał się patrzeć z politowaniem. Lurie opisuje m.in. walkę, jaką musiał stoczyć, by światło dzienne ujrzało jego *opus magnum*: wydana samodzielnie i dystrybuowana w Stanach za pośrednictwem... nadawanych nocą telezakupów płyta „Voice of Chunk”. Słuchając jej dziś można odnieść wrażenie, że album wyprzedził swój czas. Muzyka jest gęsta, transowa, miejscami naiwna, zabawowa, ale przede wszystkim przesycona duchowością – jakościowo ciekawsza niż wiele modnych dziś reinkarnacji spiritual-jazzu.

W bezpruderyjnej „History of Bones” dość niespodziewanie pojawia się taki fragment: „Ton mojego saksofonu jest poniekąd moim zbawieniem. Kiedy naprawdę gram, przelewa się przeze mnie modlitwa, a w zamian, w tym samym czasie, saksofon staje się moją ścieżką do Boga”. Sam Lurie nie przyznaje się jednak do żadnych innych religijnych praktyk. – Od czasu do czasu czytam na temat buddyzmu i taoizmu – opowiada.

Rozmawiam z nim, gdy nad Karaibami zachodzi wieczór. Właśnie zakończył się kolejny dzień zdjęciowy do drugiego sezonu „Painting with John”. – Złapałeś mnie w dobrym momencie. Zdjęcia poszły dobrze. Jestem naładowany.

Po premierze pierwszego sezonu „Malowania” w styczniu tego roku, mimo znakomitych recenzji w mediach, nie padła jasna informacja, czy i kiedy pojawi się ciąg dalszy. Wcześniej „Wędkowanie...” zakończyło swój żywot po 6 odcinkach, a jego podcast dla serwisu internetowego VICE po trzech.

– HBO w cudowny sposób trzyma ręce przy sobie i pozwala mi robić to, co chcę – mówi Lurie, dodając, że ostatnio pracuje po 20 godzin dziennie: jednocześnie nagrywając serial oraz audiobookową wersję „The History of Bones”. – Kiedy wróciłem na wyspę, wyglądałem strasznie. Nie spałem dosłownie od tygodni. Widać to było w kamerze, kiedy próbowaliśmy nagrywać. Gigantyczne ciemne wory pod oczami – wyglądało to tak, jakby program prowadził szop prac. Z tego, co nakręciliśmy dotąd, najbardziej cieszy mnie Kowboj Beckett. Trochę trudno to wytłumaczyć... Ann Mary i Nesrin [asystentki Luriego] w strojach kowbojskich wjeżdżają konno na plan i wygłaszają monologi *non sequitur*. Nie widziałem jeszcze tego materiału, więc nie wiem, jak wypadło, ale z pewnością będzie to coś nowego. W całej historii telewizji – dodaje Lurie z przekąsem.

W drugim sezonie usłyszymy też zupełnie nową muzykę artysty: – Napisałem utwory dla innych muzyków po raz pierwszy od 22 lat!

Gigi na jet lagu

Polskim akcentem w „The History of Bones” jest wspomnienie koncertu w Warszawie z początku lat 90. Znów – podobnie było choćby z Johnem Zornem – jazzowemu artyście dali się we znaki fotografowie.

„Było ich z pięćdziesięciu – pisze Lurie – Wszyscy stoją pod sceną i walczą ze sobą o pozycję, a dokładnie o to, który z nich zajmie tę najgorszą: w samym środku, z obiektywem wymierzonym prosto w moje nozdrza. Próbowałem wytłumaczyć im, że gdyby zechcieli ruszyć się w prawo lub w lewo, mieliby lepsze ujęcie, ale zdawali się mnie nie rozumieć. Zeskoczyłem więc ze sceny. Chciałem namówić któregoś z nich, by to on stanął



MEPHISTO / DALLE / EAST NEWS

La Villette, Paryż, 1986 r.

JOHN LURIE:

Brzmienie mojego saksofonu
jest moim zbawieniem.

Kiedy gram na serio, przelewa
się przeze mnie modlitwa.

W zamian saksofon staje się
moją ścieżką do Boga.

na scenie, a ja zrobię mu zdjęcie. Może gdy wywoła kliszę i zobaczy portret własnych nozdrzy, zakończy się ten straszny proceder przedstawiania mnie jako chomika z wolem tarczycy. Żaden jednak nie chciał oddać mi aparatu. Stoję więc teraz pod sceną, otoczony zewsząd fotografami, którzy robią mi zdjęcia. Scena okazała się być wyższa, niż się spodziewałem. Cała widownia ogląda moją niezdatną próbę wdrapania się z powrotem. Pierwsze pięć minut koncertu wygląda marnie, gdy nagle ktoś łapie mnie od tyłu. Mam przy sobie saksofon, a instynkt, by chronić go za wszelką cenę, jest we mnie głęboko pierwotny. Nie wiem, kto jest za mną i jakie

są jego intencje. Wystawiłem więc łokieć. Biedna dziewczyna poleciała do tyłu, na ludzi siedzących w pierwszym rzędzie”.

– Naprawdę jej nie uderzyłem – uzupełnia teraz Lurie. – To była bardzo młoda kobieta, która chciała wyrazić swoje uczucie w bardzo wylewny sposób. Odwróciłem się i widziałem, jak ląduje. Czułem się z tym strasznie. Z jakiegoś powodu właśnie w Warszawie często zaczynaliśmy trasy koncertowe. Były to więc gigi jet lagu: przylatujemy [z USA] poprzedniego wieczora, nie możemy spać przez różnicę czasu. Jeden z tych koncertów można zobaczyć na YouTube. Jakość dźwięku jest straszna. Na początku muzyka jest całkiem w porządku, ale po chwili przychodzi ten moment, który zawsze towarzyszy gigom na jet lagu, czyli dwie osoby zwalniają, a dwie inne przyspieszają. Nieważne, jak bardzo bym się starał, za nic nie jestem w stanie skleić ich rytmicznie. Jet lag bierze ich w swoją moc, a ja muszę z nią walczyć, co porównać można do prób powstrzymania 5-latka przed zaśnięciem podczas 10-godzinnej podróży samochodem. Ale oczywiście pamiętam też ciepło bijące od publiczności w Warszawie. Naprawdę. Pamiętam też, że ekipa telewizyjna była wyjątkowo irytująca i pozbawiona jakiegokolwiek szacunku dla muzyki.

Pytam: – Trudno nie doszukiwać się w twoim wyjeździe na karaibską wyspę i tworzeniu na papierze i płótnie własnych światów pewnego eskapizmu. Z drugiej strony nie uciekasz od komentarzy politycznych, choćby w internecie. Niedawno porównałeś zdjęcia lotniska w Kabulu z Sajgonem z 1975 r. Wiem, że ważny jest dla ciebie kryzys klimatyczny. A co daje ci nadzieję?

– Istoty ludzkie potrafią być często horrendalnie samolubnymi stworzeniami, pełnymi nienawiści, ale widziałem też ludzi, którzy w nagłych sytuacjach potrafią wstać i zatroszczyć się o drugiego, robić nadzwyczajne i bezinteresowne rzeczy – to oni przynoszą mi nadzieję. Niedawno, któreś nocy oglądałem film, w którym wykorzystano XIV sonatę fortepianową Beethovena. Zatrzymałem film i poszedłem posłuchać jej jeszcze raz. Nie mówię o początku, który wszyscy znają, ale o tym miejscu w połowie, w którym staje się ona naprawdę muskularna. I myślę sobie: cholera jasna, człowiek to stworzył. I to daje mi nadzieję – odpowiada. © KAJETAN PROCHYRA



PIOTR LIGIER / MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Anna Bilińska (1854–1893), *Autoportret niedokończony*, 1892 r.

Portret własny

PIOTR KOSIEWSKI

Przedstawia siebie w stroju do pracy. Stoi z paletą i pędzlem. Postać odcina się od ciemnego, jednolitego tła. Bilińska patrzy wprost na widza, twardo, zdecydowanie. Jakby chciała dobitnie podkreślić: jestem malarką.

A NNA BILIŃSKA ZACZYNA MAŁOWAĆ autoportret w 1892 r. Zamówił go wybitny kolekcjoner hr. Ignacy Korwin-Milewski, w którego zbiorach znajdowały się obrazy zaliczane dziś do ści-

słego kanonu polskiej sztuki, m.in. „Babie lato” Józefa Chełmońskiego, „Trumna chłopska” Aleksandra Gierzymskiego i „Stańczyk” Jana Matejki. Poprosił grono wybitnych twórców, m.in. Gie-

rymskiego, Jacka Malczewskiego i Matejkę o namalowanie swoich wizerunków. Anna Bilińska była jedyną kobietą w tym gronie.

Artystka niedawno wyszła za mąż za Antoniego Bohdanowicza. Miesiąc miodowy spędzili w modnym wówczas Dieppe. Po powrocie do Paryża zamieszkali w nowym, większym mieszkaniu, zajmowanym wcześniej przez zmarłego niedawno wybitnego pisarza Ernesta Renana. Jednak oboje zamierzają przeprowadzić się do Warszawy. Bilińska planuje otwarcie szkoły malarskiej dla kobiet. Myślała o tym od dawna. W liście do bliskiego jej, przedwcześnie zmarłego malarza Wojciecha Grabowskiego pisała, że „potrzeba nam jej koniecznie, bo dotychczas nie ma żadnej do uczenia się na serio, a chęci i nawet zdolności, jak wszędzie, dużo”.

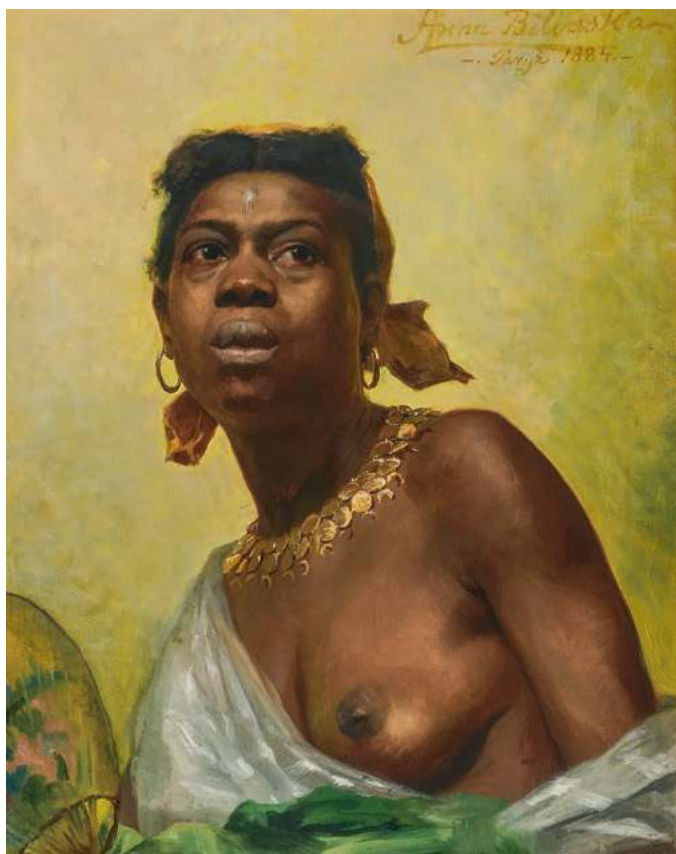
Autoportret ma ukończyć w październiku. Przedstawia siebie w stroju do pracy. Stoi z paletą i pędzlem. Postać odcina się od ciemnego, jednolitego tła. Patrzy wprost na widza, twardo, zdecydowanie. Jakby chciała dobitnie podkreślić: jestem malarką. Obraz nie został jednak ukończony. W lipcu 1892 r. pogarsza się jej zdrowie. Bohdanowiczowie wyjeżdżają do Warszawy. Anna nadal wystawia, ale nie może już malować. 8 kwietnia 1893 r. w wieku 39 lat umiera.

O jej dorobek zadba Antoni Bohdanowicz, szereg prac ofiaruje warszawskiemu Muzeum Sztuk Pięknych (dziś Muzeum Narodowe), a w 1924 r. wyda książkę „Anna Bilińska. Kobieta, Polka i artystka”, w której znalazły się fragmenty dzienników i listów malarki.

Być malarką

Wystawa prac Bilińskiej w warszawskim Muzeum Narodowym imponuje – zebrano na niej około 120 obrazów, akwareli, pasteli i rysunków pochodzących z polskich i zagranicznych muzeów oraz z kolekcji prywatnych. Wiele dotąd nieznanych lub od lat publicznie niewystawianych. Są tu też zdjęcia, dokumenty archiwalne i pamiątki po artystce.

Bilińską doceniono za życia – jej prace były wystawiane i nagradzane. O randze zaświadcza też teksty ogłoszone w prasie po jej śmierci. Wreszcie – jako jedna z nielicznych artystek była stale obecna w opracowaniach polskiej sztuki XIX wieku oraz w salach muzealnych, a jej



Studium kobiety (historyczny tytuł: Murzynka), 1884 r.



Półakt męski, 1885 r.

KRZYSZTOF WILCZYŃSKI / MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE x2

portrety weszły do kanonu naszego malarstwa. Nie była więc, wbrew pojawiającym się przy okazji tej wystawy głosom, twórczynią zapomnianą.

Warszawska ekspozycja wprowadza do wizerunku artystki istotne korekty. Pozwala zobaczyć różnorodność jej twórczości. A też – co najważniejsze – pokazuje proces kształtowania się Anny Bilińskiej jako artystki, jej naukę, strategię i wybory estetyczne oraz sposób budowania kariery. Wreszcie umieszcza jej twórczość i życie w kontekście społecznym i instytucjonalnym, zdobywania przez kobiety możliwości tworzenia sztuki. Najważniejsze nie jest bowiem pytanie: czy była wielką artystką, lecz w jaki sposób budowała swą podmiotowość jako kobieta-twórczyni.

Urodziła się w 1854 r. w Złotopolu, nadgranicznym mieście przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Potem rodzina przenosi się do Wiatki, położonej w środkowej Rosji. Tam Anna pobiera lekcje u przebywającego na zesłaniu Michała Elwiro Andriollego, w przyszłości znanego autora ilustracji m.in. dzieł Adama Mickiewicza i Józefa Ignacego Kraszewskiego. Wreszcie w 1875 r. z matką i rodziną osiada w Warszawie. Dalej

się uczy. Uczęszcza na lekcje rysunku i malarstwa dla kobiet prowadzone przez Wojciecha Gersona. Zaczyna regularnie wystawiać swoje prace.

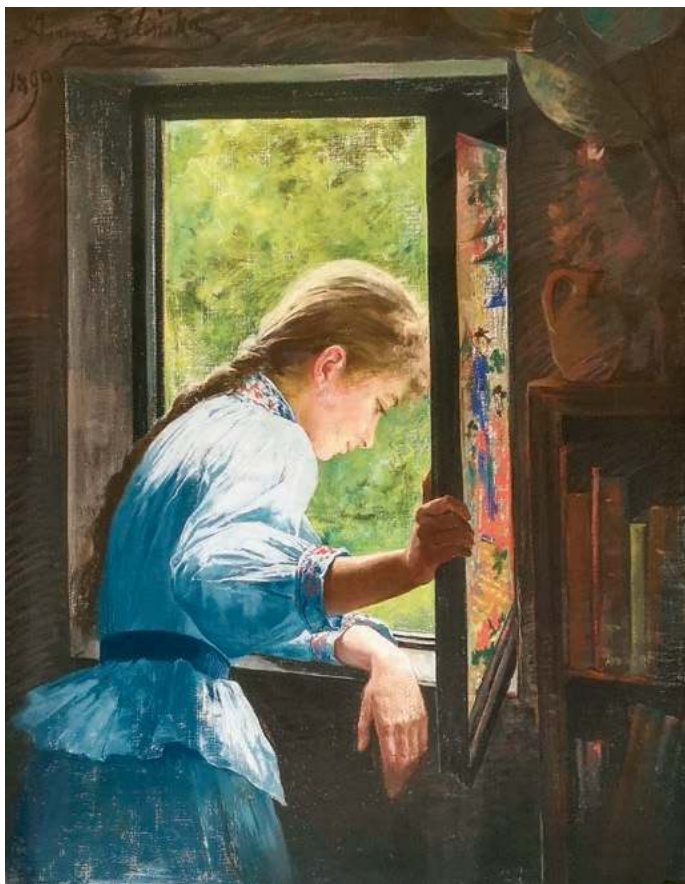
Przełomowy okaże się rok 1882. 28-letnia artystka decyduje się na wyjazd do Paryża. I tam ponownie zaczyna studia. Wstępuje do Académie Julian. W działającej od 1868 r. prywatnej szkole malarzkiej (tylko takie były dla kobiet dostępne), założonej przez cenionego malarza Rodolphe'a Juliana, kobiety i mężczyźni mieli podobny program studiów. Jego podstawą był rysunek nagiego modela. To był ewenement, bo szkoła Juliana umożliwiała to, co długo pozostawało poza zasięgiem kobiet: zdobycie wykształcenia według akademickich zasad, których podstawą była dobra znajomość ludzkiego ciała. Dawała zatem umiejętności, które pozwalały im lepiej funkcjonować w świecie artystycznym. Zatrudniała zresztą uznanych, oficjalnych malarzy, z Williamem-Adolphem Bouguereau na czele.

Académie Julian poświęcono na wystawie szczególną uwagę. W jednej z muzealnych sal zrekonstruowano nawet pracownię, w której znalazły się gipsowe odlewy, sztalugi i taborety pocho-

dzące z akademii oraz, co najważniejsze, szkolne prace. Uczennicami Akademii były m.in. urodzona na Ukrainie i coraz bardziej dziś ceniona Marija Baszkircewa, wybitna amerykańska malarka Cecilia Beaux, najwybitniejsza niemiecka rzeźbiarka i graficzka Käthe Kollwitz, a w późniejszym okresie pionierka modernizmu, projektantka Eileen Gray i należąca do ścisłego kanonu współczesnej sztuki Louise Bourgeois.

Akademia wpłynęła także na polską sztukę, zwłaszcza tworzoną przez kobiety – pierwszą była przyjęta w 1880 r. Zofia Stankiewicz. Polki potrafiły wykorzystać możliwości, jakie stwarzała stolica Francji. Wacław Gąsiorowski w tekście opublikowanym w 1913 r. na łamach warszawskiego „Tygodnika Ilustrowanego” zauważał nawet: „Ilość dzieł artystek Polek na wystawach paryskich jest stosunkowo trzy razy większa niż artystów Polaków”.

W Académie Julian artystki były zachęcane do udziału w szkolnych konkursach. Bilińska w 1884 r. zaprezentowała „Portret damy z lornetką”. Odniosła sukces. W liście do przyjaciółki Klementyny Krasowskiej donosiła: „udało mi się; na naszym wielkim konkursie dostałam Nr 2”. ➔



Ulica Unter den Linden w Berlinie, 1890 r.
Obok: W oknie, 1890 r.



→ I podkreślała, że to ważne wyróżnienie, bo „w tym konkursie brali udział wszyscy uczniowie, i z męskich szkół, a są między nimi bardzo mocni – tacy, co już byli odznaczani na wystawach i konkursach rządowych”. I dodawała: „Z kobiet prócz jednej jeszcze Angielki (Nr 6) nie utrzymała się żadna”. A sam obraz w tym samym roku został zakupiony przez warszawskie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych.

Własne miejsce

Często opisywano trudne warunki, jakie musiała w Paryżu znosić artystka – po utracie w 1881 r. części oszczędności przez rodzinę. O biedzie, jakiej doświadczała, przejmująco pisała po jej śmierci Maria Konopnicka. A Józef Chełmoński w swym wspomnieniu nazwał Bilińską męczenniczką i kapłanką sztuki. Warunki życia zapewne przyczyniły się do pogłębienia jej problemów ze zdrowiem. Ale wystawa pokazuje przede wszystkim inne oblicze Anny Bilińskiej – artystki, która dobrze poznała reguły rządzące ówczesnym światem sztuki.

Bardzo świadomie wybierała miejsca, w których wystawiała – przez cały pary-

ski okres dbała też o obecność swych dzieł w rodzinnym kraju. Zabiegała o udział w konkursach. Przemysławianie budowała swoją karierę. Zdawała sobie sprawę ze znaczenia tego, co bywa określane jako *publicity*. Prowadziła nawet „Mémorial” – album, do którego wklejała recenzje prasowe i fotografie dzieł, pamiętając o tym, jakie znaczenie ma dla artysty dokumentacja dorobku.

Académie Julian dawała podstawy do tworzenia obrazów historycznych czy mitologicznych. One też były najwyżej oceniane w ówczesnych akademickich hierarchiach. Bilińska próbuje swych sił. W Muzeum Narodowym pokazano szereg studiów, m.in. do historii Agrypiny. Dziś te obrazy i rysunki, podobnie jak wiele innych akademickich prac, są przede wszystkim dokumentacją artystycznej edukacji artystki. Jednak nawet one przykuwają uwagę, zwłaszcza studia modeli, w których kobieta patrzy i przedstawia męskie, do tego niekompletnie ubrane, ciało. Lecz ostatecznie, podobnie jak wiele innych malarzek tego czasu, zajęła się portretem. I w nim osiągnęła mistrzostwo. Jej wizerunki, jak

pisał na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” w 1893 r. Czesław Jankowski, to odtworzenie „prawdy, nieokiełznanej niczym”.

W 1887 r. tworzy „Portret własny”. Przedstawia siebie, podobnie jak w późniejszym autoportrecie jako profesjonalną malarzkę: w czarnej sukni i fartuchu. Przysiadła na krześle, ale w rękach nadal trzyma pędzle i paletę. Bilińska wystawia obraz na paryskim Salonie. I odnosi sukces – zostaje nagrodzona medalem trzeciej klasy. To początek jej kariery artystycznej, także międzynarodowej, a Ignacy Łopieński tworzy graficzną reprodukcję obrazu, co przyczynia się do jego rozpowszechnienia w kraju.

W kolejnych latach tworzy szereg portretów, zwłaszcza francuskiej burżuazji. Wiele z tych obrazów zaginęło. Udało się natomiast wypożyczyć na warszawską wystawę portret George’a Greya Barnarda z 1890 r. To niezwykle dzieło, imponujące także rzadkimi w przypadku portretu rozmiarami – 2,6 na 1,7 metra! Namalowała amerykańskiego rzeźbiarza, jednego z pierwszych przedstawicieli symbolizmu, w pracowni. Młody, dobrze

zbudowany mężczyzna, o czarnej bujnej czuprynie przysiadł przy modelu gipsowym tworzonej właśnie rzeźby. W ręku trzyma bryłę gipsu. Jakby na chwilę prze-rwał pracę nad swym dziełem.

Inna Bilińska

Na wystawie jest też Bilińska – autorka pejzaży. To mniej znane oblicze artystki, chociaż jej obraz „Ulica Unter den Linden” z 1890 r., przedstawiający zamgloną berlińską aleję, cały utrzymany w szarościach, jest jednym z arcydzieł polskiej sztuki. Warto przyrzeć się innym, mniej znanym krajobrazom, malowanym szybko, czasami pozostawionym na etapie po-bieznego szkicu. W tych pracach najlepiej widać, jak uważnym i czułym była Bilińska obserwatorem.

Zaczyna sięgać też po pastele. Tu także osiąga niezwykłą biegłość, chociaż dziś niektóre prace wykonane tą techniką rażą przesadną tkliwością. Ale to właśnie w pastelu stworzyła jedno z najbardziej niezwykłych dzieł: „W oknie” (1890). Dziewczyna wygląda na rozświetlony słońcem ogród. Jej sylwetka wyraziście odcina się od intensywnej zieleni, a szyby uchylonego okna przesłania kolorowy japoński szablon. Jakże to inny obraz od większości stworzonych przez Bilińską! Zaskakująco nowoczesny: poprzez temat, sposób kadrowania, użyte barwy i opero-wanie światłem.

Ona jednak nie chciała być nowatorką. Nie rozumiała poszukiwań impresjoni-stów. W liście do Wojciecha Grabow-skiego w 1884 r. przy okazji wystawy Maneta pisała: „Dotąd słyszałam tylko o tych cudakach, a teraz przekonałam się na własne oczy o ich idiotyzmie. Trudno sobie coś bardziej śmiesznego, dziecin-nego i niedołęznego przedstawić”. Może też trudno było jej odrzucić wszystko to, czego nauczyć się tak bardzo pragnęła i co wreszcie – będąc kobietą – z tak dużym wysiłkiem osiągnęła.

Do końca pozostała wierna akade-mickim zasadom, z ich prymatem sta-rannego wykończenia obrazu i klasycz-nym rysunkiem. Na paryskim Salonie w 1893 r. wystawia „Portret młodej ko-biety z różą w ręku” (1892). Przedstawiła ją w czarnej sukni, z którą kontrastuje duża biała kokarda zawiązana pod szyją. To znów obraz wykonany z wielką precy-zją, wręcz wirtuozerią. Po śmierci artystki na wystawie przybrano go czarną krepą. To było jej artystyczne pożegnanie.



PAWEŁ CZERNICKI / PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE

Portret własny, 1887 r.

Czas rewizji?

Zmiana kanonu sztuki, zwłaszcza zwró- cenie uwagi przede wszystkim na nowa- torstwo, zepchnęło malarstwo salonowe na margines. W przypadku artystek oka- zało się to szczególnie dotkliwe – proble- mem nie było jedynie ograniczanie im dostępu do edukacji oraz męska domi- nacja w świecie sztuki, lecz także proces zapominania czy wymazywania z histo- rii sztuki nawet tych, które w swoich cza- sach osiągnęły znaczne sukcesy.

Rehabilitacja w ostatnich dekadach oficjalnej sztuki XIX wieku – spektaku- larnym przykładem było otwarcie pary- skiego Musée d'Orsay, w którym znalazło się miejsce dla akademizmu – nie zmie- niła hierarchii artystycznych. Nadal to niecenieni przez Bilińską impresjoniści oraz inni nowatorzy są w centrum zain- teresowania publiczności. I dopiero zwró- cenie uwagi na twórczość kobiet może wymusić inne spojrzenie na sztukę ofi- cjalną tworzoną w XIX wieku.

Warszawska wystawa – jeżeli zostanie przemysłana – wpłynie też na postrze- ganie twórczości polskich artystek. Może przyspieszyć odkrywanie zapomnianych

dziś twórczyń oraz wpłynąć na kanon polskiej sztuki – nie tyle go zrewiduje, co poszerzy o nieobecne bądź marginalizo- wane długo zjawiska.

Znamienny jest wreszcie tytuł wy- stawy: „Artystka. Anna Bilińska 1854– –1893”. Nie tylko podkreśla, co ona i wiele innych kobiet dzięki swojemu uporowi osiągnęły. Ale też przywraca ar- tystce podmiotowość.

Bilińska przez całe życie sygnowała swoje obrazy rodzimym nazwiskiem i tylko ostatni autoportret podpisała także nazwiskiem męża (nie ma zresztą pewności, czy to nie dopisek wykonany po jej śmierci). Potem jednak w historii sztuki stała się Anną Bilińską-Bohdano- wicz, a nawet Anną Bohdanowicz, jakby to małżeństwo miało ostatecznie zdefi- niować jej publiczny wizerunek.

© PIOTR KOSIEWSKI

ARTYSTKA. ANNA BILIŃSKA 1854–1893,
Warszawa, Muzeum Narodowe,
wystawa czynna do 10 października br.,
kurator: Agnieszka Bagińska,
Renata Higersberger.



YOU TUBE / EAST AFRICAN RECORDS

MC Yallah w klipie do piosenki z płyty „Mpambana”, 2018 r.

Przemożna żądza tańca

JAN BŁASZCZAK

Reporterka rapująca wiadomości na telewizyjnej antenie, autorka eksperymentalnego albumu „Kubali” i weteranka ugandyjskiego hip-hopu, MC Yallah wystąpi 26 sierpnia na warszawskim festiwalu Ephemera.

TWÓRCZOŚĆ MC YALLAH TO KOLEJNY dowód w sprawie: najciekawsza muzyka elektroniczna powstaje dziś w Afryce Wschodniej. Klubowy Berlin, Detroit czy Chicago już dawno oddały palmę pierwszeństwa. Co nie powinno dziwić – w końcu mówimy o najmłodszym kontynencie. Gdzie indziej miałyby rozwijać się nowa, zapraszająca do tańca muzyka?

W ubiegłym roku „The Guardian”, pisząc o rosnących w siłę gatunkach takich jak afrohouse, gqom czy amapiano, konstatała, że najbardziej ekscytującą sceną klubową może pochwalić się Republika Południowej Afryki. Rzeczywiście, minimalistyczna, basowa muzyka tworzona przez pochodzących z Durbanu producentów odbiła się szerokim echem w świecie. Jednak prawdziwa rewolucja w muzyce tanecznej zrodziła się kilka tysięcy kilo-

metrów na północ od wschodniego wybrzeża RPA. Tworzą ją młodzi tancerze i ugandyjscy artyści związani z mieszającą się w Kampali wytwórnią Nyege Nyege Tapes, której nazwę można przetłumaczyć jako „przemożna żądza tańca”.

Nyege Nyege powstała z inicjatywy dwóch imigrantów: mającego grecko-ormiańskie korzenie Arlena Dilsiziana oraz Dereka Debru – obywatela Belgii, dla którego przeprowadzka do Ugandy była powrotem w rodzinne strony. „Moja babcia – mówi Debru – urodziła się w Burundi jako córka kolonizatora i miejscowej kobiety, lecz w wieku sześciu miesięcy została im odebrana jako jedno z tzw. skradzionych dzieci. Ponad 20 tysięcy dzieci z mieszanych związków zabrano siłą rodzicom, dopiero niedawno belgijski rząd za to przeprosił. Przeprowadziłem się do Afryki Wschodniej trochę przypadkiem,

jednak moje pochodzenie na pewno miało na to wpływ”.

Dilsizian i Debru pracowali razem w szkole filmowej w Kampali. Szybko się okazało, że ich prawdziwą miłością jest muzyka. Dzięki cyklowi klubowych imprez o nazwie Boutiq Electronique stopniowo wsiąkali w scenę afrykańskiej muzyki tanecznej. Zawiązał się kolektyw Nyege Nyege, który od 2015 r. prowadzi studio nagrań, organizuje rezydencje artystyczne oraz festiwal. Jako wydawcy Dilsizian i Debru już w 2017 r. osiągnęli sukces dzięki nagraniom Otima Alphya, zespołu Nihiloxica czy składanki „Sounds of Sisso”. Związani z Nyege Nyege artyści coraz częściej pojawiają się w europejskich klubach i na modnych festiwalach.

Mieszkająca w Kenii ugandyjska rapperka MC Yallah, która zagra wkrótce na bezpłatnym koncercie w ramach warszawskiego festiwalu Ephemera, podczas swojej pierwszej europejskiej trasy w 2019 r. wystąpiła na krakowskim festiwalu Unsound. „Grałam w sali, która nazywała się Kuchnia, gdzie bardzo szybko zrobiło się gorąco i dziko. Byłam mocno zaskoczona, że ludzie znali moje piosenki, a czasami nawet ich słowa. Ten koncert to było szaleństwo!” – wspomina.

Rapporterka z kraju poliglotów

Jak wielu twórców związanych z Nyege Nyege, Yallah Gaudencia Mbidde przysgodę z muzyką rozpoczęła w dzieciń-

stwie: „Jako dwunastolatka byłam zastępcą w kawałkach Missy Elliott, Bustę Rhymesa, Lil' Kim i Tupaca. Amerykański hip-hop dał mi impuls, by samej zacząć robić tę muzykę”.

Zdaniem MC Yallah na ugandyjskiej scenie lat 90. to był standard. Wielu raperów próbowało imitować amerykańskie gwiazdy. Nie brakowało wśród nich talentów, ale ich muzyka była surowa i nie miała szans zaistnieć w głównym nurcie. Wśród weteranów ugandyjskiej sceny spotykających się w klubie DV8 w Kampali były też kobiety. Rapowały Lady Slyke, Prossy Patra i oczywiście MC Yallah.

Przez lata wydawało się, że dla tej ostatniej była to krótka przygoda. Na początku XXI w. Mbidde zawiesiła karierę. Skupiła się na wychowaniu dzieci, zbliżyła do Kościoła i próbowała swoich sił w muzyce łączącej hip-hop i gospel. Gdy jej synowie trochę podrosli, raperka jednak wróciła na scenę. W 2009 r. znów stało się o niej głośno. Piosenka „Abakyaala” cieszyła się popularnością w ugandyjskich mediach, zapewniając raperce nominację do prestiżowej nagrody Diva Award. Prawdziwy przełom nastąpił jednak cztery lata później, kiedy poznała Debru: „Zaprosił mnie do współpracy przy programie »NewzBeat«. Co tydzień prezentowałam newsy na antenie publicznej telewizji, rapując je w języku luganda i po angielsku”.

Praca „raporterki” nie tylko przyniosła jej popularność, ale także poskutkowała zaproszeniem na festiwal Nyege Nyege oraz do współpracy nad płytą. Kiedy rozpoczęła pracę nad swoim wyjątkowo późnym debiutem z rezydującym w Berlinie producentem Debmaterem, katalog ugandyjskiej wytwórni zdążył rozrosnąć się do takich rozmiarów, że wymagał uporządkowania. Wydawcy stworzyli więc pododdział Hakuna Kulala koncentrujący się na eksperymentalnej muzyce klubowej. Właśnie w jego katalogu ukazało się „Kubali”.

Każdy, kto utożsamia muzykę afrykańską z ciepłymi, organicznymi brzmieniami, będzie mocno zaskoczony efektem nagrań MC Yallah i Debmatera. Raperka przebija się przez połamane, chropowate, niepokojące elektroniczne bity. Nie tylko świetnie sobie radzi z tymi wybijającymi, świdrującymi w głowie produkcjami, ale rapuje do nich, przeskakując pomiędzy angielskim, suahili, luganda i luu. „Uwielbiam rapować w różnych językach, bo

dzięki temu docieram do różnych społeczności – tłumaczy. – Znacznie poszerzam sobie też zasób słów oraz melodii przynależnych do danego języka. Wreszcie, taki zabieg podkreśla wielką różnorodność mojego kraju”.

Biorąc pod uwagę, że raperka mieszka obecnie w Kenii, jej twórczość i tak nie trafi do wszystkich krajanów, którzy według oficjalnych danych posługują się ponad czterdziestoma językami.

Tańczenia

Największy rozgłos przyniosła Nyege Nyege muzyka nagrywana w innym z sąsiadujących z Ugandą państwie. Szaleńcze tempa nagrań młodych tanzańskich producentów rozślawiły scenę Dar es Salaam.

„Singeli zrodziło się kilkanaście lat temu w studiach dzielnicy Mburahati, gdzie młodzież poszukiwała własnego brzmienia – tłumaczy Debru. – Ostatecznie odnalazła je, przyspieszając rytmy lokalnych gatunków muzycznych takich jak sebene, taarab czy mchiriku. Zrodził się nowy, absolutnie zaraźliwy styl, który najpierw zajął tanzańską scenę, a potem ruszył na podbój świata”.

W porównaniu z singeli, uderzającym z częstotliwością przekraczającą 200 bitów na minutę, klasyczne berlińskie techno zaczyna przypominać mruczanki Leonarda Cohena. Istotne jest nie tylko tempo bitu, ale także prędkość, z jaką próbują za nim nadążyć tanzańscy raperzy. Nastoletni nawijacze, którzy przy akompaniamencie groteskowo przefiltrowanych sampli i zniekształconych, zapętlonych melodii opowiadają o radościach i troskach życia na ulicach Dar es Salaam. Ci, którzy robią to najlepiej, stają się gwiazdami krajowej sceny.

Debru twierdzi, że pomimo eksperymentalnego charakteru singeli raperzy tacy jak MC Kidene czy MCZO występują w swojej ojczyźnie na pełnych stadionach. Potwierdza to Kenijczyk James „KMRU” Kamaru, wschodząca gwiazda muzyki ambient: „Fakt, że singeli jest bardzo mocno zakorzenione w tradycyjnej muzyce tanzańskiej oraz nagrywane przez lokalnych producentów, sprawia, że te nagrania trafiają do mas. Zwłaszcza do młodego pokolenia, które zna pochodzenie tych melodii, ale dostaje je w nowym klubowym wydaniu”.

Tego kontekstu brakuje europejskim odbiorcom. Początkowy szok szybko jednak ustępuje euforii napędzającej prze-

możną żądę tańca. Tanzański fenomen szybko doczekał się analiz. Na anglojęzycznych portalach pisano o nim jako o »klubowej scenie przyszłości« i »najbardziej szalonej muzyce świata«. Najbardziej spodobał mi się komentarz na streamingowej platformie Bandcamp dotyczący kompilacji »Sounds of Sisso«: »Wyobrażam sobie, że właśnie tak brzmiałoby Public Enemy w uszach odbiorcy z epoki wiktoriańskiej. To wybiega w przyszłość tak bardzo, że brzmi aż niewłaściwie“.

Mieszkający obecnie w Berlinie KMRU ma świadomość, że popularność singeli w europejskich i amerykańskich mediach ma znamiona sezonowej mody. Ale to zainteresowanie przynosi wiele dobrego twórcom z Afryki Wschodniej: „W ostatnich latach w głównym nurcie muzyki klubowej działo się niewiele, a tu nagle w Tanzanii pojawia się ta dziwnie brzmiąca elektronika. Nagrania, których nie sposób nigdzie przypasować. Wielu słuchaczy szuka dalej i w rezultacie poznaje innych twórców związanych z Nyege Nyege”.

Na tradycyjnych perkusyjnych rytmach opiera się muzyka zespołu Nihiloxica. Siegający do muzycznych tradycji królestwa Bugandy i mieszejący je z wpływami techno sekstet został w 2018 r. okrzyknięty przez krytyka brytyjskiego portalu The Quietus najlepszym zespołem na świecie. Czterech ugandyjskich i dwóch brytyjskich muzyków buduje hipnotyzujące, wielowarstwowe struktury rytmiczne, w które wplata niepokojące melodie syntezatorów.

Do Nyege Nyege zgłaszają się artyści z kolejnych afrykańskich krajów. Nakładem wytwórni ukazała się na przykład płyta kenijskiego duetu Duma, który za sprawą elektronicznych instrumentów tworzy przerażający grindcore. W katalogu znajdują się także nagrania Reya Sapienza – kongijskiego producenta, który w 2012 r. przyjechał do Kampali, by nawiązać współpracę z reprezentantami lokalnej sceny. Wkrótce w jego ojczyźnie rozpoczął się kolejny akt wojny domowej, więc artysta pozostał w Ugandzie. Od strony artystycznej podjął dobrą decyzję: w tym roku Nyege Nyege wydało album jego zespołu The Congo Techno Ensemble.

Brzydkie słowo na „n”

Znaczenie Nyege Nyege wykracza daleko poza działalność wydawniczą. ➔

→ KMRU zwraca uwagę na organizowany w ugandyjskim porcie Jinja festiwal, który stał się platformą spotkania dla muzyków z regionu. Kenijczyk podkreśla również inny zakres działalności Dilsiziana i Debru: „Nyege Nyege zaprasza muzyków z regionu na rezydencje artystyczne. Artyści mają dostęp do studia, zebranych tam instrumentów i wiedzy na temat produkcji nagrań. Dla wielu dostęp do takiej klasy sprzętu stanowi duży problem”.

Być może to kwestia rodzinnej historii, ale Debru jest wychulony na wszelkie przejawy neokolonializmu, o które potencjalnie łatwo, kiedy Europejczycy osiągną taką pozycję na rynku afrykańskim. Szczęśliwie zachodni wydawcy współczesnych i archiwalnych nagrań z Afryki i Azji przykładają do tych kwestii coraz większą wagę. Kilka miesięcy temu rozmawiałem z Jannisem Stürtzem – szefem wytwórni Habibi Funk, która specjalizuje się w muzyce krajów arabskich. Wydając płyty dba o to, by okładki nie powielały kulturowych stereotypów, a towarzyszące płytom teksty powstawały we współpracy z twórcami lub ich spadkobiercami.

Debru zwraca uwagę na inny niepokojący mechanizm: „Istnieje nurt muzyki, nazwijmy go afro-europejskim, który z jednej strony fetyszyzuje afrykańską muzykę, a z drugiej wzbogaca ją o pewne elementy, by lepiej trafiła w europejskie gusta. Niestety wśród lokalnych muzyków czasem można odczuć pragnienie nagrywania płyt, które zadowolą publiczność spoza kontynentu. Dla nas, jako Nyege Nyege, bardzo ważne jest zdobywanie nowych odbiorców w Afryce”.

Stürtz deklarował, że ostatecznym celem wytwórni takich jak Habibi Funk jest wytyczenie ścieżek dla lokalnych wydawców, którzy ze swoją znajomością lokalnych realiów i kultury mogliby jeszcze pełniej prezentować dokonania afrykańskich czy azjatyckich twórców. Podobna filozofia nie jest obca Debru: „Obecnie nie pojawia się wiele elektronicznej muzyki wydawanej przez regionalne wytwórnie z Afryki Wschodniej. Jestem jednak przekonany, że to się wkrótce zmieni. A Nyege Nyege z pewnością będzie takie trendy wspierać”.

© JAN BŁASZCZAK

Zamki na piasku

ANITA PIOTROWSKA

Najnowszy film Kingi Dębskiej słodką kołderką okrywa wszystko, co mogłoby uwierać czy boleć.

POMIĘDZY MEBŁOŚCIANKĄ I PÓŁKOTapczanem, blokowiskiem i bazarem, między klimatem jak z „Czterdzieciolatka” a osobistymi wspomnieniami rozgrywa się najnowszy film Kingi Dębskiej. Nosi tytuł „Zupa nic” i jako nostalgiczno-komiczna podróż do lat dziecińczych w Peerelu niczego więcej nie udaje.

Każdy z nas ma takie „swoje wtedy”, o jakim słychać w piosence promującej film. Posiadacze trzepakowego dzieciństwa z epoki późnej komuny często nakładają nań charakterystyczny filtr przypominający enerdowską taśmę ORWO. Miniona rzeczywistość jawi się wówczas jako wcale nie mniej paździerzowa niż była, ale za to swojska, intensywna, nasycona szczegółami i przez to na swój sposób bogata.

„Może się wtedy miało mało...” – śpiewa Monika Borzym wraz z Arturem Andrusiem i na wielu filmowych pocztówkach z okresu gospodarki niedoboru właśnie ów drobny materialny detal nabiera konkretnego ciężaru. A chodzi przecież nie tylko o fetysze zachodniego dobrobytu, jak oryginalne dżinsy, guma balonowa czy szampon o zapachu bananów, dostępne wówczas wyłącznie w Peweksach lub dostarczane



w paczkach zza granicy. Brzydki, kupiony okazynie „wypoczynek” (podpowiedź dla młodszych czytelników: chodzi o zestaw mebli, nie o wczasy), „maluch” z przydziału czy dodatkowe kartki na mięso urastały do rangi myśliwskich trofeów. Nikt już za tym specjalnie nie tęskni, tak jak wstrętem napawa wspomnienie stylonowych fartuchów szkolnych, całusnych wujów czy trzymanyh w wannie żywych karpi. Ale nasza pamięć emocjonalna pracuje często własnym, niezależnym trybem i właśnie za nim podąża wiernie komedia Dębskiej.

Jeśli infantyлізуje bądź przerysowuje przeszłość, czyni to z pełną świadomością. Spojrzenie bowiem należy w tym filmie do dwóch dziewczynek, charakternej Marty (Barbara Papis) i grzecznej Kasi (Alicja Warchocka), które z lekkim sarkazmem przyglądają się perypetiom dorosłych. Zwłaszcza że główna akcja rozgrywa się na bardzo niewielkim metrażu, gdzie bohaterki gnieźdzą się wraz z temperamentną matką działającą w Solidarności (Kinga Preis), średnio rozgarniętym ojcem inżynierem (Adam Woronowicz) i dziarską babcią, byłą powstanką (Ewa Wiśniewska).

Twórcy filmu z upodobaniem odtwarzają mieszkaniowy skansen lat 80., jak i ówczesną antropologię życia codziennego. Mamy więc kilometrowe kolejki po wszystko i srogie rodzinne popijawy przy uginających się od jadła stołach; mamy wypróbowane techniki załatwiania spraw „po znajomości” i coraz rzadsze dzisiaj dobrośąsiedzkie stunki. Szczególną zaś uwagę poświęca film rozwijającej się coraz śmielej inicjatywie prywatnej, dla której poligonem



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



MARCIN MAKOWSKI / MAKU FLY / MATERIAŁY PRASOWE

Alicja Warchocka (Kasia), Barbara Papis (Marta), Kinga Preis (Elżbieta) i Adam Woronowicz (Tadek) w filmie „Zupa nic”.

stały się wyjazdy handlowe do zaprzyjaźnionych krajów.

Słowem: czasy były siermieżne i pokraczne, lecz na swój sposób piękne. Smakuje się je po latach niczym tytułowy deser na mleku, zaciągnięty żółtkami i ozdobiony białkową pianką. Swoją drogą, w deficytowej kuchni tamtych czasów był on małym cudem kobiecej inwencji kulinarnej, rodzimą wersją *crème anglaise* czy *île flottante*.

Taką słodką kołderką okrywa „Zupa nic” wszystko, co mogłoby uwierać czy boleć, w przeciwieństwie do innych nowych polskich filmów ukazujących groźbę minionej epoki, jak „Hiacynt” Piotra Domalewskiego czy „Żeby nie było śladów” Jana P. Matuszyńskiego. Tu we fragmenty autentycznych czarno-białych kronik wkopiowana została demonstrująca na ulicach matka bohaterki (rzecz dzieje się po stanie wojennym), wygrywa jednak sprawa kolorystyka dziecięcej nostalgii. Polityczny konflikt matki z bratem Zenkiem, partyjnym dorobkiewiczem (Rafał Rutkowski) czy przyjaźń małej Marty z synem zomowca potraktowane zostały ze znieczuleniem, podobnie jak trauma peerelowskich lekcji WF-u czy ekscytacja towarzysząca pierwszym zagranicznym podróżom.

Wszelkie patologie, i te rodzinne (przepijający wypłatę tatusiowie), i systemowe (to nie był kraj dla uczciwych ludzi), zyskują u Dębskiej zmiekczone, serdeczny kontur. Dzięki temu karykatura nie krzyczy do nas na każdym kroku. Podobnie jak w „Moich córkach krowach”

(2015), których „Zupa nic” jest w jakimś sensie prequelem i do których w pewnym momencie robi aluzję, na ekranie wyczuwa się spojrzenie tyleż satyryczne, co ocieplające. Raz jeszcze kłaniają się filmowe uniwersytety Dębskiej, czyli praska szkoła FAMU. Wszelkie skojarzenia z czeskim kinem również w przypadku tego filmu nie będą przypadkowe.

Trudno też nie dostrzec, jak dobrze czują się w tym wszystkim aktorzy i aktorki, nie tylko ci znani i profesjonalni. W dużej mierze za ich sprawą mamy do czynienia z czymś więcej niż pokaz mody i koafur w stylu retro, bo „ejtisowy” klimat tworzą przede wszystkim zwykli ludzie i ich marzenia. Przywołane w zwistnie filmu „Zamki na piasku” zespołu Lady Pank świetnie ilustrują ówczesnych polskich szaraków, z ich przyziemnymi aspiracjami i „pełnym szkłem”.

Śmiech śmiechem, ale „Zupa nic”, czyli kino pocieszenia w trudnych czasach, nie jest jednak retrotopią szukającą idealnego schronienia w przeszłości. Z wdziękiem starych seriali pokazuje także wstydliwe niedostatki i osobiste upokorzenia ówczesnych Polaków i Polek, nade wszystko zaś poszukuje bliższego kontaktu ze „swoim wtedy”. Jawi się ono, mimo wielu ograniczeń i niezależnie od wszechobecnej dziecięcej optyki, jako miejsce o wiele bezpieczniejsze aniżeli to nasze totalnie rozchwiane i niepewne „dziś”. Ciekawe zresztą, jakie smaki, kolory i zapachy będzie mieć nostalgia za następnymi trzydziściami parę lat. ©

ZUPA NIC – reż. Kinga Dębska. Prod. Polska 2021. Dystryb. Kino Świat. W kinach od 27 sierpnia.

WARTO ZOBACZYĆ

1. 11 września: dzień z życia Ameryki



Serial dokumentalny, tw. Dan Lindsay i T.J. Martin, USA 2021, National Geographic, odc. 1 29 VIII, 20.00, kolejne 30 i 31 VIII, 20.00 i 21.00 oraz 1 IX, 20.00

Z okazji 20. rocznicy ataku na WTC we współpracy z 9/11 Memorial & Museum powstała pierwsza tak szczegółowa rekonstrukcja dokumentalna owych zdarzeń. Na pierwszym planie stawia indywidualne historie tych, którzy zginęli, a także ocalańców i ratowników. Podkreśla nie tyle polityczny, co ludzki wymiar tragedii.

2. Nowy Jork, epicentra, 11 września



Serial dokumentalny, reż. Spike Lee, USA 2021, HBO GO, nowe odcinki co poniedziałek Kolejna rocznicowa produkcja to czteroczęściowa

osobista podróż po miejscu dotkniętym traumą. Lee odbywa także podróż w czasie, przywołując zamach z perspektywy doświadczeń związanych z pandemią czy ruchem Black Lives Matter. Efektem jest list miłosny do miasta będącego symbolem różnorodności i siły przetrwania.

3. Obiecująca. Młoda. Kobieta.



Komediodramat, reż. Emerald Fennell, USA 2020, iTunes, od 26 VIII Na jednych ten film działa niczym płachta na byka, dla innych jest brawurową

rozprawą z „kulturą gwałtu”. Carey Mulligan wciela się w postać samotnej mścicielki, która demaskuje zмовę milczenia wokół przemocy seksualnej i w wyrafinowany sposób wymierza sprawiedliwość jej sprawcom. Oscar za najlepszy scenariusz oryginalny.

4. Spisek antyszczepionkowy



Dokumentalny, reż. Colette Camden, Wielka Brytania 2021, Canal+ Premium, 30 VIII, 21.30, Canal+ 1, 30 VIII, 22.30 W jaki sposób narodziły

się i błyskawicznie rozprzestrzeniły teorie zniechęcające do szczepień na COVID-19? Jak wpływają one na globalną walkę z pandemią? Dokument oddaje głos różnym grupom: ekspertom, najbardziej prominentnym działaczom ruchu antyszczepionkowego oraz rodzicom z obu stron barykady.

JAN

Klata: Coś konstruktywnego



MINISTER GLIŃSKI, ZAJĘTY OBRONĄ POLSKI przed ofiarami talibów, nie zauważył, że nie wybudował pomnika Bitwy Warszawskiej. W czerwcu 2020 r. minister ogłosił przełożenie postawienia obelisku-fontanny o rok, ale miało to być przełożenie z przedłużeniem do 36 metrów wysokości, w bogatszej oprawie. Miało być na czerwiec. Jest koniec sierpnia, rok po okrągłej rocznicy, czyli mocno po herbacie. 101. rocznica była równie piękna jak setna, niestety już upłynęła. 102. rocznica nadaje się na odsłonięcie czołgu, zresztą brzmi zbyt postkomunistycznie, a zatem pan minister ją pominie i będzie miał czas do 2023 r.

Z niecierpliwością czekam na równie frapujące zwroty akcji z okazji budowy-odbudowy Pałacu Saskiego – nowego

priorytetu ministerstwa dziwnych budów. Dwa i pół miliarda piechotą nie chodzi, będzie się działo! Przesforsowano specustawę, powstaje „spółka celowa” i jestem jakoś dziwnie spokojny, że celować w nią będą specjaliści z najwyższej spółki. NIK już ogłosiła zainteresowanie tematem. Bukmacherzy nie chcą pójść z torbami, więc nie przyjmują zakładów, kto będzie architektem, bo to wiadomo od wyborów w 2015 r. Wiadomo też, że Czesław B. będzie miał dużo pracy, gdyż jeszcze nie skończył poprawiać swoich projektów Muzeum Bitwy Warszawskiej w Ossowie, one ciągle dynamicznie ewoluują od ponad czterech lat. Miały być zrealizowane na setną rocznicę, oczywiście, ale się nie udało i ponoć mają wyewoluować do... 2023 r. Czy 2023 to jakaś magiczna kombinacja cyfr dla PiS?

W ten sposób historia zatacza koło i wracamy do rzeczy – wiście nieupamiętnionej należycie Bitwy Warszawskiej, „osiemnastej bitwy w dziejach świata” – jak ktoś bliżej nieznanego napisał przed II wojną światową, i się przyjęło. Nie wiem, na którym miejscu na liście Top Bitew Świata teraz jesteśmy, z pewnością spadliśmy o kilka pozycji od 1920 r., ale mam nadzieję, że ciągle w pierwszej setce. Nie mam natomiast nadziei na to, że obóz prawicy zrobi cokolwiek na czas. Cokolwiek konstruktywnego. ©

Lektor: Uśmiech Krzysztofa



■ KRZYSZTOF KOZŁOWSKI. KSIĄŻKA DO PISANIA

Wybór tekstów i fotografii

Anna Kozłowska-Kalbarczyk.

Wydawnictwo Austeria,

Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2021, ss. 192.

18 SIERPNIĄ SKOŃCZYŁBY 90 lat. Młody absolwent filozofii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (w czasach stalinowskich uczelnie państwowe były dla niego zamknięte), asystent pracujący nad doktoratem, decydując o przyjęciu propozycji pracy w reaktywowanym w 1956 r. „Tygodniku Powszechnym” podjął szybko, podczas obiadu w KUL-owskiej stołówce spożywanego wraz z Jackiem Woźniakowskim, między zupą a drugim daniem... Stał się jedną

z najważniejszych postaci w dziejach pisma. Przez wiele lat zastępca Jerzego Turowicza, miał zająć jego miejsce za redakcyjnym sterem, ale los i historia zadecydowały inaczej. Pisał niewiele, ale jego teksty zawsze były istotne, choć nie zawsze mogły się ukazać we właściwym czasie – jak opublikowane po 20 latach sprawozdanie z pomarcowego (1968) posiedzenia peerelowskiego Sejmu, kiedy rozprawiano się z kołem Znak i personalnie – z Jerzym Zawieyskim,

albo analiza sytuacji politycznej wygłoszona w połowie lat 70. na redakcyjnym spotkaniu. No i oczywiście Obraz Tygodnia – przejęta od Turowicza, redagowana przez ćwierć wieku rubryka, popis gry z cenzurą i opisu rzeczywistości poprzez umiejętne zestawienie niewinnych z pozoru informacji. Marzy mi się jej komentowana edycja... Wspaniałym portretem Krzysztofa Kozłowskiego są jego rozmowy z Michałem Komarem („Historia z konsekwencjami”, 2009), polecam też grubasny tom pod redakcją Witolda Beresia i Krzysztofa Burnetki zatytułowany „Obywatel KK, czyli Krzysztofa Kozłowskiego zamyślenia nad Polską” (2011). „Książka do pisania”, przygotowana przez córkę „Obywatela KK”, jest zgodnie z regułami serii skromniejsza: fragmenty

tekstów i wypowiedzi Kozłowskiego, sporo miejsca dla czytelnika, by mógł notować swoje uwagi albo coś jeszcze wkleić. No i zdjęcia. Od portretu trzech chłopców – Stefana, Krzysztofa i Tomasza – w rodzinnym majątku w Przybysławicach, przez wojenne wakacje z siostrami Zachwatowiczównymi, redakcję „TP” z Turowiczem, kampanię wyborczą 1989 roku po osiemdziesiąte urodziny. Kilka miesięcy później przyszła nagła choroba i równie nagła utrata wzroku. Znoszona z heroizmem, o którym trudno mówić nawet dzisiaj. Wolę patrzeć na te zdjęcia – z gór, za redakcyjnym biurkiem, z Andrzejem Wajdą w parku w Goszczach. I na uśmiech Krzysztofa, który nieoczekiwanie rozświetlał jego marsową minę. © TP

PAWEŁ

Bravo:

Księgi skarg



OSIEMDZIESIĄT. TYLE RAZY INTERWENIOWAŁA W CZERWCU Komisja Europejska przeciwko różnym krajom, które łamały unijne przepisy. Od Lizbony po Tallin, jedna wielka banda niesfornych łobuzów – tak to wygląda z perspektywy jednego

z moich ulubionych periodyków, czyli comiesięcznego biuletynu pod mało zgrabnym tytułem „Pakiet naruszeniowy”. To coś jak księga skarg i zażaleń, w której służby prasowe Komisji zestawiają na użytek dziennikarzy działania podjęte w danym miesiącu przeciwko każdej stolicy, która nie dopełniła swoich obowiązków, czy to dużych, czy małych. Zresztą, z perspektywy porządnego funkcjonariusza służby cywilnej kaliber nie czyni różnicy: przepis to przepis i jeśli Francja łamie dyrektywę w sprawie wyglądu tabelki, w której każdy kuter musi raportować codzienny połów, to jest to tak samo ważne jak fakt, iż już od ponad roku niemieckie państwo „narusza podstawowe zasady unijnego prawa”.

Tak, domyślacie się, chodzi mi o niemiecki Trybunał Konstytucyjny, który ponad rok temu orzekł w zawilej sprawie dotyczącej programu wykupu obligacji poszczególnych państw przez Europejski Bank Centralny. Meritum sporu jest zawile, starczy wiedzieć, że przy okazji niemiecki trybunał orzekł, iż ten unijny z Luksemburga we wcześniejszym wyroku co do legalności całej procedury wykroczył poza swoje kompetencje, zadziałał *ultra vires*. Ostatnio bardzo często słyhać tę łacińską frazę w okolicach ulicy Nowogrodzkiej.

Coś jeszcze pamiętam z lekcji w komuszmy liceum, więc podrzucam władzy inne powiedzonko: *tenete furem*. Łapaj złodzieja – bo to przecież dokładnie ta metoda: skarżyć się, że wielka krzywda, bo obrywamy za coś, co Niemcom uchodzi płazem. Odpowiedź z Berlina w tej sprawie nadeszła i na pewno o niej usłyszycie od mądrzejszych ludzi, tymczasem moją uwagę w unijnej księdze skarg przykuł zgola inny punkt, bliższy perspektywy kogoś, kto pewnie się czuje w warzywniku lub na targu niż w sądzie: otóż Komisja napomniła aż 18 państw, że nie dość pilnie wdrażają dyrektywę w sprawie ochrony przed obcymi, inwazyjnymi gatunkami roślin.

Z końcem sierpnia pół kraju pokrywa się nam żółtym kwieciami kanadyjskiej nawłoci. Pięknym, lecz w kompetentnych oczach budzącym grozę. Dość choćby wspomnieć nasz niedawny „Tygodnikowy” dodatek o motylach, gdzie ekspertka mówi o tej roślinie *femme fatale*. W małym nateżeniu – taką ją pamiętam jeszcze parę lat temu, tu i ówdzie przy miedzy albo wzdłuż rowu – ożywiła paletę tych szarze-

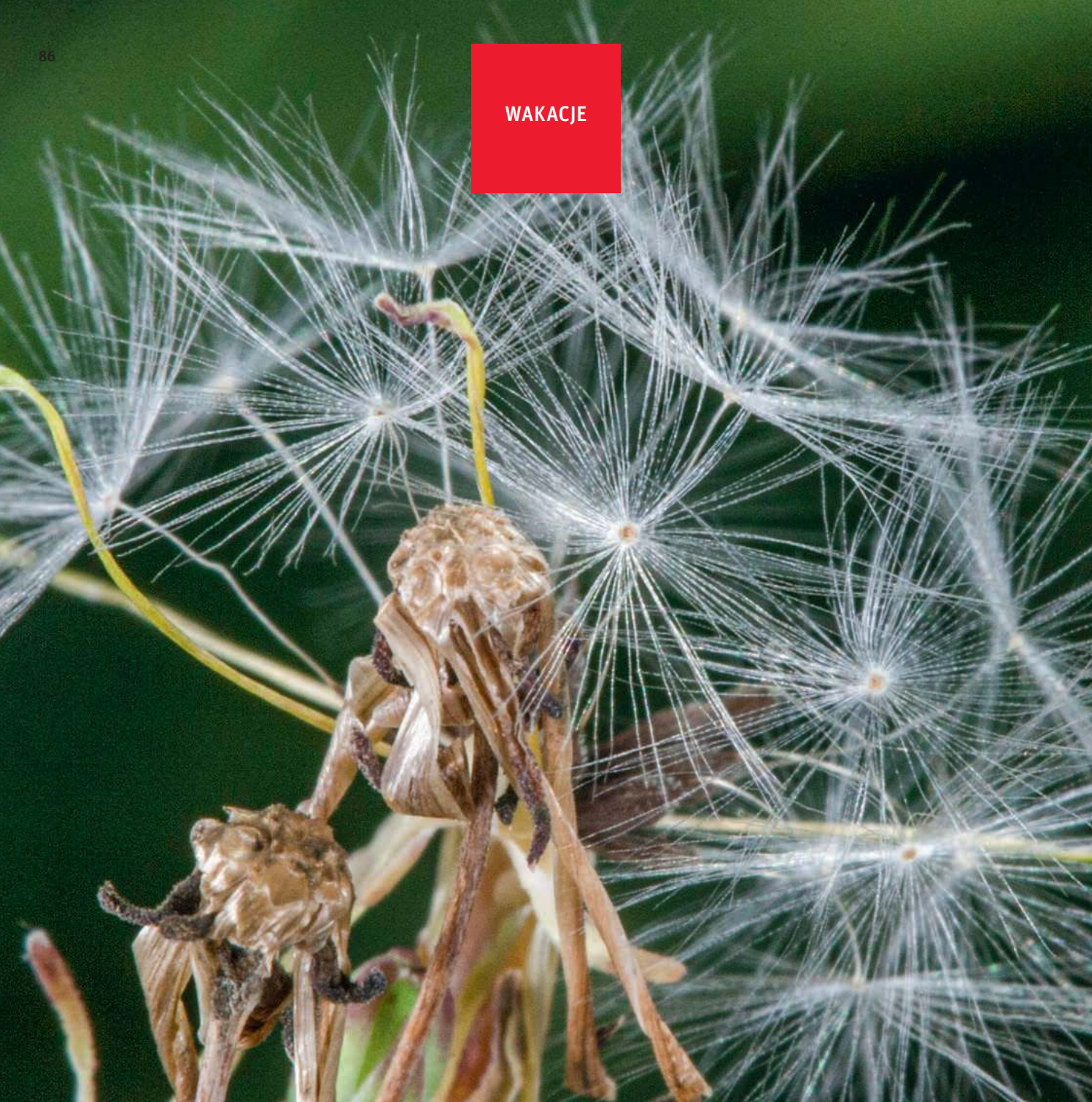
jących dni. Teraz staje się w niektórych okolicach jedyną władczą pejzażu, wyzerowuje różnorodność przyrody, którą unijna dyrektywa, i słusznie, traktuje jako najwyższe dobro.

Mocą innych kosmicznych rytmów, równie sztywnych jak następstwo pór roku, końcówka sierpnia przyniosła znów nie tylko smutne myśli o nawłoci, która unijnych przepisów nie czyta, ale te same co niedawno, przekłete dylematy wobec ludzi stojących lub idących ku naszym spokojnym granicom. Nic tu nie jest proste, o czym pisze przejmująco Marcin Żyła na początku tego numeru, ja zaś, kiedy czytam w unijnej biurokratycznej nowomowie, co takiego złego robi nam „inwazja” gatunków roślin, nagle doznaję skurczu żołądka, bo przecież wiem, że bardzo wielu moich bliźnich (niekoniecznie zawodowych faszystów) używa tych samych sformułowań wobec ludzi, nie traw.

A nawet kiedy wydaje im się, że widzą w człowieku człowieka, to czasem wpadają w inne pułapki. Pewien celebryta orzekł, że na strach przed imigrantem najlepszym lekiem jest aplikacja obsługująca dowóz jedzenia: starczy zamówić burgera i już po problemie z kulturową obcością. Domyślnie: kiedy w drzwiach stanie śniady człowiek z kwadratowym plecakiem i poda nam obiad, zobaczymy, jaki z niego sympatyczny lokaj. I docenimy, jak to dobrze mieć te wszystkie etno-knajpki, bez nich miasta byłyby takie szare i nudne. Jeśli ktoś widzi zjawisko migracji z Azji przez pryzmat kuriera z kotletem i kucharza w ciasnej, dusznej budce, to okazuje równie paskudną wyższość (orientalizm, powiedzieliby eksperci od relacji międzykulturowych), stawia sobie bariery przed realnym kontaktem z obcością, wypiera rzeczywistość wielkich wędrówek ludów, tyle że ma to udrapowane w pstrokatą chustę multi-kulti. Pyszny deser w nepalskiej knajpcie to, niestety, tylko początek, nie koniec tego posiłku, co do którego nikt z nas nie ma pomysłu, jak go przetrwać. ©P

Jak żyć? – pytał kiedyś premiera Tuska pewien plantator papryki i odtąd to warzywo mam wpisane w zeszycie kuchennym pod „D” jak „dylematy”. Wchodzimy w szczyt sezonu, radzę wam zrobić prosty, ale szalenie apetyczny makaron z szybkim kremem paprykowym. Kroimy **0,5 kg czerwonej papryki** w małą kostkę, wrzucamy ją na patelnię, na której podgrzaliśmy delikatnie **5 łyżek oliwy** i rozgnieciony **ząbek czosnku**, dodajemy jeszcze ze dwa obrane ze skóry i pokrojone **pomidory**, zwiększamy nieco ogień i dusimy ok. kwadrans z **pieprzem** i **solą**. Kiedy już dochodzi, zagotowujemy **wodę** i wrzucamy **makaron** (najlepiej rurki lub świderki). Uduśzoną paprykę w wysokiej misce blendujemy z grubsza, przekładamy z powrotem na patelnię, rozprawdzamy paroma **łyżkami wody** z makaronu, przerzucamy kluski wprost z wrzątku, mieszamy krótko acz intensywnie na małym ogniu. Dodajemy **listki bazylii** lub **tymianku**. Możemy też sosu użyć do salatki makaronowej na zimno: makaron ugotowany al dente hartujemy zimną wodą, mieszamy z sosem i doprawiamy mocniej niż wersję na ciepło: **pieprz**, **ostra papryczka**, odrobina **octu** i garść **czarnych oliwek** albo rozkruszony **tuńczyk**.





GALAKTYCZNY ZIELNIK

Nikt mnie nie przekona, że jadąc na urlop, smartfona należy zostawić w domu.
Zabierzcie go, ale nie po to, by komunikować się z dalekim światem.
On jest po to, żeby otworzyć przed wami ten najbliższy.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

MOŻE TO DLATEGO, ŻE WYCHOWAŁEM SIĘ NA ALBUMACH POPULARNONAUKOWYCH „Świat wczoraj i dziś”, które w latach 90. ku radości ciekawskich kujonów wydawała Polska Oficyna Wydawnicza BGW. A może to przez filmy przyrodnicze, w których o sposobach rozróżniania gepardów od leopardów czytała Krystyna Czubówna (cetki albo rozetki!). Albo raczej przez zaczytane na amen tomy „Tomków” Alfreda Szklarskiego, których stronicie były podzielowane przypisami tak sążnistymi, że czasem ledwo mieścił się na nich choć skrawek fabuły. Wynosiło się z ich lektury przekonanie, że fajnie jest wiedzieć, iż, dajmy na to, ojczyzną irbisa (*Felis uncia*) są góry Azji Środkowej („Tajemnicza wyprawa Tomka”, wyd. Śląsk, 1988 r., str. 97), a krewniakami lian są groszki, wyki, powoje i chmiel, a nawet *Clematis vitalba* występująca w Kazimierzu nad Wisłą („Tomek wśród łowców głów”, wyd. Śląsk, 1989 r., str. 116). Tak czy inaczej, na dobre została we mnie potrzeba, żeby podróżom, wyprawom, wycieczkom i wszelkiej przygodzie towarzyszyły przypisy, mapki i ilustracje pogładowe.

Teraz mam je wszystkie pod ręką. Dożyliśmy czasów, w których dzięki dobrodziejstwom unijnego roamingu, megapikseli, *big data* i maszynowego uczenia można mieć te wszystkie przypisy, mapki i obrazki na zawołanie – na jeden gest kciuka.

Kto choć raz nie chciał być trochę jak Adam Wajrak czy Stanisław Łubieński: zatrzymać się w lesie, wsłuchać i orzec z lekko udawanym wahaniem: raniuszek? Albo jak Karol Wójcicki, zapatrzyć się w niebo i przepowiedzieć koniunkcję Księżyca z Jowiszem? Czy jak wszyscy ci liczni, obcy w górach znajomi wskazać z dala, który to Krywań, a który Hawrań?

Otóż – od tego wszystkiego są aplikacje.

Chroni, lubi, szanuje

Weźmy taką korzeniówkę. Wyrastająca z igliwia, pod świerkiem, wiotka łodyga błada jak szparag, z uwieszoną na niej szyszkowatą główką. Ni to grzyb, ni bylina – ani pół liścia, ani cienia zieleni.

Aplikacji **Pl@ntNet** identyfikacja zajmie kilka sekund. Robi się zdjęcie, wskazuje, czy widać na nim kwiat, liść czy łodygę – choć w tym przypadku strzelam, bo trudno powiedzieć. Zdjęcie i informacja o lokalizacji leci ze zboczy Lubogoszcy na serwery francuskiej inicjatywy naukowej FlorisTic: konsorcjum kilku instytutów, sieci Tela Botanica zrzeszającej frankofońskich badaczy oraz fundacji Agropolis – gdzie przygląda mu się sztuczna inteligencja. I zwraca informację, że z 98-procentowym prawdopodobieństwem mam do czynienia z *Monotropa hypopitys* L., czyli właśnie korzeniówką pospolitą. Jeśli uznam, że odpowiedź jest sensowna, mogę ją potwierdzić. Mogę też pokazać znalezisko innym użytkownikom, którzy zweryfikują identyfikację.

Moja korzeniówka okazuje się ewolucyjną ciekawostką. Nie jest zielona i nie ma liści, bo nie zwraca sobie głowy fotosyntezą. Odżywia ją grzybnia, z którą żyje w symbiozie, i przypuszczalnie – bo nie jest to do końca zbadane – za jej pośrednictwem roślina ta podbiera substancje odżywcze drzewom. W ten sposób ja, zwykły niedzielny turysta w swoim Beskidzie Wyspowym, trafiam nie tylko na wykwit owego legendarnego sekretnego życia roślin, o którym pisze się bestsellery, owych biologicznych łączy plotących się pod runem, ale też na formę życia, której obyczajów nauka do końca nie poznała.

I czy to nie jest piękne? Zwłaszcza że przy okazji wzięłem udział w czymś ważnym: w projekcie opierającym się na współdzieleniu wiedzy zasilanym algorytmami sztucznej inteligencji.

Jak w każdym przypadku uczenia maszynowego, tak i tu wszystko sprowadza się do pokazania komputerowi odpowiednio dużej liczby przykładów i poinstruowanie go, co przedstawiają. Przykładów dostarczają ciekawscy amatorzy – dziś w bazie Pl@ntNet jest 1,79 mln zdjęć, a przedstawiają one 27,9 tys. gatunków roślin. Ale żeby maszyna się uczyła, trzeba jej powiedzieć, czy rozpoznała roślinę prawidłowo, czy nie. Właśnie po to jest informacja zwrotna i weryfikacja przez społeczność: jeśli nawet ja kliknę potwierdzenie tylko na wycucie – bo dopiero przed chwilą dowiedziałem się o istnieniu korzeniówek – to w gronie użytkowników są też tacy, co lepiej znają się na rzeczy. A algorytm wyżej ceni ich informację niż moje – bo udostępnili więcej zdjęć, prawidłowo potwierdzili lub zrewidowali ileś gatunków itd. Oddanie aplikacji w ręce społeczności wielbicieli flory zapewnia sztucznej inteligencji nie kilku czy kilkunastu trenerów, ale dziesiątki czy setki tysięcy.

Wszystko to, jak piszą twórcy Pl@ntNet, służy ochronie bioróżnorodności przez edukację. „Celem projektu jest budowanie mostów między społeczeństwem i naukami o roślinach, przez przywracanie zainteresowania nimi” – czytamy na stronie inicjatywy FlorisTic. Lepiej to ujęła w rozmowie z „Süddeutsche Zeitung” Jana Wäldchen z Instytutu Biogeochemii Maxa Plancka, który wraz z Uniwersytetem Technicznym Ilmenau stworzył bliźniaczą aplikację **Flora Incognita**: „Chroni się to, co się zna i lubi”.

Oczywiście, kolejny poziom trudności to nie dopuścić, by delegowanie rozpoznawania roślin na aplikację zwolniło wygodnicki mózg od obowiązku zapamiętywania. Sam już nie wiem, ile razy wypytywałem algorytmy Pl@ntNet o zdobiącą późnym latem skraje leśnych dróg roślinę, która wygląda, jakby miała dwa rodzaje kwiatów – żółte i fioletowe (pszeniec gajowy – te fioletowe to nie kwiaty, lecz przebarwienie górne liście). Ale aplikacja ta szybko stała się cyfrowym zielnikiem, do którego można zawsze wrócić przy nagłym niepokoju, że się nie pamięta, jak się nazywał ten jakby przerosnięty rumianek, który kojarzył się z poetą (herbert? jastrun!). A także okazją do wspomniania wypraw – po zalogowaniu na stronie identyfikacji plantnet.org można zobaczyć mapę z miejscami swoich znalezisk.

Biorca jako dawca

Na aplikację **NaturaList** rzuciłem się natychmiast, gdy tylko przeczytałem o niej w artykule Adama Robińskiego. Odpadłem, bo okazała się społecznościowym dziennikiem obserwacji. Dla fachowców to z pewnością cenne narzędzie – można w niej wyfiltrować zgłoszenia rzadkich okazów fauny z naszej okolicy, owinąć się w siatkę maskującą i ruszyć bladym światem w knieję z obiektywem za kilkadziesiąt tysięcy i z nadzieją, że też się będzie miało szczęście. Ale my, amatorzy, możemy się z niej dowiedzieć co najwyżej, że ktoś w Zembrzycach zobaczył ślepowrona. Aż żal, że nie ma przycisku „Lubię to”.

Czego się zresztą spodziewałem? Nie ma tak łatwo, żeby aplikacje informowały, że za minutę przeleci nad nami klucz żurawi. Na ptasi FlightRadar24 nie liczymy, ptaki, Bogu dzięki, nie mają transponderów.

Ale wobec mody na *birdwatching* trudno pozostać obojętnym i coraz częściej się po prostu cieszyć ich śpiewem, ➔

→ gdy w dobrym tonie jest rzucić mimochodem na grillu u znajomych uwagę w rodzaju: „coś te makolągwy u was niespokojne”. Szczęśliwie rozróżnianie ptaków po ich piosenkach też umożliwia rewelacyjna aplikacja. Ja się na przykład dzięki niej dowiedziałem, że wbrew temu, co wmawiano mi w przedszkolu, dzięcioły wcale nie robią „puk puk”.

To były krótkie, ostre, jakby nerwowe piski. Ich sekwencja wyraźnie zaznaczyła się na spektrogramie w aplikacji. Wystarczyło teraz wskazać fragment nagrania, gdzie ślady po piskach były najgęstsze, i kliknąć „Analizuj”. Odpowiedź – „dzięcioł duży” przyszła wraz ze zdjęciem i, a jakże, linkiem do Wikipedii. Ale też do baz danych eBird oraz Macaulay Library laboratorium ornitologicznego Cornell – gigantycznych bibliotek ptasich głosów i fotografii.

Bo **BirdNET** – bodaj najpopularniejsza w naszej części świata aplikacja do rozpoznawania głosów ptaków – to tak naprawdę społecznościowa końcówka dużego naukowego projektu ornitologicznego z wykorzystaniem sieci neuronowych. Otóż chcąc poznać ptasie zwyczaje, szlaki migracyjne, zachowania godowe, ale też języki, narzecza i przeboje – naukowcy zbierają olbrzymie ilości nagrań ptaków. Dla ludzi analiza takiego materiału stanowi pracę herkulesową, ale nie dla AI. Algorytmy, którym badacze dostarczają odpowiednio opisanych próbek głosów ptaków, uczą się ich charakterystyk, wyłapując też subtelności, na które często nawet sami ornitolodzy nie zwróciliby uwagi – a potem zaprzęga się je do analizy polowych nagrań. Dr Laurel Symes z Cornell Lab opowiadała na łamach „Scientific American”, że podczas gdy jej zespołowi przeanalizowanie 10-godzinnego nagrania zajmowało 600 godzin, stworzona przez nich sztuczna inteligencja rozprawiła się z nagraniem w czasie, w którym oni poszli na piwo.

BirdNET to właśnie taka sieć neuronowa, stworzona przez Laboratorium Ornitologiczne Cornell i Uniwersytet Technologiczny w Chemnitz. Służy ornitologom, ale dzięki sprzężeniu z aplikacją stanowi przy okazji projekt z dziedziny tzw. nauki obywatelskiej (*citizen science*), czyli angażujący amatorów do pomocy naukowcom. Bo im więcej danych uda się zebrać, tym więcej wiedzy można z nich wyłuskać. A żaden ornitolog świata nie zbierze ich tyle, co rzesze ciekawskich entuzjastów ze smartfonami. Gdy wysłałem do analizy intrygujące mnie trele, nagranie wraz z lokalizacją GPS trafia też do ich baz danych. Twórca BirdNET-u Stefan Kahl powiedział „Scientific American”, że dzięki aplikacji trafiało do nich nawet 300 tysięcy nagrań dziennie.

Aplikacja przechowuje rozpoznane obserwacje, można więc wracać do swoich zięb, kosów i wilg, rudzików, świstunek i pierwiosnków. Wraz z wynikiem dostajemy stopień jego pewności. Wiem więc, że wysoki, przeciągły okrzyk z oddali być może należał do dzięcioła czarnego, a rwany, ochrypły alt – prawie na pewno do żurawia, ale możliwe też, że do kruka (to był żuraw – przekonałem się naocznie i było to wspaniałe). Nie-



Aplikacja Pl@ntNet
rozpoznała ostrożeń łąkowy.
Na zdjęcie wkradł się też
pająk kwiatnik

łatwo jest też BirdNET oszukać. Gdy przesłałem do analizy własne gwizdanie, AI zawyrokowała: „Człowiek. Prawie pewne”.

Najpiękniejsze jest w tym po pierwsze to, że dzięki takim aplikacjom jak Pl@ntNet czy BirdNET uczy się nie tylko sieć neuronowa – ale także użytkownik, z biorcy stając się dawcą. Z czasem nabywa się wiedzy, ale też coraz bardziej chce się w tym uczestniczyć: dostarczać danych, weryfikować identyfikacje. A może nawet dojrzeje się do udziału w takich obywatelsko-naukowych projektach jak wspomniane Naturalist, eBird służący do dostarczania własnych obserwacji ptaków do baz Cornell Lab of Ornithology, czy stworzona jako praca magisterska w Berkeley, a dziś działająca pod auspicjami Kalifornijskiej Akademii Nauk i National Geo-

graphic aplikacja społecznościowa iNaturalist. Pozwala ona współdzielić własne fotografie wszelkiego stworzenia z innymi – amatorami i zawodowcami, pytając o identyfikację lub samemu jej dokonując. Nazajutrz po wrzuceniu zdjęcia dostojki malinowca – dużego, pomarańczowego motyla z rodziny ruśalkowatych, dowiedziałem się od użytkowniczki z Austrii, że był to samiec.

Koniec końców, to właśnie do takich celów, a nie do kotłowania się w bańkach komentariatu, wymyślono internet.

Są widoki

Jedną z najszlachetniejszych idei sieci sprzed ekspansji komercyjnych gigantów była internetowa kultura daru: web 2.0, Open Source i Free Software, otwarte licencje, kultura hakerska – słowem, wszystkie te sytuacje, w których użytkownicy wiedzący, potrafiący lub mający więcej dzielili się z pozostałymi. Myślę o tym zawsze, gdy odpalam aplikację **Polskie Góry**.

– Z urodzenia jestem warszawiakiem, ale po 30 latach życia w stolicy przeprowadziłem się do Bielska-Białej i wraz z pochodzącą stąd moją żoną Anią zacząłem biegać po okolicznych górach – opowiada Robert Celiński, autor tej aplikacji. Z zawodu informatyk pracujący w jednej z największych firm IT w Polsce, z zamiłowania biegacz: ukończył przeszło sto maratonów i górskich biegów ultra. Anna Celińska jest wielokrotną medalistką Mistrzostw Polski w biegach górskich.

– W czasie wycieczek biegowych interesowałem się tym, jak zmienia się górski krajobraz i jak nazywają się widoczne szczyty – dodaje.

– Wtedy postanowiłem stworzyć aplikację, która automatycznie opisywałaby panoramy górskie w rozszerzonej rzeczywistości.

Wystarczy stanąć w punkcie widokowym i wyciągnąć przed siebie smartfona jak do zdjęcia. Nad widocznymi przez kamerę na ekranie szczytami aplikacja wyświetla nazwy, wysokość i odległość od nich, a opis przesuwa się wraz z ruchem smartfona. *Augmented reality* pełną gębą, a aplikacja kreśli też kontur horyzontu, pozwala wyświetlić mapę, a nawet powiadamia, że jesteśmy w okolicy szczytu i pyta, czy chcemy go dodać



BirdNET nie nabrał się na
gwizdanie

do kolekcji, którą można synchronizować w chmurze. Można też zrobić zdjęcie z nałożonym na nie opisem.

Jeśli właśnie wspominaliście, jak na geografii z mozołem rysowaliście profil terenu na podstawie mapy poziomicowej – to słusznie. Teraz proszę sobie wyobrazić, że aplikacja musi umieć to zrobić w czasie rzeczywistym z dowolnego punktu w dowolnym kierunku. Trzeba było więc sprząc w niej dane topograficzne i bazę szczytów, informacje z GPS-a, żyroskopu i kompasu smartfona. Daje to wyobrażenie informatycznego wyzwania, jakie podjął Celiński.

– Zadanie rzeczywiście nie było łatwe – przyznaje autor. – Pozałączeniem widoku kamery w telefonie z opisami i kształtami gór wykorzystałem też technologię rozpoznawania obrazu, żeby odczytać linię górskiego horyzontu, a nawet elementy sztucznej inteligencji: aplikacja potrafi się uczyć. Jej tworzenie pochłonęło oczywiście masę czasu, w weekendy, wieczorami i nocami, przy praktycznie zerowym budżecie.

Celiński rozwija aplikację od 2015 r., skorzystało z niej już ponad 100 tys. użytkowników, którzy przyznają jej średnio 4,6 gwiazdki na 5. W odróżnieniu od innych tego rodzaju aplikacji, ta jest niekomercyjna i darmowa. Co więc daje samemu autorowi?

– To była przygoda – odpowiada. – Miałem masę świetnej zabawy, dużo się nauczyłem i bardzo mnie to rozwinęło.

Rozwija się też użytkownik aplikacji. Podczas kolejnych wycieczek coraz rzadziej trzeba po nią sięgać, coraz łatwiej się zorientować, a mapa okolicznych szczytów i pasm zamiast na ekranie, generuje się w głowie.

Skłony nieba

Skoro o górach mowa: apki **Szlaki turystyczne Małopolski** (stworzona przez PTTK) oraz **Mapa turystyczna** (mapa-turystyczna.pl, częściowo płatna) pozwalają nawigować po szlakach i wyświetlić profil trasy, co ułatwia odpowiadanie na pytania w rodzaju „długo jeszcze pod górkę?”. I słowo o bezpieczeństwie: aplikacja **Ratunek** pozwala szybko wezwać GOPR – ale też WOPR nad wodą, a służbom wysyła naszą lokalizację. Zaś **Monitor Burz** stworzony przez Sieć Obserwatorów Burz ostrzega o zbliżających się wyładowaniach i oferuje precyzyjną prognozę.

Warto mieć też na pokładzie aplikację **what3words** – alternatywny system podawania lokalizacji. Jej autorzy podzielili świat na kwadraty o boku 3x3 metry, każdemu przypisując unikatową kombinację trzech słów języka naturalnego. Gdy się zgubimy, znacznie łatwiej, zwłaszcza w nerwach, podyktować np. „wybrał.smaczny.spinka” (sprawdźcie na what3words.com) niż ciąg cyfr GPS. Niestety, rzecznicy policji i straży pożarnej nie potwierdzają, by korzystali z niej nasi ratownicy, choć robi to wiele służb na całym świecie. Ale **what3words** może się przydać choćby do podania znajomym naszej lokalizacji na leśnym pikniku czy na plaży.

Późne lato to też genialny czas na naukę nawigacji – po niebie. Zwłaszcza, jeśli do tej pory znaliśmy tylko Wielki Wóz. Tu

podstawowa jest **Google Sky Map** – mapa pokazująca fragment nieba, na który skierujemy smartfona z gwiazdozbiorami, planetami i najważniejszymi gwiazdami. Można też za jej pomocą odnajdywać obiekty na nieboskłonie. Ale jeśli lubimy efekty specjalne, warto wypróbować **Star Walk 2** (częściowo płatna) – działa tak samo, ale na gwiazdozbiory nakłada też efektowne postacie zwierząt i mitycznych herosów, pozwala oglądać niebo w trybie *augmented reality*, a nawet odtwarza nastrojową muzykę. Ale żeby nie zarywać nocy po próżnicy, warto najpierw wyposażać się w jeszcze dwie aplikacje. **Light Pollution Map** pokaże, gdzie się udać, żeby jak najmniej przeszkadzało nam sztuczne światło – i tu smutna konstatacja: w Polsce, poza Bieszczadami, Suwalszczyzną i miejscami na Pomorzu, nie ma co liczyć na prawdziwe ciemności. Zaś aplikacja **Nightshift** dostarczy

prognozy warunków atmosferycznych do obserwacji w miejscu, w którym się znajdujemy. A przy okazji podpowie, na co tej nocy zwrócić uwagę: które planety będzie widać i czy aktywne są jakieś roje meteorytów. Wreszcie, dla amatorów obserwacji sztucznych satelitów jest **Heavens-Above** – mapa nieba pomagająca tropić ich przełoty.

Aplikacja Polskie Góry



Na letnim niebie, pod majestatycznym Łabędziem, w którego kierunku patrzył teleskop kosmiczny Kepler (i wypatrzył 2662 planety pozasłoneczne), można z czasem dorobić się ulubionych gwiazdozbiorów. Moim jest **Vulpecula** – Lisek chyłkiem przemykający przez Trójkąt Letni.

Szósty element

Cały ten arsenał aplikacji raz okazał się bezradny. To było w górach Korsyki – oszałamiająco pachnących nagrzanym ziemię, kompozycją wonnych traw i krzewów. Raz za razem, gdy tylko ich aromat zaczynał się zdawać znajomy (tymianek! jałowiec! eukaliptus? rozmaryn!), natychmiast zaskakiwał nową, nieznaną nutą (a to takie jakby mydlane, to co?) i nie dawał się uchwycić. Nęcił i uciekał. Nawet Pl@ntNet, odpytany z każdego źdźbła i liścia, nie pomógł rozkodować składu tej mikstury.

Podobno prace nad aplikacją, która za pomocą specjalnej przystawki z sensorem pozwalałaby identyfikować zapachy, prowadził start-up Nanoscent z Izraela – chodziło tam jednak o tworzenie profili zapachowych użytkowników, by pomóc im w doborze idealnych perfum. Dodajmy też uczciwie, że Konica Minolta opracowała gadżet o nazwie KunKun, który w połączeniu ze smartfonem ostrzega, gdy samemu zaczyna się brzydko pachnieć. Ale tę akurat informację da się – i należy – odpowiednio wcześniej wykrywać analogowo.

Zresztą skąd aplikacja, wykrywająca np. octan terpinylu, wiedziałaby, czy to pachnie jałowiec, szaławia, kolendra, liść laurowy, cytrusy czy – Korsyka? Fajnie jest wiedzieć różne rzeczy, ale sekretny składnik tej wyspy pozostanie dla mnie tajemnicą. I to też jest piękne.

© MICHAŁ KUŹMIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

O mleku



POWIEDZIAŁ OSTATNIO OJCIEC PREZYDENTA Dudy, Jan Duda – obecnie radny sejmiku małopolskiego, które to ciało utrzymało w mocy przedziwną uchwałę o tzw. strefie wolnej od LGBT, że Polacy – tu chyba, precyzyjnie rzecz ujmując, chodziło o Mało-

polan – wysali tolerancję z mlekiem matki. Na plenum tego samorządu wygłoszono także tego dnia kilka innych oświadczeń, bądź to deklaracji, po części szalenie buńczucznych, że mianowicie nikomu Polakom rozkazywać nie będzie, a zwłaszcza nikt z Zachodu. O gładko wykonywanych rozkazach idących ze Wschodu podczas tych obrad na wszelki wypadek nie mówiono.

Osobliwa wypowiedź Jana Dudy zwróciła uwagę mediów ogólnopolskich nie tylko z powodu jego kwalifikacji, ekspresowej drogi tego człowieka do polityki, nie tylko z racji specyficznie konstruowanych zdań wypowiedzianych przez tego pana, ale też dlatego, że ów uchodzi w pewnych, bardzo szerokich przeciwieństwach za żyjącą relikwię, by nie rzec – za świętka. Każdy, kto czytał absolutnie kultową książkę o rodzicach prezydenta Andrzeja Dudy, wie, o czym tu mowa.

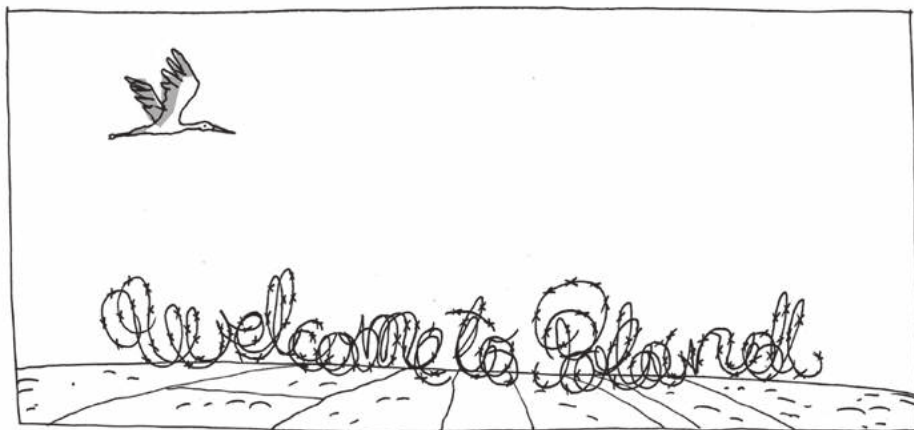
Kto nie czytał, niech się nie wymądrza, niech nie mniema, że wie, gdzie żyje, że cokolwiek rozumie, że jest zorientowany w polskich sprawach, bowiem żyje w beztrójce na Księżycu, a precyzyjnie rzecz ujmując, na tej stronie księżycowej buzi, która nigdy na Polskę nie patrzy. Polak, który nie czytał tego utworu, nie jest godny swego miana i warto wyłożyć pięć złotych – tyle bowiem kosztuje ta książka na rynku wtórnym – by miano to na zawsze odzyskać bądź także je uzyskać. Polskość po lekturze owego tomu odciska się na czytelniku i piętnem, i czipem, nie da się jej zmyć już niczym, choćby się człowiek tarł sproszkowanym szkłem bądź żelaznymi wiór-

kami, papierkami ściernymi i tym podobnymi materiałami, które są reklamowane jako niezawodnie usuwające najtrwalsze powłoki.

Dzisiaj, rzecz to ważna, wcale nie chcieliśmy się tak bardzo rozpisywać o Janie Dudzie i starej książce o nim. Było to jednak nieuniknione, gdy pochyliliśmy naszą siwą głowę nad jego najnowszą opinią dotyczącą ssania, laktacji i składu mleka polskich matek. Powtórzmy: Jan Duda ogłosił, że Polacy wysali z mlekiem matki tolerancję. Dużo by mówić o przykrych, wręcz tragicznych kontekstach, które od wielu dziesięcioleci towarzyszą na świecie refleksjom, co to mianowicie Polacy wysali. Jest w świecie całkowicie jednolita opinia na ten temat i nie będziemy jej przytaczać. Każdy, kto jest jej ciekaw, a jej jakimś cudem nie zna, może sobie wpisać w internetowej wyszukiwarce słowa kluczowe. Przykry wynik otrzyma po pół sekundy i doprawdy nie ma w nim nawet śladowej ilości tolerancji na cokolwiek. Na jakąkolwiek inność – dodajmy. Z całym szacunkiem dla pożywności mleka matek polskich.

Skoro tak, to użyte przez Jana Dudę słowo powinno mieć inny, mniej paraboliczny sens i znaczenie. Doprawdy, wystarczy nam chwila, by zorientować się, że tolerancja czy może tolerowalność jest powszechnie używanym terminem medycznym bądź farmaceutycznym. Jest także używane – dla przykładu – w prawie karnym, w prawie o wykroczeniach i chyba w kodeksie drogowym. Tak się znakomicie składa, że Sejmik Województwa Małopolskiego znajduje się w Małopolsce. To tereny wymarzone do badań nad wszelaką tolerancją organizmów żyjących, w tym *Homo sapiens*. Na smaki, na ich łączenie, bądź zmieszanie, na stany skupienia i na zapachy. Na wszelkie koktajle i na ciecze jednolite. Tolerancja Małopolan na alkohol etylowy i metylowy jest legendarna. Badacze chemii ludzkiego ciała biją się o granty na tych obszarach. Tomy kronik milicyjno-policyjnych, skoroszyty interwencji zespołów ratunkowych, tony papieru w bibliotece Collegium Medicum są tu zapisane maczkiem na temat miejscowej tolerancji, wypisane są tam rekordy świata, które od dziesięcioleci są pobijane w każdy weekend. To wszystko wiemy, ale opinia radnego Jana Dudy, że tolerancja owa to dar matek Polek wręczony synom w powijkach jest doprawdy wielkim wkładem sejmiku małopolskiego do światowej genetyki. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



Święto
wolności

GDAŃSK

REKLAMA

27/08
01/09 2021

RZECZPOSPOLITA
EUROPA
SOLIDARNOŚĆ

1/09/2021 ŚRODA

EUROPA Z WIDOKIEM NA PRZYSZŁOŚĆ

30 ROCZNICA UPADKU ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
82 ROCZNICA WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ

FORUM MIĘDZYNARODOWE EUROPA Z WIDOKIEM NA PRZYSZŁOŚĆ

wystąpienia wprowadzające /

Věra Jourová, Komisja Europejska

David Gregosz, Fundacja Konrada Adenauera

Edwin Bendyk, Fundacja im. Stefana Batorego

Basil Kerski, Europejskie Centrum Solidarności

10.00-11.45 / ECS, pl. Solidarności 1

1991-2021. IMPERIUM KONTRATAKUJE.

EUROPA 30 LAT PO ROZPADZIE ZSRR

wprowadzenie / **Andrij Portnow**

paneliści / **Laurynas Vaiciunas, Marina Skorikowa**

Magdalena Lachowicz, Mykoła Kniażycki,

Wolfgang Eichwede

prowadzenie / **Iwona Reichardt, Adam Reichardt**

wstęp wolny

szczegółowy program i transmisje online: ecs.gda.pl / gdansk.pl

12.00 / pl. Obrońców Poczty Polskiej, Stare Miasto
UROCZYSTOŚCI UPAMIĘTNIENIA
82 ROCZNICY WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ

14.00-15.30 / ECS, pl. Solidarności 1

DEMOKRACJA W ODWROTCIE?

W OBRONIE SWOBÓD OBYWATELSKICH W EUROPIE

wprowadzenie / **Taciana Niadbaj**

paneliści / **Aleksander Kaczorowski, Marek Radziwon,**

Mykoła Riabczuk, Magdalena Heydel, Georges Mink

prowadzenie / **Jacek Kołtan**

16.00-18.00 / ECS, pl. Solidarności 1

EUROPA OBYWATELI

SEMINARIUM / DYPLOMACJA OBYWATELSKA

W EUROPIE ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ

18.00-19.30 / ECS, pl. Solidarności 1

EUROPA I ŚWIAT.

NOWE ROZDANIE, NOWI LIDERZY, NOWE SOJUSZE

wprowadzenie / **Paweł Kowal**

paneliści / **Hans-Gert Pöttering, Agnieszka Bryc,**

Tal Ben-Ari Yaalon, Edwin Bendyk, Bernard Guetta

prowadzenie / **Basil Kerski**

organizatorzy



współorganizatorzy



partnerzy



ODETCHNIJ NA ŁĄCE LEŚMIANA

Weź udział w cyklu wydarzeń
kulturalno-rekreacyjnych online i offline

W PROGRAMIE KONCERT ZESPOŁU TĘSKNO

26 czerwca – 31 sierpnia 2021

polin.pl

Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Partner medialny

Iceland
Liechtenstein
Norway grants



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu



Zakres
Działalności
Informacji



Współnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej

POLIN

**Muzeum
Historii
Żydów
Polskich**

